

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 11/49

1951



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

J. MIEROSZEWSKI:

O MIĘDZ. BRYGADĘ WSCH.-EUROPEJSKĄ

T. NOWAKOWSKI:

PIKNIK WOLNOŚCI

ST. VINCENZ:

ROCZNICE GANDHIEGO

SPRAWY I TROSKI ♦ NAJNOWSZA HISTORIA POL-
SKI ♦ KRONIKA KULTURALNA ♦ KSIĄŻKI.

SPIS RZECZY:

Stanisław Vincenz:	<i>Rocznice Gandhiego (dok.)</i> ..	3
Tadeusz Nowakowski:	<i>Piknik wolności</i>	28



Józef Łobodowski:	<i>Rozmowa nocna</i>	68
Danuta Bieńkowska:	<i>Modlitwa</i>	73

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>O międz. brygadę europejską</i> ..	75
J. M.:	<i>Rewolucja przemysłowa w Eu- ropie Śr.-Wschodniej</i>	82

SPRAWY I TROSKI

Zbigniew Małecki:	<i>Notatki z podróży do Kanady</i> ..	85
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	101
Zast.:	<i>Kronika niemiecka</i>	103

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Jakub Hoffman:	<i>Dzieje „Rocznika Wołyńskiego”</i>	106
----------------	--------------------------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

Czesław Miłosz:	<i>List do Gombrowicza</i>	119
Jan Tokarski:	<i>Bernardyni w U.S.A.</i>	124
Aleksander Korczyński:	<i>Tłumacze polskiej literatury</i>	129
Andrzej Radostowa:	<i>Prośba do muzyków</i>	132

KSIAŻKI

Branko Lazitch:	<i>„Wojny seryjne” R. Arona</i>	134
Witold Kostrzyński:	<i>Wschodnie Niemcy o Polsce</i> ..	138
Z.:	<i>Tragedia Europy Wschodniej</i> ..	143
Kazimierz Zamorski:	<i>„Tyfus teraz słowiki”</i>	144
J. Ursyn:	<i>„Bureau des mariages”</i>	145
J. Ursyn:	<i>Rekord zblazowania</i>	148
Z.:	<i>Sobowtóry i duchy</i>	149
Z.:	<i>Wojna koreańska</i>	151
Z.:	<i>Kultura perska</i>	153



J. Hoffman, A. Wasung, C. Wodziński, K. Go- dziński:	<i>Listy do Redakcji</i>	154
—	<i>Résumé en langue française</i>	158

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad — Novembre 1951

INSTYTUT



LITERACKI

Noty biograficzne autorów

Tadeusz NOWAKOWSKI, ur. 1917 r. w Olsztynie (Warmia). Gimnazjum w Bydgoszczy, studia polonistyczne w Warszawie. Lata wojny spędza w więzieniach i obozach niemieckich, aresztowany za chęć "oderwania Wielkopolski od Rzeszy". Po wojnie przebywa dwa lata w obozie dla D.P. na granicy niemiecko-holenderskiej, gdzie wykłada w liceum polskim. Od r. 1947 w Anglii, gdzie bierze czynny udział w życiu społecznym i kulturalnym emigracji polskiej. Zadebiutował na obczyźnie tomem opowiadań pt. "Szopa za jaśminami", za który otrzymał w r. 1949 "nagrodę literacką dla młodych" na konkursie "Veritas". Autor szeregu nowel i opowiadań, drukowanych w "Wiadomościach" i w "Kulturze" ("Weronika i Polifem", "Wycieczka do Juryty", "Przybysz z dalekiego Kaukazu", "Oberammergau", "Voice of America", "Hard Core", "Księgi szczeru Dipisów", "Dwa dni" i in.).

Jakub HOFFMAN, ur. 1896 r. Początkowe nauki pobierał w Jaśle. 1913-1914 r. był robotnikiem w kopalni ropy w Harklowej i Iwonczu. 1914-1917 odbył kampanię legionową. 1917, po tzw. "kryzysie przysięgowym" odbywał dalszą służbę wojskową w armii austr. na włoskim froncie. Był komendantem obwodu P.O.W. Jasło-Krosno-Sanok. Wojnę polską-bolszewicką w 1 pp. leg., następnie w Dow. Etapów Wojsk Polskich na Ukrainie (pod komendą płk. Sławka). Pod koniec wojny był szefem Sekcji Kult.-Oświatowej dow. 2. Armii (Śmigłego-Rydza). Po ukończonej wojnie był nauczycielem najpierw w powiecie baranowski, następnie od 1923 w Równem na Wołyniu. Tam wszedł w ścisły kontakt z Wołyńskim Związkiem Młodzieży Wiejskiej. Od 1923 r. był prezesem Wołyńskiego Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego. Od 1930 r. prezesem Oddziału Związku Legionistów i Peowiaków w Równem. Od powstania Tow. Przyjaciół Nauk w Łucku, był jego sekretarzem i z ramienia Polskiej Akademii Umiejętności od 1932 r. sekretarzem Wołyńskiego Regionalnego Komitetu Polskiego Słownika Biograficznego. Od 1929 r. był redaktorem "Rocznika Wołyńskiego", a od 1932 redaktorem "Głosu Nauczycielstwa Okręgu Wołyńskiego". Wywieziony do ZSSR, tam aresztowany. Po wyjściu z więzienia, był łącznikiem Ambasady R.P. przy dow. 6 dyw. — W Teheranie był kierownikiem Wydziału Szkolnego i Oświatowego przy Delegaturze MOSu. 1944-45 był kierownikiem wydz. oświatowego Delegatury MPIOS w Nairobi (Afryka), zaś od 1946-1950 nauczycielem szkół średnich w Koji, Rongai i Tengeru (Afryka). Obecnie jest robotnikiem w fabryce radiowej w Londynie (jako "stamp press operator").

Kazimierz ZAMORSKI, piszący również pod pseudonimem Sylwester Mora, urodził się 5.2.1914 w Krasie pod Przemyślem. W Polsce pracował w administracji szkolnej, oraz rozpoczął studia prawnicze na U. J. K., przerwane wojną.

Wziął udział w kampanii wrześniowej (Lwów). Aresztowany przez NKWD w październiku 1939, spędził 3 lata w Rosji, gdzie też zaczął pracować nad zagadnieniami sowieckimi.

Napisał, wspólnie ze Stanisławem Starzewskim (pseud. Piotr Zwierniak), "Sprawiedliwość Sowiecka", wydaną w 1945 w jęz. polskim, włoskim, francuskim i hiszpańskim, oraz opracował mapę sowieckich obozów koncentracyjnych.

W 1949 roku ukazała się jego "Kolyma. Gold and Forced Labor in the U.S.S.R.", z przedmową D. J. Dallina, wydana przez Foundation for Foreign Affairs w Waszyngtonie.

Obecnie pracuje w maklerskiej firmie Lloyd'sa w Londynie, pisząc dorywczo do prasy polskiej i angielskiej.

Imprimé en France

Imprimerie de la S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20)

Rocznice Gandhiego

VI.

DROGA DO PUSTELNI

Zaryzykowaliśmy zestawienie Ameryki z Indiami a trudno o porównanie następczące mniej analogii, chyba same odwrotności. Nie można nawet, jak dotąd, żadną miarą porównywać opowania kontynentu północno-amerykańskiego przez wychodźców z Anglii ze stałą imigracją Indów do Afryki, która wprawdzie nieustannie penetruje kontynent afrykański, ale napotyka tam na przeszkody w istniejących organizacjach państwowych, na liczne trudności społeczne i zdrowotne. O tyle co najwyżej w stosunku do "starego kraju" tj. do Indii, przypomina ona "nowy świat" że tylko w Afryce było możliwe dzięki Gandhiego pokonanie tylu izolacji i uprzedzeń i zjednoczenie różnych warstw, wyznań i grup narodowych indyjskich, które nie byłoby możliwe w samych Indiach. Nie wykluczone, że ta emigracja odegra jeszcze pokąźną rolę w nowej sytuacji.

Sytuacja w samych Indiach, w kraju obarczonym tyloma izolacjami, powołującymi się na bardzo starożytne chociażby fikcyjne tytuły, była niebywale trudna. Można rzec, że w nowszych czasach groziła jeszcze jedna izolacja, odcięcie się warstw europeizowanych (także tych, co przyjęły chrześcijaństwo) od reszty Indii. Założeniem Gandhiego była wentylacja zastarzałych i nowych izolacji. Skupiając, łącząc, nie dzieląc nigdy, przyznając wszakże uprawnienia starym tradycjom, od razu ograniczone nakazami wspólnoty, a przede wszystkim nadając tym tradycjom nowe znaczenie, Gandhi podjął się najcięższego zadania zdjęcia z Indii brzemienia izolacji. Z niej pochodziła bezsilność Indii. Konserwatywna mentalność oparta na zasadzie, że im co starsze, tym lepsze wyrażała twórczość Indii. Według światopoglądu bramińskiego, epoki od początku świata aż do obecnej chwili są coraz gorsze. A już ten konserwizm jako zasada był bardzo stary. Pochłonięty niejednym fermentem, nawet taki potężny jak buddyzm, odrzucił niejednym wpływem jak perski i arabski. W ciągu długich dziejów Indii nawet najwybitniejsi Indowie cierpieli na manię i fantastykę dawności, odwrotnie jak my na manię nowości. W pierwszych wiekach naszej ery postęp w rozwoju prawa, i innowacje prawne musiały

się sofistycznie legitymować i zasłaniać tradycją. A nowe pomysły astronomiczne — (stosowanie matematyki do astronomii, kulistość i obrót ziemi, racjonalne objaśnienie zaćmień), — nie narażały nikogo na stos, gdyż same argumenty tradycyjne przeciw nim były dostatecznie obalające. Nie należy wszakże fałszować ani upraszczać dostrzegając tę tylko stronę. Niejednokrotnie stare symbole i dawne wierzenia spirytualizowały się zupełnie, zachowując tylko dawne wyrazy i dawną formę. Żeby wybrać przykład jaskrawy: w dziele stosunkowo niedawnym pt. "Linga purana" mimo, że opiera się zewnętrznie o dawne kultury orgiastyczne czy falliczne (Linga oznacza fallos), nie znajdujemy z nich ani śladu, tylko wysoce uduchowioną i nową mistykę. Starożytne symbole zachowały znaczenie wychowawcze, widocznie mamy do czynienia nie tylko z bezwładem, lecz z ciągłością, z wiernością i z naturalnym rozwojem sublimacji. Podobnie postąpił Gandhi, tylko w szerszym zakresie. Lecz wśród jakich trudności na każdym kroku! Skromną lecz upartą wolę zachowania odrębności swego kraju charakteryzuje według Bagawadgity i tym zarazem wytycza swą drogę.

Lepiej jest spełnić swe własne zadanie — chociażby nawet w nim zbłądził, niż podejmować się zadań nie swoich — umrzeć spełniając zadanie — w tym nie ma chyba nic złego.

I nie jest to płaszczykiem dla izolacji. Gdyby Gandhi wprowadził był z zewnątrz i à la lettre zasady praktyki demokracji podług wzorów brytyjskich, jak to usiłowali zeuropeizowani Indowie, w społeczeństwie chłopów i robotników indyjskich powstałyby one wywieszkami bez znaczenia i w końcu byłyby odskocznią dla chaosu i przewrotu. Dla zakorzenienia musiał zbudzić je od wewnątrz, opierając się zawsze o sprawy konkretne i zaszczipiając na praktykach już zakorzenionych. I w miarę jak sam osobiście oddalił się od zewnętrznych form europejskich, od poziomu życia europejskiego adwokata, a zbliżył się do typu życia najbiedniejszego chłopca a nawet ascety indyjskiego, osiągał więcej możliwości niż było dane przez europejskie szkoły w Indiach i przez ugrupowania polityczne o cechach brytyjskich.

Niech nam nie zasłania na to oczu okoliczność, że wytyka błędy Zachodu i że tym bardziej wykazuje pustkę zewnętrznego naśladownictwa, co więcej małpowania. Nie jest surowszy wobec zachodniej "religii Mamony" i wobec imperializmu kolonialnego i wreszcie wobec szalu mechanizacji, niż wobec grzechów rodzimej kastowości, która w dumnym spadku zdobywczych Ariów, wtrącając bliźnich i rodaków w stan pariasów, wtrąciła same Indie do ghetta i sprawiła, że wszyscy Indowie stali się pariasami w oczach obcych. W czasach kiedy, — nie od dziś zresztą — słyszy się coraz liczniejsze i coraz wyraźniejsze głosy, oskarżenia i potępienia Zachodu, czy to jak w XIX w. z powodu bał-

wochwalstwa wobec Molocha i wobec egoistycznych bożków Interesu i Dobrobytu (według wyrażenia Mickiewicza), czy to, jak obecnie, w formie analizy, krytyki i zarzutów przeciw zmechanizowanej cywilizacji, należy bacznie odróżniać głosy, ważyć ich intencje i motywy i oceniać cele, bacząc skąd przycho-
dzą.

Gandhi nie lubuje się "w spowiedzi obcych grzechów". Nie jest też Savonarolą, nie znajdziemy w nim nawet machnięcia na odlew, jak u Mickiewicza, w młodzieńczym bądź co bądź okresie "Ksiąg pielgrzymstwa i narodu"; tym mniej pychy Dostojewskiego, który w dojrzłym okresie, u szczytu twórczości, wynosił jedynie swój naród, jako jedynie wszechludzki i "bogonośny", nie szczędząc niemal za porządkiem pogardy innym narodom. W ataku na Claude Bernarda, założyciela fizjologii, zwalcza Dostojewski postawę naukową jak gdyby w obawie, że tajemniczość świata ulotni się przez rozproszenie mgieł, a religia zniknie przez badanie związków przyczynowych. Sam Claude Bernard był — należy to podkreślić — chyba nie przypadkowo, zupełnie przeciwnego zdania. Gandhiego nie było potrzebne nawet takie zwolnienie się od własnych przywiązań i uwikłań duchowych, jakie widzimy w nadmiernej surowości męznego Tołstoja w stosunku do sztuki. Przez usta Gandhiego nie przejdzie nawet żartobliwe słowo o spalaniu książek jako zawady lub balastu, takie westchnienie ulgi że "biblioteka aleksandryjska na szczęście została zniszczona", wyrażone przez znanego filozofa Norwooda, albo podobna wypowiedź łagodnego lorda E. Gray'a, miłośnika i autora książek o ptakach i o rybołówstwie. Co najwyżej powie Gandhi, że jeśli maszyny znikną, nie będzie się martwić, to znaczy że nie będzie ich bronić, chociaż ocenia wartość maszyny jako narzędzia. Dla zbliżenia się do osobistości Gandhiego nie można dość podkreślać, że jego trwanie przy swoich przekonaniach, w razie różnicy zdań i dróg, nigdy nie narusza atmosfery tolerancji i wzajemnego poszanowania.

Bo cała działalność Gandhiego polega na budzeniu, na jednoczeniu i na syntezie. Nie on przecie stworzył ruch narodowy w Indiach. Dawno przed nim Indowie, pokolenia rzec można zeuropeizowanego do szpiku kości, założyli Kongres Narodowy, kierując się wzorami brytyjskimi. Wśród nich tacy jak Mehta, klasyczny, nawet majestatyczny adwokat w stylu brytyjskim, "niekoronowany król Bombaju", żyjący na królewskiej stopie, "lew, którego ryk rozlegał się po sądach Indii". Albo taki jak „bożyszcze Bengalu" Banerji, wokół którego skupiali się liberalni panowie, także maharadzowie. Obaj oni odnosili się do Gandhiego po ojcowsku, a do jego poczynąń pomocnie. Lecz wielki adwokat i praktyk Mehta, oceniając sytuację realistycznie, przy pierwszej scysji Gandhiego z władzami brytyjskimi — tuż po powrocie z Anglii — poradził Gandhiego, aby schował "obrazę do kieszeni". Inni ich przyjaciele i znajomi okazywali wobec Gandhiego powściągliwość i chłód, a nikt zresztą nie wróżył

dużego powodzenia jego pierwszej akcji w obronie emigrantów. A byli wśród tej generacji postacie godne jak *Tilak*, jak szczególnie miły Gandhiego aktywny i pomocny, choć politycznie sceptyczny, *Gokhale*. Tych polityków i kierowników Kongresu otaczały rzesze studentów inteligencji indyjskiej. Młody Gandhi spoglądał ku nim jak ku szczytom himalajskim. Wyśmiewali oni nieraz brytyjskich władców Indii, ale sami mówili po angielsku, przede wszystkim na posiedzeniach Kongresu. Kongres zbierał się "raz na rok na trzy dni, a potem zasypiał". Rezolucje przechodziły w gorączkowym pośpiechu i pozostawiały wrażenie, że nad jedną sprawą kłopoć się zbyt wielu ludzi, a o sprawach piekących nie ma komu myśleć. "I sami politycy byli w wiecznym pośpiechu, nigdy nie mieli czasu, zupełnie jak ich wzory europejskie. Gdy Gandhi po raz pierwszy zwrócił nieśmiało uwagę na sprawy piekące i gdy wprowadził osobiście język Gujarati do obrad, to zyskał tym życzliwe uznanie niepoznanego zdziwienia. Ponadto to pokolenie polityków było rozdzielone na partie, Gandhi z miejsca nie bez trudności starał się znaleźć dla nich wspólną platformę. Także postulat Home Rule dla Indii nie został wysunięty przez Gandhiego, tylko przez panią Besant założycielkę teozofii, która usilnie wskazywała na przeszłość i na wartość starych tradycji Indii, zwracając się także do szerszych warstw ludności. Gandhi znał ją jeszcze w Anglii, zawdzięczał jej książkę "umocnienie swego teizmu". Znacznie później w latach dwudziestych spotykali się w gorącym okresie powojennego wrzenia złączeni we wspólną akcję. Gandhi zalicza ją do "starych weteranów-wojowników". Te wszystkie dążenia znalazły w nim nie przeciwnika, lecz jednoczyciela dla służby Indii i dla ich odrodzenia.

Na tym tle można ocenić ważną, jeśli nie decydującą postawę w sprawie nauczania i wychowania i drogę do "Asram", osiedla-oazy czy szkoły-pustelni. Widzieliśmy powyżej jak trudno określić elitaryzm a raczej pionierską rolę, którą naznacza Gandhi przedstawicielom ludu. Najlepiej chyba byłoby sięgnąć do porównania z Republiką Platona, o ile dzięki końcowemu potwierdzeniu samego Platona, że republika bez względu na to czy jest gdzieś i czy będzie, istnieje niejako w niebie jako wzór do oglądania i do założenia jej — mamy uprawnienie uważać dzieło Platona za traktat wychowawczy a nie za utopię polityczną. Dla naszego przykładu pożyteczną będzie analogia, że kierownicy powinni być ze złota, a tylko tak długo dopóki są ze złota są kierownikami, w przeciwnym razie muszą wrócić do sfery srebra i żelaza. Jeśli ośmielamy się nazwać taki punkt widzenia elitaryzmem to jedynie dla przeciwstawienia innym elitaryzmem. Bo przecież "Asram" jest oazą wspólnoty, do której każdy może być przyjęty, jest ośrodkiem krystalizacyjnym wspólnoty szerszej, która jak wierzy Gandhi, zawsze istnieje. Dla zrozumienia Gandhiego podstawą będzie jego wyznanie, że nigdy nie zgodzi się być niewolnikiem przyzwyczajenia, uzusu i tego co dane, a czego nie może zrozumieć lub usprawiedliwić

moralnie. Można by się zastanawiać czy to prowadzi do radykalnego odchylenia od liberalizmu, czy do jego ziszczenia. Gandhi nie korzy się konformistycznie ani przed tradycją ani przed postępem ani nawet przed specjalistami, wybierając radykalnie to co uważa za zgodne z wolnością człowieka.

Wychowanie w pojęciu Gandhiego opiera się całkowicie na specyficznej praktyce łączącej kooperację Ruskina ze swoistymi formami Indii. O ile ogólne zasady jego dadzą się wyrozumować można by je wyprowadzić z intuicji poety H. Thoreau, który jakby w proteście, wyprzedzającym późniejszy rozwój Ameryki domagał się, aby "liberal education", w starożytnym znaczeniu, nie była służebna lecz rozwijała wolną osobistość i żywą wspólnotę człowieka. Thoreau, który tak przejmował się religijnymi tekstami Indii — zwrócił niejako swój dług, o ile przyjmujemy, że miał jakiś wpływ na Gandhiego. W imię wolności żąda Gandhi nowej hierarchii wychowania. Dla uniknięcia nieporozumień wkroczyliśmy od razu in medias res. Gandhi uważa uniwersytety za cytadelę niewolnictwa (co najmniej jeśli chodzi o Indów). Lepiej tłuc kamienie dla wolności niż poddać się "literary training" w kajdanach. Wobec tego mając do wyboru, przede wszystkim dla własnych dzieci, między wolnością a nauczaniem praktykowanym w szkołach, wybiera wolność i stwarza jej oazy tak jak on je rozumie. Zdaje się, że synowie Gandhiego nie zupełnie byli z tego zadowoleni, co najmniej najstarszy syn czynił ojcu wyrzuty z tego powodu i potem poszedł drogą odrębną. Może uważał, że gdyby ojciec dał mu zwyczajne szkolne i uniwersyteckie wykształcenie, dałby mu przez to okazję do podobnego zwrotu, do podobnych doświadczeń i rozczarowań, jakich sam doznał. Bywa że dzieci chcą być takie jak inne ludzie. Nie dziwny się, bo Gandhi się nie dziwił. Nie dopatrujemy się w tym pochopnie zarzutu przeciw jego usiłowaniom, nie deklarujemy od razu, że najbliższe otoczenie je obaliło. Ale nie zamykamy oczu.

Rosyjski epik życia chłopskiego Gleb Uspienski w opowiadaniu "Trzy listy" przedstawia dzieje dziwnego eksperymentu wychowawczego. Na skutek testamentu inteligenta-narodnika, który wierzył w odrodzenie przez pracę ręczną, jego przyjaciel, bliski mu ideowo wychowuje synów zmarłego na stolarzy. Czy ni to wiernie, rzetelnie, dosłownie, dzięki czemu wychowankowie stają się dobrymi i rzetelnymi stolarzami i niczym więcej. Jednak sam wychowawca jest rozczarowany. Nie o to chodziło, bo wychowankowie nie przeżyli zwrotu ani przełomu, a zupełnie pozbawieni tego tła nie mają żadnej świadomości swej misji.

Trudno przewidzieć jak potoczy się dalej akcja wychowawcza wszczęta przez Gandhiego. W zasadzie podjął się on rzeczy trudnej, jeśli nie najtrudniejszej. Wychowanie i kształcenie, według niego, miało by być nie apreturą, nie tylko przyzwyczajeniem, zależnym od dogodnych warunków tj. dla czasów spokojnych, dla warstw uprzywilejowanych. Wykształcenie nigdy nie ma być

balastem. Chciał wychować ludzi, którzy "łakną i pragną" zarówno sprawiedliwości, jak i strawy duchowej a zatem asymilują i zakorzeniają to czego się nauczyli. Chce w nich wzbudzić takie pragnienia, ale ponad wszystko ugruntować gotowość do ofiary i wytrwania, która nieraz trudno przychodzi humanistom, wychowanym w warunkach ciepłarnianych, przez co zdara się — i to tam gdzie wychowania i wykształcenia było jak najwięcej — że w krytycznych chwilach zawodzą. Czasem nawet zwracają ostrze rozczarowania raczej przeciw zasadom i nauczycielom, niż przeciw sobie. Nazywamy czasem takich ludzi intelektualistami, lecz jeśli byśmy pamiętali, jak wielką wagę przypisywał Sokrates rozumieniu i wiedzy nazwalibyśmy ich raczej ludźmi o pamięci przesyconej a nieskoordynowanej z samym człowiekiem. Gandhi podkreślał przede wszystkim, że dziecko najwięcej uczy się w pierwszych latach życia, a wychowanie zaczyna się od poczęcia. Nie jest to żadną nowością, że matka, ojciec albo niania, otoczenie rodziny, wsi, czy ulicy, ludzie, zwyczaje, przyroda i zwierzęta zaważają więcej na człowieku niż szkoły i późniejsze wykształcenie. Nie brakło tego u ludzi wybitnych. Wskrzeszając ducha litery i książek cennych, szczególnie wielkich dzieł religijnych, nauczyciel, według Gandhiego, działa przede wszystkim żywym słowem, a wchodząc w każdą indywidualność liczy się zawsze z tym czy wychowanek go rozumie. Uzyska w ten sposób także dla książek więcej zrozumienia i współżycia i zrozumienie szersze, niż daje samo czytanie i egzaminy. Zaleca poza tym dla szkół w Indiach jak najwięcej nauczania fizyki i chemii, nie z materializmu ani nie jako jedyną "podstawę naukową" lecz zarówno dla ich pożyteczności, i jako że pobudzają do samodzielności i do kontroli, na miejsce balastu tekstów i ich interpretacji. Swobodna hierarchia swobodnie wybranej wspólnoty jest decydująca. Ostatecznym celem wychowania jest — według starej zasady sokratycznej — przekazanie kierownictwa w najbardziej kompetentne ręce tj. samowychowanie.

Nie ma wątpliwości, że jest to droga jedyna i niezbędna, także dla pracowników duchowych, artystów i uczonych, jeśli nie mają zawodzić, jak czasem zawodzą. Dla Gandhiego oznacza to jeszcze coś innego, niż wyjście z pęt scholastyki szkolnej. Jego szkoły-oazy są to forpocztą pionierów Satya-grahy. Widać to z rozwoju wszystkich poczynań Gandhiego, zaczynając od "Fermy Tokstoja" założonej w r. 1912 w Afryce aż do sprowadzenia tych pionierów do Indii. Były to komuny zaradności i pomocy wzajemnej, osady wspólnej pracy na roli i w domu, ze szczególnym uwzględnieniem rzemiosła i gotowania, połączone z nauczaniem szkolnym według programu, a raczej według intuicji samego Gandhiego. Z kolei w Afryce, tuż po zaznajomieniu się z dziełem Ruskina "Unto the last", którym przejął się zupełnie, Gandhi bez zwłoki założył "Feniks", oazę kooperatywną. Charakterystyczne, że niezwłocznie przeniósł do tego osiedla na pustkowiu redakcję i administrację dziennika "Indian Opi-

nion". Redakcja i administracja w pustelni z codziennym artykułem wstępnym Gandhiego! Tam stopniowo uniezależniono się od mechanicznego napędu, i używano drukarni kręconej kołem obracanych ręcznie. Uczestnicy tych komun, młodzi Indowie, należący do różnych religii i sekt, nie zabijali zwierząt, obserwowali posty, każdy podług swego wyznania, a przede wszystkim wszyscy byli wegetarianami. Nawet mahometanie z Indii stali się wegetarianami z respektu dla Gandhiego. Pracujący na fermie, w domu i w kuchni uczniowie nie robili niczego, czego by nie robili razem z nimi sami nauczyciele. Gandhi wraz z nauczycielami, wśród których wymieniał samych Europejczyków, prowadził nauczanie szkolne według wymienionych powyżej wytycznych. Wychowanie serca i charakteru było na pierwszym miejscu, codzienna praca fizyczna decydowała o wyrobieniu fizycznym, unikano selekcji na uczniów gorszych i lepszych, a nie wykluczano także charakterów o gorszych zadatkach, na to, aby nie wyrwać, według Ewangelii, kąkol u przed żniwem. Gandhi podkreśla, że dzieci, cwijane w bawełnę i usuwane od możliwości oporu wobec słabości ludzkiej i wobec charakterów gorszych, nie są zabezpieczone przed pokusami i przed zaraźliwymi wpływami. Mimo daleko idącą cierpliwość i ofiarność, ucząc wychowanków także kiedy sam był chory i wyczerpany, Gandhi, jak wyznaje, wymagał od nich spełniania obowiązków bardzo ściśle. Już wówczas w Afryce nie wierzył w panujący system wychowania, więc próbował innego przez doświadczenie i eksperyment. Był właściwie przekonany, że przede wszystkim rodzice są powołani do wychowania dzieci. Przeto każda z jego szkół stawała się rodziną, a on ojcem. We wspomnieniach powraca Gandhi do myśli, że uczniowie powinni poznać jak straszną rzeczą jest grzech. Jak widzimy, mamy tu do czynienia z między-wyznaniowym nowicjatem stworzonym dla walki o non-violence i dla poruszenia Indii.

Tak wyrobiona i zgrana garstka zahartowana pracą, postami a później więzieniem, po przeniesieniu do Indii stała się załóżkiem i ośrodkiem nowego ruchu. Już w gościnie w osiedlu szkolnym, założonym przez poetę Rabindranatha Tagore w Santinikitan, uczniowie Gandhiego za zgodą poety wciągnęli tamtejszych uczniów do swoich praktyk. Jeden z głównych pionierów, kuzyn Gandhiego, Maganlal Gandhi pilnował, aby reguły były ściśle przestrzegane. Do nich należało podług wspólnych form życia wspólne jedzenie, co, jak wiadomo zawarunkowane było w Indiach i to bardzo surowo, przynależnością kastową. W nowym osiedlu, założonym nieco później w Ahmedabad, bez zwłoki przyjęto do osiedla rodzinę pariasów, która się sama zgłosiła. To wywołało burzę przejęciową lecz groźną, z zewnątrz i na wewnątrz. Dopływ datków ustał, były nawet trudności z czerpaniem wody, gdyż sąsiedzi protestowali żywo w obawie, aby "nieczyści" chociażby kroplą wody ze swych naczyń nie "zabrudzili" im wody. Poza tym groził bojkot społeczny, a wewnątrz osiedla kobiety, nawet żona Gandhiego, oburzyły się prze-

ciw takiemu niesłychanemu dotąd naruszeniu tradycji. Ale właśnie tam po raz pierwszy wytrwaniem przy prawdzie podważono insytucję pariasów.

Z czasem osiedle rozwinęło ręczne tkactwo, wszyscy członkowie jego nosili odzienia tkane przez samych siebie. Długi czas jeszcze wszakże byli zależni od przędzy maszynowej, dopiero później przez uruchomienie kołowrotka osiągnęli własną krajową przędę. Było to widowym znakiem ich sukcesu.

Później osiedle stało się miejscem konferencji decydujących w wystąpieniach na zewnątrz. Zbierali się tam różni ludzie z kół inteligencji indyjskiej, należący do różnych ugrupowań politycznych, nie brakło też przyjaznych Europejczyków. Rzesze sympatyków wzbierały jak wody wiosenne, później jednak w miarę ochłodzenia topniały, lecz samo Aśram pozostało i trwało jako ośrodek niezawodny.

Nowe osiedle założone w Sabarmati znajdowało się w pobliżu więzienia. Gandhiemu podobało się to sąsiedztwo, bo uważał, że więzienie jest normalnym losem uczestnika Satya-Grahy. Uprzytomnijmy sobie, że jakiegokolwiek mogłyby być zarzuty przeciw władzy brytyjskiej w Indiach, kraj ten znajdował się bądź co bądź w obrębie państwa praworządnego. A w hartowaniu tej grupy przez Gandhiego było głębokie przeczucie czasów, które miały nadejść. Coraz mniej bowiem można "bawić się w politykę". Ludzie poważni i dzielni, którzy w "normalnych", tj. bezpiecznych, czasach uchodziliby za wytrzymałych i niezłomnych, gdy znajdują się wobec warunków przekraczających ich przyzwyczajenia a nawet odporność fizyczną, w obozach, w więzieniach i katowniach totalistycznych, uginają się, dają się zniżyć, składają "dobrowolne" zeznania, donosy i samooskarżenia. Chwilowo wygląda jak gdyby ludzkość była bezbronna wobec takiego nacisku państwa-uzurpatora. Wszakże praktyka zniżczania nie same tylko odurzenie wywołuje i oszołomienie strachem, lecz jak łatwo zrozumiałe przede wszystkim odruchy nienawiści i porywy przeciwwątku. A poza zasięgiem władzy uzurpatorów wołanie o interwencję i krucjaty. Wiadomo jednak, że syty głodny nie rozumie i dopóki uzurpatorzy nie dadzą pogładowej lekcji, poza granicami ich władzy ludzie niezbyt czujni odzegnują się frazesami w formie poszanowania suwerenności państwowej. Po roku 1933 uchodźcom niemieckim we Francji tłumaczono, że nikogo nie mogą obchodzić wewnętrzne sprawy Niemiec, jak później tłumaczono Polakom, że najwyższy czas aby się oduczyli szowinizmu. Zresztą jeśli nawet interwencje nieco spóźnione przychodzą w formie gwałtownej, nie leczą lecz raczej zarażają. Nie ma z nich korzyści nawet w najgrubszym sensie.

Jednak konsekwentne i nieubłagane usiłowanie, aby powalić "wewnętrzna siłę człowieka na kolana", (jak się wyraził B. Constant) może wyzwalać i wykształcić także nowe formy oporu zbliżone do postawy i praktyki Gandhiego. Doświadczenia ludzkości nie są dzisiejsze. Może zatem nawrócić do doświadczeń

dawnych. A nie jest obojętne jaką formę przybierze opór przeciw gwałtowi wykorzeniającemu człowieczeństwo. Czy taką jak u dawnych ascetów, którym training postu a nawet głodu, nie mówiąc o twardszych ćwiczeniach, pozwalał zachować niezłomną pogodę ducha i chronił ich nawet od nienawiści. Może tak wyszkolony więzień lub podsądny nie dałby się w ciągu kilku tygodni zmieścić na szmatę. Czy raczej przygotowanie do oporu pójdzie wzorem czerwonoskórych wojowników, którzy nie tylko — i to jeszcze nie tak dawno — nie oczekiwali od wrogów względów, lecz wyćwiczeni podczas świętowań na cześć słońca, do wycinania pasów na własnej skórze i wrywania ich w tańcu religijnym, w razie potrzeby wyzywali wrogów, zachęcając ich do tortur. Co najdziwniejsze nie zatruli się wieczną nienawiścią do wrogów, raczej dumni byli ze swych osiągnięć. Informują nas o tym oczywiście nie awanturnicze romanse o czerwonoskórych, ani kicze Karola May'a, lecz świadectwa autentyczne czerpane ze wspomnień, z terenu Kanady i Stanów, takie jak "Ohiesa" lub "Wódz długa włócznia". Wynika z nich niewątpliwie, że nawet długie i krwawe walki nie wywierały moralności społeczeństwa czerwonoskórych. Takie czy inne formy zjawia się niechybnie, choćby nie powszechnie a tylko w postaci małych grup, jeśli Europejczyk i człowiek Zachodu nie ma stać się symbolem gwałtownika ukrytego w fortcach techniki, a nękanego wiecznym lękiem przed gwałtem innych, a w wypadku gdy technika zawiedzie — powolną miazgą i masą. Czy nasza cywilizacja przetrwa taki opór w razie jego rozszerzenia to inne pytanie. Zależać to będzie od tego czy nowi "gimnosofiści" staną się bardziej podobni do adeptów Gandhiego czy może tylko zupełnie apolityczni jak filozofowie z późniejszego okresu cesarstwa rzymskiego, albo czy raczej jako sui generis wojownicy jeszcze bardziej spotęgują stępienie i zdziczenie. Wszak i w ostatnich czasach nie brakło zdziczałych "ideowców", którzy niefortunnie naśladowali Indian podług bohomołów Karola May'a.

Czy falanga Gandhiego faktycznie hamowała w jakimś stopniu bądź dopływ kultury europejskiej, bądź selekcję spośród inteligencji indyjskiej dla szkół, nauk, i sztuk? Z tego co wiemy o żywej wymianie myśli Gandhiego z Europejczykami i o stosunku Aśram do przedstawicieli inteligencji nie odnosi się tego wrażenia, raczej przeciwnie. Sympatycy i uczniowie Gandhiego zjawiali się w punktach węzłowych i w chwilach krytycznych nadając kierunek. Przede wszystkim zmieniali atmosferę, "nastrój nie ustrój" jak się wyraził w swoim czasie Stanisław Szczepanowski. W jakim stopniu ten prąd potrafi się uporać z nagromadzonymi w ciągu wieków izolacjami i z całym "rozjednaniem" Indii nie zdołamy ocenić. Nie ma jednak danych, aby samo Aśram miało jakieś zapędy izolacyjne wobec swoich czy wobec obcych. Gandhi pozostawił ostrzeżenie dobitne: "wstrętne mi wszelkie odróżnianie między swoimi a obcymi".

Tym, co pozbawieni są innych bezpośrednich danych, nie-liczne zewnętrzne ślady, które dotarły do nas, mogą ilustrować

do pewnego stopnia rozwój Gandhiego. Mam na myśli fotografie i pismo. Na szczęście z fizjonomiki ani w grafologii nie wyłoniły się jeszcze dotąd takie doktryny jak z antropologii albo z socjologii, które pozwoliłyby dyskryminować a nawet zasądzać ludzi, więc amatorskie intuicyjne odgadywanie jest nieszkodliwe, co najwyżej może umocnić inne wrażenia i przybliżyć osobę. Sam Gandhi zresztą nie miał zaufania do fizjonomiki. Fotografie Gandhiego pokazują nam młodego studenta, nieśmiałego, choć skrycie upartego lecz naiwnego i lojalnego, który starał się dostosować do angielskiego otoczenia w Londynie, aby nikogo nie razić. Na późniejszych zdjęciach z Afryki widzimy człowieka głęboko smutnego, dźwigającego brzemień nie do zniesienia, jak gdyby mówił: nie wiedziałem, że takie ciężkie i bolesne. Wraz w okresie kiedy miał lat 50 pokazuje nam mężczyznę o ruchach chyżych, prawie rozkazujących, a fotografie ze starości oblicze prześwietlone pogodą, nawet humorem, którego nie nie może zaskoczyć. Biografka interpretuje: "jego śmiech beztrudny jak u dziecka, nieustannie żartuje, śmieje się wraz ze światem, lecz nigdy z świata". — Jeden z grafologów francuskich zastanawia się nad charakterem pisma Gandhiego. Jako główną cechę podaje wielką akuracność, spojenie wielkiej inteligencji i woli, niepokój podobny jak w charakterze pisma żołnierza i niezmordowaną skłonność do realizowania. Pośród pozostałych po Gandhim utensylii, miseczek i sandałów nieróżniących się od mienia wędrownego żebraka-mnicha, znajdujemy zegarek, który zresztą mimo znany prymitywny strój stale nosił przy sobie. Gandhi czuwał, gdy inni spali, rozdzielał czas niezmiernie starannie, jak to się mówi, żył z zegarkiem w ręku.

Ustronne osiedla i pustelnie Gandhiego powinny nam przypomnieć arcydzieło poezji indyjskiej, dramat "Śakuntala" zapewne od dość dawna najbardziej rozpowszechniony wśród czytelników europejskich z całej literatury indyjskiej. Goethe powitał "Śakuntalę" entuzjastycznie jako syntezę kwiatu i owocu, wiosny i jesieni, pobudki i ziszczenia, ziemi i nieba. Dramat tłumaczono wielokrotnie na wiele języków. W polskim posiadamy staranne i piękne tłumaczenie śp. Schayera poprzedzone zastanawiającym wstępem o tym dramacie-tańcu. Dziewczyna przebywająca w osiedlu puszczowym pod opieką wielkiego ascety, przyjaźni się z lasem, lianami, z kwiatami, brata się ze zwierzętami puszczy w czulej trosce. Los Śakuntali jest symbolem wiernego wytrwania przy ślubie mimo braku zewnętrznych dowodów. Poślubiła w tajemnicy przed światem, bez sankcji społecznej i rytuału, a podług "prawa Gandharwów" tj. muzykantów niebiańskich, opiekunów miłości, króla, który zapędził się na polowanie do puszczy. Później dziewczyna zgubiła pierścienek królewski, więc król stracił pamięć, nie mógł jej poznać ani uznać. Dramat jednak przedstawia triumf wytrwania przy ślubie. Niezłomna w całej swej czułości Śakuntala staje obok prostej i przejrzyściej Ifigenii. Także "Odyseja", przeciwstawiając

wyzywających, nawet knujących zbrodnie zalotników, rozważnej i wytrwałej Penelopie, piętnując ich epitetem "hyper-eno-reontes", co można by przełożyć "nadmiernie męscy" czy "zuchwalcy", wskazuje potrzebę zrównoważenia tej "nadmęskości" jak gdyby na to, abyśmy nie dali się jej zaskoczyć.

Wskazywaliśmy na różne próby unifikacji, których podjął się Gandhi. Nie wspomnieliśmy o najważniejszej. W ideale człowieka usiłował on spoić najbardziej ogólnoludzkie bieguny: pierwsiastek męski i kobiecy. Indiom nie jest to obce. W muzeum sztuki wschodniej Guimet w Paryżu jedna sala jest pod tym względem szczególnie pouczająca. Przedstawia w szeregu rzeźb i obrazów przemianę Pana wszechmiłosierdzia co nie wstąpił do Nirwany, by ratować świat z głodu i od piekła, w bóstwo kobiece Quanyin. Tłumaczono czasem, że nastąpiło tu nieporozumienie ze strony nieoświeconych teologicznie wiernych i że to pomyłka z nieświadomości. Kto się przypatrzył szeregowi rozwojowemu stanowczo będzie odmiennego zdania. Sztuka religijna potrafi uwidocznić i ośmielić autonomię potrzeb duchowych w rozwoju wierzeń, niezależnie od tekstów doktrynalnych. W swoim czasie R. M. Holzapfel, a niedawno R. Grousset zwrócili na to uwagę. Już w dawniejszych rzeźbach które przedstawiały, zapewne przy wpływie techniki artystycznej greckiej, Gautamę — Buddę, dostrzegamy spojenie męskości i kobiecości, potęgę i łagodności. Jak wskazują rzeźby różnych regionów (także znajdujące się w muzeum Guimet), wyraz rzeźb oscyluje to w tę to w ową stronę. Ów Budda to jest zwycięskim wojownikiem (na rzeźbach z wyspy Jawy), to jako wszechmiłosierny przyszedł Budda, zwany Awalokiteśwara, powoli przemienia się w Madonnę Quanyin. Gandhi w poprawce dla "nadmęskości" naszych czasów nie wyłącza pierwiastka kobiecego ze swej syntezy. Stawia go za wzór, uczy się od kobiet. Powiada: "uważać kobietę za słabszą od mężczyzny to znaczy utożsamiać siłę z brutalnością. Nazywać ją słabszym rodzajem, to potwarz. Pod względem duchowej siły przewyższa ona mężczyznę. Ma większą intuicję, jest bardziej ofiarna, wytrzymalsza i bardziej odważna. Jeśli Ahimsa jest prawem naszego istnienia, przyszłość należy do kobiet".

Nietzsche żartował przekornie, — a jeśli chodzi o jego wpływ niebezpiecznie, — że sama prawda także jest kobietą tzn. podąża za silniejszym. Gandhi widzi w prawdzie spojenie biegunów: prawda jest twarda jak diament a czuła jak kwiat.

Jak wiadomo, Gandhi choć wstrzemięźliwy w słowach nie był milczkiem ani odludkiem. Słynne były jego rozmowy podczas codziennych długich przechadzek, rozmowy z wszystkimi i o wszystkim. Pytania, wypowiedane jedno za drugim, nie wprawiały go w kłopot. Biograf powiada: jak cukrowy posąg Ganesza zatapiał się w każde pytanie i potem odpowiadał. Wszelako w ostatnim okresie życia sporo czasu pozostawiał dla samotności i dla medytacji. Wstawał o trzeciej rano, kiedy wszyscy jeszcze spoczywali. Także ustanawiał dni i godziny, w których nie rozmawiał z nikim. Powracał do siebie, do tej dziedziny, gdzie czło-

wiek, choć oddalony od tego co bliskie, styka się z szerszą wspólnotą. W takiej chwili milczenia dosięgła go kula zabójcy. Gandhi wyznaje, iż "żył nadzieją, że kiedyś, jeśli nie w tym życiu, to w przyszłych narodzinach, zdoła ogarnąć całą ludzkość w uścisku przyjaźni".

VII.

ŚLUBY I KOŁOWROTEK

Odpędzamy ciągle widmo izolacji, a uważny czytelnik zapyta: a w czym-żeż jest większa izolacja w stosunku do reszty świata poza Indiami niż w ślubach wstrzemięźliwości, kulcie krowy, propagowaniu tzw. khadi wraz z całym kultem kołowrotka i jego praktyką zostawiającą, co najmniej w intencji, chłopca indyjskiego tam gdzie jest.

Przypomnijmy, że "śluby" Gandhiego — ślub niejedzenia mięsa, niepicia alkoholu i wierności małżeńskiej, były przyrzeczeniami złożonymi matce przed wyjazdem do Anglii w młodym wieku. W nich kryło się jedyne *residuum* Indii, a nie w żadnych śastrach, księgach, przepisach lub zakazach kapłańskich. Po latach, przed czterdziestym rokiem życia, z własnej inicjatywy doszedł do tak zwanego bramaczarja, ślubu czystości czyli zupełnej wstrzemięźliwości płciowej. Podnosi, że wcale nie zaczerpnął tej inicjatywy z ksiąg i z "śastra" a jedynie z własnego doświadczenia i praktyki. Wszystkie te ograniczenia i praktyki są zarazem środkami jak i celami. Czyż rzeczywiście, stwarzając w rezultacie jakieś co najmniej rytualne gminy, brzydzące się innymi, przekreślają one spójnię dotychczasową? Czyż także wywracając wymianę gospodarczą przez propagowanie tkanin krajowych, a przez hojność towarów maszynowych i maszynowej fabrykacji cofają Indie? Czyż nie są od razu zamknięciem Indów do ghetta i odcięciem się od nie-Indów, od wszystkich obcych takiemu stylowi życia i smakowi?

Zanim odpowiemy na te pytania, winniśmy przypomnieć, że przywódcy europejskiej polityki już dość dawno przyzwyczaili nas do "środków" fantastycznych, jako że jednym tchem prześladowali religię i wyszydzała ją dzisiaj, a jutro ogłaszali się obrońcami uciśnionych wyznań, jako że dziś podsuwali domysły, że chrześcijaństwo jest żydowską intrygą, albo jawnie stwierdzali, że jest opium kapitalistycznym, a jutro stawali do sojuszu z nim albo reklamowali siebie jako jedynych jego obrońców. I w dalszym ciągu otwarcie lub w masce organizowali na zimno masowe ludobójstwa, dla społecznej "ochrony" i zabezpieczenia lub korzyści gospodarczych. Lecz powiedzą nam słusznie: Gandhi upiera się, że w środkach ziszcza się cele i z drugiej strony twierdzi, że patriota nie może ignorować żadnej gałęzi służby dla ojczyzny, tak że nic nie może pozostać zamiłowaniem czysto prywatnym albo *hobby*. Ponadto podkreśla, że

najlepszym patriotą jest ten, kto jest najbardziej człowiekiem. Ospałe i letnie człowieczeństwo to mizerny patriotyzm. I w końcu, jako adept "magicznego wpływu" Ruskina, zgłasza akces do zasady o której wyraził się Sokrates, że jest najpiękniejszą jaką kiedykolwiek wypowiedziano i jaką się wypowie "że co pożyteczne to piękne, a co szkodliwe to brzydkie i odwrótnie". Jakże to się zgadza wszystko i jak to pogodzić z utylitaryzmem nam dostępnym?

Zostawmy Indom krytykę w jakim stopniu te praktyki i zasady przyczyniły się do wzmożenia siły Indii, a pozostawmy przy skromnym pytaniu czy sprzeciwiają się one stylowi Zachodu, w przeszłości i w teraźniejszości, tak dalece jakby to się zdawało na pierwszy rzut oka.

Sprawa alkoholu nie wydaje się tak ważna, chociaż w swoim czasie Ameryka zdobyła się, jakże niefortunnie, na "suchość" a z drugiej strony z Polski dochodzą poważne skargi na rozpijanę się młodego pokolenia. Nie trzeba zresztą być zbyt radykalnym i można dostrzec łatwo różnicę między naszymi pijakami a francuskimi smakoszami. Prezydent Jefferson stwierdza, że nie widział nigdy we Francji, nawet w najniższej klasie społecznej, całkiem pijanego człowieka. W starożytnej Grecji istniało powiedzenie: "pijany jak Helota", we Francji analogiczne, a stare porównanie odnosi się do jednego narodu w szczególności.

W zakresie wstrzemięźliwości czy chociażby dyscypliny płciowej Zachód przebywał różne perypetie i nawroty. Pomijamy tutaj śluby duchownych i zakonników, gdyż nie zachęcają one laików, a ogół niestety nie zastanawiając się nad nimi, traktuje je przeważnie obojętnie a nawet podejrzliwie. Mimo że słyszy się ciągle o rozwodzeniu, wydaje się, że zupełny "liberalizm" erotyczny jest w odwrocie. Psychoanaliza, przy wszystkich przesadach i apodyktycznych sądach, przy nieuprawnionych wycieczkach z dziedziny choroby w dziedzinę zdrowia, co najmniej uprzedziła nam jedną rzecz, że jest się nad czym zastanawiać. Nietzsche, bez żadnej natrętnej przesady, wskazywał niejednokrotnie, że rodzaj i styl życia płciowego odbija się nawet na najwyższych dziedzinach i że sam popęd zdolny jest do niespodzianego wysubtelnienia, także przez wstrzemięźliwość. Chociaż uważa to za szkodę, że duchowni w średniowieczu, najbardziej uduchowieni i najzdolniejsi podówczas ludzie, nie pozostawili potomstwa, uważa wstrzemięźliwość za praktykę mądrą, jako "ekonomię ludzkości". Nie pozostawia wątpliwości, że chodzi mu o zaoszczędzenie sił dla medytacji i życia religijnego, mimo jego znaną opozycję wobec chrześcijaństwa.

Wieści rozpowszechniane zapewne celowo o takiej czy innej wstrzemięźliwości dyktatorów nowoczesnych miały posuch. Zdążyły widocznie do wzbudzenia zaufania w ich bezosobistość,

w dodatku legitymowały wymagania od ogółu takich czy innych, a coraz większych wyrzeczeń, skoro wódz sam daje przykład. Lecz w Indiach od dawna ustanowiono hierarchię ascezy i dawano sobie łatwo radę z takimi ascetami. Wiadomo czytelnikom Ramayany, że wódz demonów, potworny i zły Ravana, przedstawiony jest jako wielki asceta, który podpatrzywszy tajniki ascezy zyskał taką potęgę, że zagrażał bogom, aż czysty i wierny Rama pokonał go. Później jeszcze nauczyciel Gautama Buddha, przeszło czterysta lat przed naszą erą, ostrzegał, że nie należy do cierpień życiowych dodawać nowych cierpień przez ascezę.

Można by powiedzieć, że społeczeństwa zachodnie mają większe kłopoty i w rezultacie okazje do prób twardszych od wszelkiej ascezy. Tylko że przeważnie przyjmują je nie jako próby i doświadczenia lecz jako klęski. A po zagrożeniu masowym wybuchu rozwyrznięcie, nieraz piekielne, potem przychodzą nowe klęski i tak się to wszystko kręci w koło nierozumnie. W okresie gdy przejawy nienawiści i zbrodniczej żądz władzy dochodziły do zenitu Aldous Huxley wykazywał, że nigdy żadna namiętność płciowa ani nawet zboczenie płciowe — już częściowo także dzięki zasadniczemu charakterowi wzajemnego zadowolenia — nie może spowodować tyle spustoszenia co nienawiść i żądza władzy. Wszelako nikt nie może położyć tamy bardziej "poetyckiemu" instynktowi sublimacji o którym mówi H. Thoreau, a z nim pragnieniu poszanowania człowieka, kobiety w szczególności, celem uzyskania respektu dla siebie samego. I to jest miernikiem hierarchii Gandhiego. Aby uznać konieczność tej hierarchii nie trzeba nawet sięgać tak daleko jak Gandhi. Wystarczy zastanowić się nad umiarem ucznia Sokratesa Arysypa, założyciela szkoły tzw. hedoników, zalecającego nawet rodzaj ascezy, celem zachowania niezależności, a tym bardziej nad szlachetną delikatnością Epikura, który u szczytu hierarchii etycznej, zmierzającej do wewnętrznego spokoju i radości, stawia motywy nieuchwytnie. Obaj, nawet dla eudajmonizmu, ustanowili hierarchię skromną lecz wyraźną. Niepokój i przesylenie już choćby samej wyobraźni erotycznej uniemożliwia wszelką "sublimację", wyzwala z kolei obrzydzenie i nudę, wyjąławiąca, a w rezultacie przygotowuje nałożenie "hierarchii" z zewnątrz.

Wstrzemięźliwość od mięsa wydaje się błaha, prawie śmieszna, a przede wszystkim niemożliwa, zarówno ze względów rzekomo zdrowotnych jak też z nastawienia całej naszej gospodarki. Cóżby stało się z hodowlą bydła, rzeźnią, transportem, fabrykami konserw mięsnych itd? Katastrofy wojenne pouczyły nas, że najpotężniejszy *usus* gospodarczy i konsumpcyjny łatwo da się zniszczyć, a każde przyzwyczajenie da się zastąpić. I że obojętność w tej sprawie może być przejściowa jak niejedno w naszym smaku. Nie kto inny jak Amerykanin, Thoreau zajął w tej sprawie stanowisko zdecydowane i przeko-

nywujące, że chociaż śmiesz nas wegetarianie, to przecie nawet przy dobrych kotletach i zakąskach myśl zabijania zwierząt i tego co poprzedza sporządzenie kotletów, odsuwamy jak najchętniej. Thoreau uwydatnił, że wstrzemięźliwość od mięsa nie opiera się na zasadzie purytańskiej, lecz po prostu na instynkcie i smaku subtelniejszym niż samo podniebienie. Przede wszystkim — sądzi Thoreau — nasze "poetyckie skłonności" sprzeciwiają się zabijaniu zwierząt i pożeraniu mięsa. Postęp rodzaju ludzkiego jak w wielu innych rzeczach pójdzie w kierunku tego instynktu, podobnie jak w zamierzczłych czasach zaprzestano ludożerstwa i zjadania nieprzyjaciół. Człowiek wciąż jeszcze jest w stadium żarliwej poczwarki, a wszak motyłowi, który nadal ma pod skrzydłami brzuch poczwarki, wystarczą kilka kropel miodu. Całe narody pozbawione imaginacji są jeszcze poczwarkami o potężnych brzuchach i odpowiedniej żarliwości. "Ten człowiek będzie dobroczyńcą ludzkości, który nauczy ją bardziej niewinnej i zbawiennej diety". Tyle Thoreau.

Śmiesznie jest oburzać się na "mięsożerców", bo zresztą nawet trudno byłoby oburzać się na biednych prymitywnych ludożerców, jeśli są jeszcze tacy. O ile wiadomo z relacji znawców Afryki tradycje o ludożerstwie nawet w najbardziej odległych zakątkach, odnoszą się raczej do nawrotów tajnych sekt religijnych o formie orgiastycznej, których członkowie działali w odurzeniu trunkami. Recydywy ludożerstwa podczas głodu w ostatnich wojnach i w obozach koncentracyjnych, nie są nieznanne. Trudno powiedzieć czy tacy nieszczęśnicy dostarczyliby jakichś dowodów wegetarianom tzn. czy rekrutowali się spośród zjadaczy mięsa czy po prostu byli opętani piekielnym głodem. W greckim micie ciągle jeszcze czaiła się obawa przed taką recydywą, jak w podanej przez Pauzaniusza arkadyjskiej tradycji o rozgniewanej Demetrze, bogini rolnictwa, która odmawiając swych płodów śmiertelnikom, grozi przez usta wyroczni: "Uczynię was wzajemnożercami a potem będziecie zjadać ze smakiem swe dzieci". Także Plato powtarza arkadyjskie podanie ze świątyni Zeusa Lykejskiego (chroniącego od wilków, czy od stania się wilkołakiem) o człowieku, który raz skosztoławszy ludzkich wnętrzności zmieszanych z posiekanymi wnętrznościami zwierząt ofiarnych, stał się przez to samo wilkiem. Plato używa tego do porównania z tyranem, który "kosztuje bezbożnie ustami i językiem" mord i z konieczności staje się wilkiem.

Ochrona a nawet kult krowy jest co najmniej symbolem doniosłości świata zwierzęcego i zwierząt domowych, na których opiera się cywilizacja. Przypomnijmy znaczenie krowy wyrażone w starożytnej poezji Rigwedy, w kulcie egipskim, w znaczeniu religijnym gwiazdozbioru Byka i wreszcie u Homera, gdzie Hera, bogini związków stałych, jest "krowioka". Symbole te sięgają aż do Apokalipsy. Ochrona krowy mogłaby i teraz nas

zastanowić w okresie, w którym nieustannie słyszymy alternatywę: masło czy armaty? Masło to tak — odpowiadano — ale cóż nas obchodzi krowy. Maszyny, a raczej brak zrozumienia maszyn, nauczyły nas także od ludzi wymagać tylko wydajności. Zbyteczne wywodzić, co zawdzięczamy zwierzętom domowym. W Europie, w Karpatach albo na Bałkanie żyją jeszcze pastarze nie tak odlegli od kultu krowy, gdyż uważają krowy nie tylko za przedmiot wyzysku i użyteczności, lecz za istoty żyjące, a nawet zindywidualizowane. Pewien respekt, a nawet coś jakby czułość wobec zwierząt dzikich nie jest nawet obcy tamtejszym myślim, gdyż mają sposobność zastanowić się, jak się odbywało niegdyś osławianie zwierząt i jakich zabiegów obserwacji i cierpliwości wymaga, w większym stopniu niż brutalności i zniewalania zwierząt. Odwrotnie zaś, tam gdzie wyniszczono już dzikie zwierzęta, wcale to nie jest oznaką zniszczenia dzikości człowieka. Nie od dziś wiadomo, że brutalność wobec zwierząt jest szkołą brutalności i okrucieństwa i że w niej kryje się najhulaniejsza z ludzkich cech: wyładowanie natury człowieka wobec czegoś, co jest na pewno bezbronne, nie może odpiąć, a w dodatku przestało być użyteczne. Dlatego może Montaigne zastanawia się trwożliwie: "Nature a — ce crains-je — elle-même attaché à l'homme quelque instinct à l'inhumanité". Bo Montaigne — może ku zdumieniu niejednego czytelnika — pyta także: "Czyż nie ma pewnego respektu i obowiązku ze strony ludzkości, nie tylko w stosunku do zwierząt, lecz nawet do drzew i do roślin? Winniśmy im przecie wzajemne zobowiązanie tak jak ludziom sprawiedliwość". Odwołuje się także do teologii: "Ten sam mistrz umieścić nas dla swej służby w tymże pałacu, w którym są także zwierzęta, wraz z nimi należymy do Jego rodziny. Stąd teologia wymaga od nas respektu i przywiązania do nich". Jesteśmy w pobliżu krowy. I kto wie czy większe przywiązanie do niej, chociażbyśmy tylko pamiętali o maśle przed rokiem 1914, nie przeważałoby lub przynajmniej nie przesunęłoby naszych przywiązań w kierunku przywiązań pasterzy. "Kult krowy" z wszystkimi akcesoriami śmieszności — jakie można widzieć jeszcze w Ementhal przy zlegnięciu krowy — nie stanowiłby zapewne wielkiej zapory, ale co najmniej taką, jaką spotykał Aleksander Macedoński w pochodzie na Indie, gdzie wojska walczące omijały stale orzącego rolnika, który się zresztą o nie zupełnie nie troszczył.

Nie omieszkajmy dodać, że w ochronie krowy zwolennicy Gandhiego w Indiach wykazali wiele starań około podniesienia hodowli, zarządzania mleczarni i że cała wyteżona, a praktyczna działalność dla zracjonalizowania tradycyjnych przywiązań nie była im obca.

Nie oszczędźmy czytelnikowi jeszcze jednego curiosum. Oto w szkole-pustelni, Satya-graha-Aśram, nie zabijano węży i żmij. Starano się je przenosić na odległe miejsca, ale nikt nie bał się węży. Gandhi podnosi z zadowoleniem, że przez 25 lat wę-

że nie ruszyły nikogo z mieszkańców pustelni. "Może to zabobon — objaśnia — że stało to się dzięki opiece bożej, ale taki zabobon można przygarnąć". Nie ośmielamy się interpretować, ale kto się z tym stykał i wysłuchał uważnie relacji, wie że przeważnie węże nie atakują ludzi i że ostrożnością i cierpliwością nie trudno dać sobie z nimi radę. We wsi Hołowy w Karpatach żył pewien gospodarz, który trzymał w domu żmiję w większej ilości, jako humorysta lubił nimi postraszyć, a gdy warto było, opowiadał, jak daje sobie z nimi radę. Pytano go czy jest czarownikiem. "Jaki tam czarownik — odpowiadał — nie strasz, nie krzywdź, bądź cierpliwy, każda chudoba to zrozumie". A niedawno, dość wysoko w Alpach francuskich, widziałem młodego skauta ukąszonego przez żmiję i słyszałem relację. Jeden ze skautów złapał żmiję ostrożnie i położył ją sobie na piersiach pod koszulę, aby się grzała. Tam leżała spokojnie z jakie pół godziny. Potem przyszedł drugi skaut i wtedy pierwszy, chcąc go nastraszyć, nagłym ruchem wyjął żmiję zza pazuchy i rzucił nań. Wtedy żmija natychmiast ugryzła przybysza. Szczęście, że obóz posiadał zastrzyki. — Jako advocatus serpentis także Gandhi nie pretenduje chyba do żadnych innych tajemniczych sił dla poskramiania węży. Można by się z tym wszystkim prawie wstydić za niego, za tak błahe zainteresowania, gdybyśmy nie pamiętali, że mimo wszystko, w naszym rozumieniu, był praktyczniejszy niż św. Franciszek z Assyżu, który jakoby kazał bratu Bernardowi wysypywać ostrożnie z koszuły perły niebieskie to jest po prostu wszy, aby którejs z nich nie zgnieść. Gandhi chociaż wywodzi się z rodziny dżainistów, szczególnie czułych na punkcie nie zabijania żadnej istoty, przyznaje przynajmniej, że człowiek nie może nigdy zupełnie osiągnąć Ahimsa, gdyż on sam używa dezyfekcji przeciw moskitom, bakcydom itd. Wszelako jeśli to prawda, że w Europie zjawiało się coś takiego, jak odrodzenie czci dla św. Franciszka, ci którzy do tego się przyznają powinni zadumać się na jak niebezpieczny teren wkraczają, jeśli entuzjazm ich nie ma być tylko estetyczny lub zgoła dekoracyjny.

Dyskutowano znaczenie wprowadzenia przez Gandhiego tkaniny (przędzy domowej), tzw. khadi, a przeoczono, zdaje się, że były one przede wszystkim po to, aby nakryć nagość lub zastąpić lachmany tyłu biedaków w Indiach. Poza tym khadi miało jeszcze ten cel, aby zatrudnić miliony chłopów, unieruchomionych podczas długich okresów deszczowych, w których nie mogą zarobić, a czasem nie mają co włożyć do ust. Nasuwa się powiedzenie: nie sztuka w kraju tak zacofanym uruchomić kołowrotek i tkalnie domowe, więc czegoż to dowodzi? Tymczasem Indie, mimo że są krajem o starej cywilizacji, były tak wynędzniałe, że nawet kołowrotka nie można było znaleźć! Gdy przyjaciele Gandhiego znaleźli go nareszcie, wołał on z triumfem: "Nareszcie znaleziono". I taki tytuł nosi rozdział jego autobiografii. Trudno to sobie wyobrazić, bo nawet we

Francji kołowrotek nie jest rzadki, nie ma najmniejszej trudności, aby go znaleźć jeszcze w użyciu. Gandhi nie czekał na industrializację. Otwarcie zresztą mówi, że jest przeciwnikiem maszynizmu, chociaż ceni maszynę dopóki jest narzędziem dla człowieka, a nie jego władcą. Jakby dla podkreślenia tej zdobyczy i niezależności od importu angielskiego, coraz więcej ludzi z kół inteligencji indyjskiej nosiło khadi. Uchodziło to za obowiązek, a nawet nieraz można było widzieć w Europie, szczególnie panie indyjskie, odziane w piękne choć proste tkaniny domowe. Lecz mówią nam na to zupełnie słusznie: to chyba mało, to bez znaczenia, że córka czy wnuczka Rabindranatha Tagore przyjedzie do Londynu tak ustrojona. Jakież to ma znaczenie dla ogółu? Bo zarobek z tkaniny ręcznej nie wynosi więcej niż cztery pensy dziennie, jest to więc zupełnie nikłe, a przecież w Bombaju i w innych miastach indyjskich przez dwadzieścia cztery godzin bez przerwy grają, jak istne młyny diabelskie, maszynowe przędzalnie, zatrudniające tłumy robotników. Wszakże Gandhi, jak słusznie wywodzi Sir Stanley Reed, rzucił wielki pomysł stworzenia czy odrodzenia przemysłu domowego na ogromnych przestrzeniach Indii, szczególnie w miastach deszczowych, które z natury rzeczy, z powodu przerw w komunikacji, dają rękojmię trwałości takiego przemysłu. Czy kołowrotek i podobne mu narzędzia, przynajmniej w Indiach, przynajmniej czasowo, oprze się "diabelskim młynom"? Zależy to w dużej mierze od woli samych Indów, od ich przywiązania do ziemi i do wolności. Gandhi powiada w swej autobiografii: "Kołowrotek zaczął grać w mej izbie i mogę powiedzieć bez przesady, że ta gra w niemałym stopniu przywróciła mi zdrowie".

Najbardziej znane, jak gdyby spektakularne stały się posty Gandhiego. Jakoś nie zdarzyło mi się natrafić na ich interpretację. Nie dziwi to nikogo, że post może służyć dla regulacji zdrowia czy jak się mówi "nerwów". Sam Gandhi zresztą zalecając post podaje dość szczegółowo wypadki, w których należy zastosować post w celach zdrowotnych. Podkreśla też, że post — podobnie jak "bramaczaria" — nie ma wartości bez udziału duszy, bez intensywnego badania siebie samego i zwrócenia myśli ku Bogu. Co jednak dziwiło wszystkich, to okoliczność, że pościł niejako publicznie. Ta publiczna pokuta zamierzała działać skutecznie na innych, gdy słowa lub rady nie wystarczały. Jak gdyby dla zmierzenia się ze sobą samym i z oporem innych, próbował czy godzin jest swego wpływu, czy jego czystość dostatecznie przekonywa. Głód, z natury rzeczy uprzytamnia ostro izolację człowieka. Uwydatniając zaś zależność od ciała i od świata stawia go na skrajnej granicy osamotnienia. I Gandhi powiada nieco zagadkowo, że jego post jest tajemnicą między nim a Bogiem. Taka kładka przez jar samotności nie tylko chroniła go od goryczy i od *ressentiment* — co Nietzsche tak pochopnie przypisuje pokutnikom — czyniła go jasnowi-

dzącym dla istniejącej wspólnoty z tymi, którzy byli z nim związani. Posty jego były skuteczne.

VIII.

ZAMIAST KONKLUZJI

Przygodny nasz odzew, a obraz, mimo dobre chęci, przypuszczalnie w niejednym szczególe mylny. Pocieszyć nas musi mało zasłużona nagroda, że zanim zgłosi się ktoś kompetentny, głosu polskiego o Gandhim nie zbraknie. Sir Stanley Reed we wspomnieniu poświęconym Gandhimu podnosi, że nie można jeszcze o nim wypowiedzieć ostatecznego werdyktu dziś — a może nigdy. Tym większe trudności napotyka każdy, kto zechce go charakteryzować na podstawie książek, a najwięcej z własnej sympatii czy opozycji. Wszelako mimowoli zjawi się pytanie: a cóż my wszyscy na to?

Nie ulega wątpliwości, że Gandhi zyskał na zachodzie wielu sympatyków. Nie brak też nieporozumień, odezwań w mniejszym lub większym stopniu niemądrych. Do takich należy charakterystyka, że Gandhi to teolog, dzielący włos na cztery części. Autor jej widocznie nie przeczytał nawet kilku stron teologii europejskiej czy azjatyckiej.

Tych spośród nas, którzy usiłowali choć z daleka przyjrzeć się, uderza przede wszystkim, że Gandhi jest takim rewolucjonistą, który wywraca nasze wyobrażenia o rewolucji i o rewolucyjnej polityce. "Ten, który działa nigdy nie ma racji". — To zdanie Goethego czasem niepokoiło ludzi młodych, aktywnych a jednocześnie sumiennych. A twarda sentencja historyka kultury J. Burckhardta: "Wszelka władza jest z gruntu zła" mogła uwodzić do rezygnacji, że także władza rewolucyjna nie lepsza lecz gorsza od zacofanej lecz ustabilizowanej. Już przed stu dwudziestu laty, świadek tylu przewrotów i zmian i uczestnik wielu systemów politycznych, Benjamin Constant ostrzegał przed zbytnimi nadziejami. Zapamiętał on sobie, że trucizna despotyzmu może się ukryć za parawanem doktryn wolności. Co gorsza, zauważył i przepowiedział, że dzięki ujednolaceniu nowoczesne władze uzurpacyjne i duch podboju nie zadowolą się hołdem na kolanach jak dawni zwycięzcy, lecz że "chcą rzuć na kolana wewnętrzną siłę człowieka". I najnowszy historyk R. Grousset w swym "*Bilan de l'histoire*" zamyka drogę pewnym nadziejom na bliższą przyszłość wskazując, że doktryna przemocy przemienia nawet socjalizm w imperializm klasy robotniczej, podczas gdy Jaurès uważał go za synonim wolności.

Jakże niespodziane imponderabilia wynosi Gandhi na światło dzienne: potwierdzenie przez negację, działanie przez niezwalczony bierny opór, rozpoczynanie tam, gdzie jesteśmy, i wszędzie. Nie pozbawia nas ciągłego ryzyka i tragizmu, powiedzmy szczerze, stwarza atmosferę czuwania i napięcia, trudną prawie

do zniesienia. Jednak dzięki połączeniu wytrwałości z niespotykaną delikatnością daje przeświadczenie tej wiedzy i instynktowi, które są zawsze żywe lecz jakże onieśmiałe. Odnosi się potem wrażenie, że Indowie są powołani nie tylko do zachowania i odnawiania prawd starych, lecz także do odkryć tam, gdzie ich się nikt nie spodziewa. Mimo, że strzeże się tajemniczości, ukrywania i wszelkiej "secrecy" do tego stopnia, że pewien mniej bystry recenzent podniósł przeciw niemu zarzut ekshibicjonizmu, każdy gest Gandhiego ma jakiś aspekt tajemniczy. Jako wychowawca przyznaje się, że ma, z przekonania, niechęć do podejrzewania ludzi, że natura ludzka przystępna jest przyjaźni. Jego asceza nie miażdży, gdyż nie uzurpuje sobie nią żadnej władzy na teraz ani na potem, lecz budzi swobodę wyboru, jego tolerancja nie czyni letnim ani rozlazłym, raczej hartuje w sobie, a gdy się przysłuchać uderza cicho w jakieś struny ukrytej solidarności. Nie mało zadziwia, że nigdy nie pożałował tego co powiedział lub napisał, choć przyznaje się do omyłek. Słowa jego ważne, stąd unika banalnej, grubo nadużywanej alternatywy, która z góry dewaluje słowo, że gdy się chce wyrazić komuś uznanie, mówi się nieraz: to człowiek nie słów tylko, lecz człowiek czynu. Wie, że nie słowem można wyrazić wszystko, ani czynem zdziałać, lecz — jak w muzyce następstwem tonów, zmianą tempa, barwą instrumentu i pauzami — ich barwą, ich intencją i wzajemną pozycją i tym czego się nie mówi i nie czyni. A najwięcej chyba ze wszystkiego uderza, że nie ma w sobie żadnej goryczy. Bo nie brak takich, którzy wytrwali przy prawdzie, ale jakże bywają gorczy, nawet rozczeleni, piekąc innych, co najmniej siebie samych, jakby w odplacie.

Nikt jednak nie sądzi, aby Gandhi mógł uzyskać rychło jakiś trwały wpływ na Zachodzie, zwłaszcza, że jeszcze nie wiadomo co sądzić o jego wpływie w Indiach, gdy zbrakło jego osobistości. Zazwyczaj określa się Gandhiego, jako pacyfistę. A sama ta mglista charakterystyka myli, zwłaszcza że europejski pacyfizm przeważnie w sposób określony dąży do uruchomienia jak gdyby maszynierii pokoju, działającej automatycznie i niezawodnie. Zbyt łatwo dziś naśmiewać się z pacyfizmu po wyniszczeniu tyłu jego wyznawców i zgnieceniu możliwości. A prawdę mówiąc nie uchodzi. Co prawda, inflacja poczynań pacyfistycznych po pierwszej wojnie światowej sprawiała czasem wrażenie myszy tańczących wokół zabitego kota. Pacyfizm europejski zresztą rzadko zwraca się do bezpośredniego otoczenia, nigdy chyba do własnego narodu, tylko bez żadnych pośrednich instancji, wprost do ludzkości. Wszelako w narodach i państwach najbardziej wojowniczych i zaborczych jak Niemcy i Rosja, wstali tacy apostołowie pokoju jak Kant i Tolstoj. Ich zdobycze w dziedzinie świadomości są trwałe. W wykonaniu nie brakło w Europie ludzi poczciwych i rozbajających — ale nie tych, rozbajali których chcieli rozbajając — jak Landsbury, który wierzył, że najłatwiej mogą urządzić pokój Hitler i Mussolini. Hitler i podobni jemu zresztą zadali większą jeszcze klęskę pacyfizmowi, posługując się pa-

cyfistami dla rozbajania przeciwników, niż przez wyniszczanie ich w Buchenwaldzie. W szeregu pamiętnych masowych manifestacji na rzecz pokoju w Europie wymienia się zazwyczaj także akcję komitetów brytyjskich, które propagowały bojkot wysyłek w roku 1920, kiedy "feudalna Polska napadła Rosję". O obecnej chwili szkoda mówić. Moltke, jak gdyby komentując Kanta, sądzi, że wieczny pokój jest tylko marzeniem i to wcale nawet niepięknym. Skoro dotychczasowe wykonania zawodzą, należy życzyć sobie, aby przynajmniej marzenia pacyfistów, odmładzając się radykalnie, stały się niesfałszowane i piękne, a przez to skuteczne.

I przynajmniej tyle byłoby pożądane, aby od czasu do czasu powiew Ahimsy nas orzeźwił, aby jej strumień nas obmył jak dusze czyścicowe zanim, jako duchy z innej dziedziny będziemy straszyć, podobni duchowi Szeli z "Wesela" Wyspiańskiego: "Dajcie bracie kubeł wody, ręce myć, głowę prać, nie będzie znać!"

Co najmniej trzy stwierdzenia w duchu Gandhiego wszelako mogłyby w zasadzie uzyskać zgodę: 1) że wojny nie zaradziły złu, które zamierzały wykorzenić, lecz że je zwiększyły. 2) że — aby użyć starego wyrażenia Platona — państwa i społeczeństwa "nie rodzą się ze skały ani z drzewa, lecz z obyczajów obywateli". 3) że dla formowania obywateli przywiązania duchowe mogą być realną sprężyną, bo podobne ukrytym siłom drobin i atomów, spoczywają nawet w najmniejszym człowieku. — To ostatnie stwierdzenie co prawda należało by nieco obszerniej wyjaśnić. A może istnieje jeszcze jedno stwierdzenie, raczej wniosek, który mógłby ogół więcej obchodzić, o ile uzyska posłuch: że dążenie i przywiązanie obywateli do dobrobytu, nasylenia i bezpieczeństwa naruszają te właśnie cele, a w szczególności, że ideał "welfare-state" nie tylko nie zrodzi nowych "welfare-states" — lecz nawet nie broni stanu obecnego, jako że wyklucza niezbędne do tego cechy. Gandhi poza tym nie jest prorokiem, który grozi i wskazuje "co idzie", bo to co "prorokował" o wyniku zbrojeń, ćwierkają wszystkie wróble na dachu. Z drugiej strony optymistą nie można nazwać człowieka, który wyznaje, że w pewnym okresie trzymała go przy życiu jedynie subtelna pokusa służenia. Z tym wszystkim ten genialny improwizator jest zbyt intuitywny i konkretny, zbyt mało doktrynalny, aby mógł zaważyć na działalności lub choćby na mentalności zachodnich społeczeństw.

A może przecież w wyniku sympatii, jakieś grupy spośród nas przyznają się do Gandhiego? Nie wykluczajmy tego, ale to co widzimy nie ma wielkiego znaczenia. Przede wszystkim są to długowłosi dziwacy w sandałach, którzy nie wyrządzają ani nie doznając żadnej krzywdy, wygłaszają sobie kazania i upomnienia po parkach i dworcach kolejowych, w tych krajach gdzie to nie wywołuje zdziwienia. Ich zasługą jest, że nie boją się śmieszności. W dalszym ciągu przyznaliby się może do Gandhiego ludzie poważni i mężni, choć nieliczni tak zwani C. O. (Con-

scientious Objectors, Objecteurs de Conscience), którzy w czasie pierwszej wojny wykazywali najwyższą odwagę. Sytuacja zmieniała się. Niedawno we Francji w pismach periodycznych przeprowadzono ankiety w sprawie C. O. Nie wypadły one obiecująco. Jedno z najbardziej charakterystycznych odezwań zawdzięczamy znanemu pisarzowi J. Paulhanowi. Wyliczając Romain Rolland'a, J. Prevost'a, A. Malraux i Roux le Baudel'a (Chamson'a) wykazuje po kolei, że każdy z tych C. O. znalazł w końcu wojnę, która mu odpowiadała, i w której bądź sam brał udział, bądź wzywał do niej. "C. O. — powiada Paulhan — to człowiek, który oczekuje *swojej* wojny, a mieliśmy przecież dość wojen do wyboru".

Możliwe, że w innych krajach, stosownie do temperamentu, istnieją jeszcze C. O. trwający przy swych zasadach bez rozgłosu, tym bardziej bez rozgłosu literackiego. Lecz Gandhi, który chyba doceniał takie motywy i czyny, twierdzi stanowczo, że C. O. zaczynają za późno, bo w ostatniej fazie rozwoju tych stosunków, których przedtem nie zwalczali. Pozostaje zatem jeszcze jedna grupa ludzi dostarczających prawdopodobnie największego kontyngentu zwolenników Gandhiego na Zachodzie. To ludzie rozzarowani, jako że Europa ze świątyni postępu stała się muzeum rozzarowań, w którym dawniejsi wyznawcy tak się czasem znęcają nad wczorajszymi obiektami kultu jak dawni wierni w muzeum bezbożniczym. Rozzarowani zwracają się wszakże czasem resztką umiłowań ku przeszłości Europy zajmując postawę ludzi wyrzuconych na schody i głoszą: Trzeba było!... Może trzeba było oprzeć się wojnom? Może stać się C. O.? Po cóż ginieliśmy dla spraw bez wartości, co gorsza dla takich, którym byliśmy przeciwni? Cywilizacja upada. Zachód chrześcijański? To chyba żart. Demokracja? to dążenie do nasylenia, a któż zechce bronić sytości innych. Z rozzarowania gotowi na śmierć nie dlatego aby coś spełnili, tylko że nic im nie pozostaje do spełnienia. Ustupującej z pola demokracji pozostaje tylko lament nad upadkiem demokracji i wyskakiwanie przez okno. "Vite, soufflons la lampe afin de nous cacher dans les ténèbres". Rozzarowanie rodzi pogardę, jest z nią w ciągłej korespondencji. Niedawno z powodu jubileuszu Anatola France'a liczni pisarze stanęli w słusznej obronie jego przed "spadkobiercami", którzy ściągają go z piedestału sławy i zasług. Jeden z obrońców wywodzi: Niech nam ktoś pokaże choć szczyptę totalizmu, choć linijkę totalitarną w spuściznie Anatola France'a. Co więcej — powiada — któż jak nie Anatol France wyprzedził obecną deziluzję i nasze rozzarowanie, co kulminuje w jego słynnej postawie "pogardy dla człowieka w czuły sposób"! — Wynikałoby z tego, że totalizm spadł z chmur i nie czerpał dopływów z rozzarowania i pogardy. Pogarda i rozzarowanie są jak dżuma, nie oszczędzają tych, którzy zamknęli się w bastionie pogardliwej czułości. Cóż więc pozostaje? Może Gandhi? Na pewno non-violence! — "Któż jesteście wy, których

świat rozzarował? — woła H. Thoreau — Czyż raczej nie wy sami rozzarowaliście świat".

Przed stu pięćdziesięciu laty z górą Herder piętnował zarozumiałe pretencje Europejczyków, by mieszkańcy wszystkich części świata jedynie przez zeuropeizowanie mogli osiągnąć szczęście. Obecnie mieszkańcy wielu części świata chętnie przyjęliby od Zachodu różne wyniki, zwłaszcza techniczne i pewne wygody, bez tego aby chcieli przyjąć założenia i stać się Europejczykami. Za to aktualne stało się inne życzenie Herdera: "By przyszłym epokom (jak się wyraża — "Eonom") pozostawić dobre ziarno, po to abyśmy nie zeszli ze świata jak zniewieściali mordercy". Tylko tyle? A to chyba najtrudniejsze. Bo właśnie należy się obawiać innych nasion, które by według mitu można nazwać smoczymi zębami, czy też innych tzw. ubocznych produktów naszego spadku. Nie wiemy jednak dobrze, czy chcemy przekazać jakieś nasiona, czy raczej żyć za wszelką cenę jako Europejczycy z minimum bezpieczeństwa i wygody. Na nie-szczęście nie ma miejsca dla Papkinów, nie można nikomu powiedzieć pocziwie: "A któżby się tam łakomił na waścinie nędzne życie". Spełnił się ideał Nietzschego: żyć niebezpiecznie! I to najłatwiejsze, bo im kto bardziej bierny, nawet im bardziej gorączkowo ogląda się za bezpieczeństwem, tym żyje niebezpieczniej.

Mnożą się przeto znaczne organizacje, zjazdy, konferencje i konwencje, które powinny nas napełniać otuchą, jak niedawno podpisana nowa konwencja w Genewie. Któż kwestionowałby troskę jej organizatorów i autorów. Wszelako najczęstsze słowa spotykane w jej tekście to "zakazać" i "pilnować". Pilnujmy my wszyscy przynajmniej, aby tej znacznej policji nie postawiono w czasie najbliższej wojny przed sąd wojenny, czy rewolucyjny, czy inny ludowy pod takim czy innym zarzutem.

Jeżeli jaka jest cicha nauka Gandhiego to ta, że potępienie gwałtu i przeszkadzanie mu jeszcze skuteczniej niż potrafi to policja międzynarodowa, musi polegać na wykorzenieniu go nie tylko tam, gdzie się już rozkrzewił, ale gdzie się wciąż rodzi. Znamy ludzi, którzy śmiali się z magii, a uciekli z Europy przed rewolucją, przed wojną. Dopóki "mag" tj. czarownik wbijał szpilki drewnianej lalce, reprezentującej jego ofiarę chcąc wpuścić ją w chorobę, zabić, słowem szkodzić — można się było uśmiechać. Bo jakże ustanowić policję przeciw korzeniom magii, przeciw temu czego jest symbolem. Czyżby przez nowe procesy czarownic? Czyż to byłoby "wprowadzenie religii"...? Sławni pisarz współczesny wyznaje, że "drugi człowiek — to piekło". A jaki taki bywalec piekła wskazałby mu, że "drudzy ludzie" to dopiero przedpiekło, gdzie potępienci jeszcze nie rozsortowani od wiecznie smutnych i od błazujących w wietrze. A piekło znacznie bliżej. Nawet piekło najbliższych piecze tylko przez ściany, i to rzadko, tak rzadkie jest zupełne współczucie.

Jak się zdaje, Europejczycy próbują nie tylko ochrony i zakazów, ale jak gdyby w rozmachu czy ostatkiem sił, poczynają

bardziej ofensywnych: szerzenia kultury europejskiej i to najwyższej umysłowej w różnych zakątkach świata. Nie tak dawno na jednym z takich zjazdów, gdzie czynnik miarodajny spotkały się z literatami, uczestnicy doszli do przekonania, że jest to niemożliwe na większą i na poważną skalę z powodu braku dostatecznej ilości papieru. A chyba wielkie dzieła i ich wpływ rozszerzały się nawet przy minimalnej ilości papieru, gdy z drugiej strony olbrzymie masy papieru używane przez propagandę kilka lat może spłukać bez śladu.

A może zatem społeczeństwa, wciąż jeszcze zasobne, co najmniej posiadające siły inteligencji i ludzi dzielnych we wszystkich zawodach, mogłyby nie tylko dla obrony, ale dla ofensywy poruszyć dźwignie najskuteczniejsze przez organizowanie i premiowanie cnót, zaczynając od zjazdów i konferencji cnoty! Wszak mamy już tu i ówdzie stypendia cnoty, nawet tygodnie cnoty. Dlaczegożby w czasach tylu ilościowych rekordów nie można zachęcać i nagradzać cnoty częściej! Już Renan żartował z powodu stypendium cnoty: przynajmniej raz w roku cnota otrzymuje nagrodę. A Nietzschemu zawdzięczamy piękną uwagę, że cnota nawet sama dla siebie nie jest nagrodą, bo dążenie jest wszystkim, osiąga zawsze za mało, oczywiście przed własnym trybunałem. Zatem warto przypomnieć wraz z Stifterem, że istnieją ukryte codzienne "kroniki cnoty i "małe dzieje", które czekają na to, aby je włączyć w większe. Pewien marynarz, którego sławiono za śmiałe czyny ratownicze powiedział: jest tyle rodzajów dzielności co zawodów, ja osobiście jestem odważny jedynie na morzu.

Wyraziliśmy powyżej przekonanie, że Gandhi, chociaż wcale nie jest zjawiskiem izolowanym ani "regionalnym" i chociaż nie jest epizodem, nie może mieć bezpośredniego wpływu na Zachód. Jednak widoczne, że reprezentuje on rzadką *species* budziciela, jako wzór, jako motyw do przeniesienia niejako także w inne tonacje. Wokół nas, od dołu do szczytu, istnieją liczne oazy. Czyż nie jest możliwe, a by ktoś je obudził i zebrał w mniejszym lub w szerszym zakresie? Już samo sporządzenie inwentarza takich oaz byłoby trudne, wydaje się fantastyczne, ale gdyby się ktoś zabrał do tego, założyłby już dźwignię do zbierania oaz. Może je odkryć tylko taka osobistość, jak Gandhi, nie zaczynająca od systematyki i porządkowania lecz od siebie i od najbliższego otoczenia. Najślusniej w świecie powiedzą nam: nie ulegajmy marzeniom! Ale jeśli nie mamy od razu fałszować i dyskredytować słów, przeprowadźmy ścisłą granicę między blahym choćby miłym, a nawet cennym ale egocentrycznym marzycielstwem, a takim nateżeniem tęsknoty, które odkryje w końcu nieznanne związki i drogi ziszczenia lub przekaże poszukiwanie ich. Takie, co najmniej jak marzenia, które poprzedziły czyny Pasteur'a, Edisona czy Nansena. Wspomnijmy choćby taki ruch jak wszczęta przez 28 tkaczy z Rochdale spółdzielczość spożywców, o której słusznie powiedziano, że jeśli zamiary jej się spełnią w przyszłości, to jej zasady bardziej roz-

szerzą i rozwiną wolność niż *Magna Charta*. Albo taką osobistość, jak człowiek należący do dwu narodów, a nauczyciel ludzkości Albert Schweitzer, który "wprowadza religię" do medycyny — a może do studium i słuchania muzyki — i wśród ludności Afryki prowadzi akcję, na którą nie mogą się dotąd zdobyć państwa. Albo aby wziąć pod uwagę zakres nieco ciasniejszy, osobistość jak niedawno zmarły Jacques Coppeau, który wskrzeszając żywe słowo "wprowadzał religię" do teatru. Mówimy tu wciąż o poczynaniach laickich i o tych, o których mamy nikie zresztą wiadomości, ale w zupełnym przekonaniu, że oazy istnieją w Europie i że mogą się rozrosnąć. To słuszne, że istnieją w pobliżu albo pod rzekomą ochroną czy pod dachem starych ruder i rozwalin tak ponurych jak te, którymi mistrz ciemni Magnasco posługiwał się dla swych malarskich nastrojów. Ale czyż zawsze i bezwzględnie będą potrzebować dla swej obrony okrętów, flot i bomb i wszystkich innych bagatelek, które tak lekceważył Sokrates? Czyż nie mogą odważyć się na exodus nie w sensie przestrzennym tylko, lecz przez zmianę i stopienie zawodów, przez zmianę ich hierarchii, zmianę sposobu życia? Trwanie przy prawdzie nie traci ważności. W zmienionym zastosowaniu można by powtórzyć powiedzenie Sokratesa: Gandhi nie jest nieomylny, sprzeciwić się mu jest dość łatwo, ale przeczyć prawdzie — znacznie trudniej.

Stanisław VINCENZ

Gen. T. BÓR-KOMOROWSKI

ARMIA PODZIEMNA

Stron 424 dużego formatu

Cena fr. fr. 995,—

Wysyła na zamówienie

«LIBELLA» SKŁADNICA
KSIĄŻEK POLSKICH

12, rue St. Louis en L'Île — PARIS IV.

— Żądajcie bezpłatnych katalogów —

Wysyłamy książki do Kompanii Wartowniczych również na teren Niemiec.

Piknik wolności

— Co z wiatrem? zapytał Olyphant przez telefon.

— Wieje w naszą stronę! — odrzekł zgnębany Sebastiano.

Z niecierpliwością oczekiwano zapadnięcia mroku. Według ostatniego komunikatu, wiatr miał się odwrócić dopiero o 10-tej wieczorem. Jasne, że bez wiatru wiejącego w stronę Pragi rozpoczęcie uroczystości nie miałyby sensu. Balony z plastyku mogłyby pofrunąć do Paryża, Londynu, lub, co nie daj Boże, do Belgradu, zamiast na tamtą stronę.

Zaproszenia, wydrukowane na czerpanym papierze w trzech językach, organizatorzy ozdobili godłem Towarzystwa Przyjaciół Wolności: płonąca pochodnią, owiniętą we wstążkę ze złotym napisem: "Libertas". Miały one w sobie urok zawiadomień o ślubie, a z tekstu ich wynikało, że impreza nie będzie ani nudna ani szablonowa. Na wstępie odbędzie się konferencja prasowa, na której po przemówieniu kierownika wydziału "wojny psychologicznej", Olyphanta, zademonstrowany zostanie najnowszy typ aparatu radiowego w kształcie wiecznego płótra, pochwili do okularów i papierosnicy. Po symbolicznym nadmuchiowaniu pierwszej powłoki, pofrunie dziesięć tysięcy balonów propagandowych z milionem ulotek antykomunistycznych. Na balonach wypisano świecąca farbą: "Svoboda". Na pewnej wysokości automatycznie odczepią się małe spadochrony, uszyte z przezroczystej, prawie że niewidzialnej materii. Razem z miniaturowymi odbiornikami zaczną spadać z nieba broszurki o pracy niewolniczej w Rosji sowieckiej.

Olyphant niejednokrotnie tłumaczył swoim przełożonym w Nowym Jorku i Waszyngtonie, że powinno się także zrzucić pewną ilość kawy, herbaty i pończoch nylonowych, ale sugestii jego nie wzięto pod uwagę. Prawdopodobnie senator Jefferson domyślił się, że szwagier Olyphanta jest właścicielem fabryki pończoch w Cincinnati, Ohio. Uroczystość zakończy się specjalną audycją radiową dla narodów uciśnionych. Olyphant przeżywał o wspólnej modlitwie z muzyką Bacha, — tekst miał napisać Horacek — ale i ten pomysł nie zyskał aprobaty centrali, chociaż żaden ze szwagrów Olyphanta nie był duchownym.

Niedaleko granicy czeskiej, na leśnej polanie pomiędzy pagórkami, biła się namioty-hangary. W największym z nich zebrało się towarzystwo liczne i różnorodne, przed godziną przy-

były limuzynami. Flagi ze złotą pochodnią łopocą nad głowami. Kobiety i mężczyźni rozmawiają stojąc, z kieliskami w ręku, jak na garden party lub myśliwskim biwaku. Kelnerzy w białych kitlach roznoszą kanapki z kleksem łososia i coctaille.

Towarzystwo przypomina gromadę rozbawionych mieszcuchów, którzy z biur magistratu wykradli się na niedzielny piknik. Jakże ich cieszy ten olbrzymi namiot, butle ze sprężonym gazem, kilometrowa kolumna ciężarówek z balonami, elektrownia na kółkach! Dorośli sztubacy na wagarach! Kolorowe balony dyrektora Olyphanta przenoszą ich w krainę najmilszych wspomnień. Któż za młodu nie puszczał za miastem latawca na sznurku! Któż jako dziecko nie wyciągał ręki do sylwestrowych baloników na kiju!

Atmosferę festynu podkreśla furkot wstążek z napisem: "Freedom-Liberté-Freiheit" oraz skoczne dźwięki muzyki tańecznej, wydobywającej się z wozów transmisyjnych niemieckiego i amerykańskiego radia: "Samba-ou! — konga-ou! — rumba-ou! — ou! — ou!".

Zwłaszcza panie, ubrane ze smakiem, po sportowemu — torby przez ramię, spodnie, mokasy — zdradzają ożywienie, graniczące z podnieceniem. Wynika ono nie tyle z zetknięcia się z pięknym krajobrazem i miłym towarzystwem, co z samej niezwykłości sprawy, która tych ludzi uzbrojonych w lornetki, aparaty fotograficzne i podręczne remingtony, ściągnęła na peryferie Europy.

Bliskość granicy, o której powszechnie wiadomo, że jest żelazną kurtyną oddzielającą dwa światy, działa podniecająco nawet na osoby pozbawione wyobraźni politycznej. A cóż dopiero mówić o ludziach subtelnych i wnikliwych, o żywych sejsmografach rejestrujących najłżejsze drgania historii, o tej międzynarodowej służbie meteorologicznej, jaką w świecie wielkiej i małej polityki stanowią wszędobylscy i wszechwiedzący dziennikarze! Nie brak w namiocie zawodowych kongresowiczów, którzy stanowią połączenie gorączki turystycznej z kawiarnianym gadulstwem, nie brak latających obrońców kultury z dyplomatycznymi paszportami i zniżkami w hotelach, działaczy, którym wygłaszanie referatów nie przytępiło wrażliwości moralnej i nie przyćmiło umysłu; nie brak bładych intelektualistów-katastrofistów, cierpiących na dwunastnicę i kraczących w swych miesięcznikach o Atylli i Dzyngis-Chanie. Są wreszcie uczuleń, unerwieni do granic neurastenii emigranci-uciekierzy, ex-ministrowie, ex-ambasadorowie, ex-faszyści i ex-komuniści, zbratani wspólnym rozczarowaniem i niepokojem. Każdy z nich na temat "Iron Curtain" zapisał mnóstwo papieru, a oto mają ją tuż pod nosem, o kilkaset metrów!

Jan Borowczyk, dziennikarz polski z Londynu, znalazłszy się po raz pierwszy w tak interesującym towarzystwie, wypytywał się kolegów o głównych aktorów spektaklu:

— Kim jest ten siwy pan z brudną między brwiami?

— To Gutenber. Autor głośnej książki o Rosji pt. "Kanibal

ante portas". Ciekawa praca, życzliwa dla komunistów i ich przeciwników. Arcydzieło obiektywizmu. Do ostatniej kartki nie wiadomo, kto jest tym kanibalem: Truman czy Stalin. Żona Gutenberga wydaje komunistyczny miesięcznik dla kobiet.

— W Rosji?

— Nie, w Londynie.

— A ten jegomość o twarzy pastora?

— Jean Marron! Handlował bronią z generałem Franco i z czerwonymi republikanami. Ruchliwy działacz międzynarodowej organizacji opieki nad uchodźcami. Trzy lata temu zachęcał dipisów do powrotu pod skrzydła "demokracji ludowej", dzisiaj otwiera im oczy na niebezpieczeństwo komunizmu.

— Zdaje się, że tę starszą damę z brylantami widziałem na naszym święcie narodowym w "Białym Orle"?

— Możliwe. To Lady Hopper, przyjaciółka Węgrów i Polaków. Przyjechała tutaj, by przypilnować młodego Szabosa. Posądza go o romans z Karpową, ale to długa historia...

— Czy nie widział kto z panów redaktora Barabasa? Chciałbym z nim pomówić...

— Był przed chwilą, ale gdzieś się zawieruszył.

Reprezentanci uchodźców politycznych jakby mieli miny spłoszone. Tworzą odrębną grupę i stoją na uboczu. Na chorągiewki i balony spoglądają z niedowierzaniem, na dziennikarzy niemal z niechęcią. Odruchowo odwracają głowy w stronę zagajnika, za którym biegnie granica, i wtedy urywają rozmowę w połowie zdania, zamyślają się albo mówią szybko i nerwowo, z buńczuczną hałaśliwością, dla zamaskowania lęku.

Jeden z nich, siwy pan o twarzy poety lub malarza, co chwilą przyczesuje ręką długie włosy, zdejmuje i nakłada okulary, wzdycha w kieliszek.

— Horacek, głowa do góry! — odzywają się przyjaciele. Nic nam tutaj nie grozi. Za nami są czołgi, armaty i samoloty amerykańskie.

— Z tamtej strony wieje mróz — wzdryga się wysoka dziewczyna w rogowych okularach. — Czujecie państwo?

— To kwestia wyobraźni.

— Na wprost tego zagajnika, o dziesięć kilometrów stąd — mówi Horacek — leży miasteczko, w którym się urodziłem...

— Sentymenty!

— Tam chodziłem do szkoły, tam pisałem pierwsze wiersze...

— Moja ojczyzna jest tam, gdzie moje dzieci chodzą do szkół: dziś w Szwajcarii, jutro w Anglii lub w Ameryce.

— Czy dacie, panowie, wiarę że mam w tej chwili ochotę wybiec z namiotu, przedrzeć się przez druty na tamtą stronę i zostać zastrzelonym przez straż graniczną...

— Horacek!

— Zostać zabitym na własnej ziemi, to wcale nie takie głupie. Leży się twarzą na tamtym piasku, ogarnia się go rękami, czuje się go na piersiach... Nasze drzewa, nasze łąki w gasnących oczach. I nasze niebo nad głową...

— I beg your pardon! Niebo jest wszędzie takie samo. Drzewa i trawa też. To akcesoria emigracyjnej nostalgii, a z tą świętą ziemią rodzinną to jedna wielka, zresztą wcale nie bezinteresowna, egzaltacja klerykalno-prawicowo-nacjonalistycznej mistyki ojczyzny. Co stygnącemu patriotcie po własnej ziemi? Cóż to jest "własna" ziemia? Tak samo się spoczywa w piasku libijskim, australijskim czy patagońskim! Nie bądźmy niewolnikami literackiej wyobraźni! — perorował młody człowiek w tyrolskim kapełusiku, gestykulując nadgryzioną kanapką.

— Nieźle się reakcyjniści uchylili, ho-ho! — roześmiała się jedna z pań. — Wynaleźli miłość do rodzinnej ziemi! A może to tylko pańska podejrzliwość?

— Nie jest to wcale takie skomplikowane! — tłumaczył z ferworem młody "Tyrolczyk". — Warstwy posiadające wpoili w proletariata umiłowanie śmietnika i chudoby, aby odwieść pariasów od ruchów migracyjnych, przykuć ich do gleby, wyćkać ekonomicznie, a co najważniejsze, rozjuszyć do obrony ojczyzny z widłami czy karabinem w rękę, to jest, proszę państwa, do obrony wielkiej własności. Ludzie bogaci nie mają ojczyzny, a raczej mają ją wszędzie. Przede wszystkim tam, gdzie honorują ich cześci. Dla biedaków wymyślono Pana Boga, nagrodę po śmierci w postaci nieba, poezję o miedzy i rodzinnych drzewach. Warstwy posiadające, które tworzyły przez wieki kulturę, wiedziały jak narkotyzować serca i umysły prostaczków... Monopol ten, proszę państwa...

— Panie, coż pan opowiada? Czy można wiedzieć, czym się pan zajmuje?

— Jestem fotografem prasowym, — powiedział "Tyrolczyk", — ale to nie ma nic do rzeczy. Wracając do mistyki ojczyzny...

— Całe życie bałem się śmierci — mówił Horacek. — Z lęku przed śmiercią pisywałem wiersze. Mam 65 lat, i nie chcę umierać ani w Paryżu, ani w Nowym Jorku, ani w Sydney. Ludzie na Zachodzie nawet nie przeżywają, jaka to łaska urodzić się i umierać na tym samym miejscu.

— Każdy z nas boi się śmierci na swój własny sposób — przytaknęła upudrowana dama z leicą na piersi. — Jedni piszą lub malują, inni zaś podróżują nieustannie z kąta w kąt, myśląc że można pokonać czas tak jak się pokonywa przestrzeń. Nienawidzę młokosów, którzy naśmiewają się ze mnie, że odejmuję sobie lat i noszę pensjonarski berbecik. Czyż nie widzą, u diabła, że robię to tylko ze strachu przed śmiercią!

— Cie-cie! — szepnął ktoś na stronie. — Heroiczny akt samoobrony koleżanki Zvrskovecovej przed opatrnością. Mówiąc na ucho, panie konsulu, to ten Horacek...

— Grafoman, zgrywa się na pierwszego lutnistę narodu.

— Nie powinien pan być tutaj przyjeżdżać, panie Horacek.

— Mówi pan tak, panie Horacek, jakbyśmy mieli nie wrócić do ojczyzny. Preponuję państwu kawałek łososia i kieliszek ginu z wermutem!

Tymczasem w drugim końcu namiotu rozmawiano na bar-

dziej pogodny temat. Barczysty Derek Greenford, reprezentant jednego z londyńskich dzienników, zdawał kolegom po piórze sprawę z tego, co jadł przed tygodniem na pokładzie "Batorego", na przyjęciu wydanym z okazji otwarcia nowej linii okrętowej Southampton—Bombay.

— Mówię wam: olimpiada obżarstwa! Bązant z borówkami, szczupak po żydowsku, sandacz w cieście, kawior astrachański, wódka, wódka, wódka, a papierosów, ile zechcesz! Połędwiczka na grzance — palce lizać, a potem ich narodowy specjał: bigos myśliwski! Gdzie ci barbarzyńcy się tego nauczyli?

— Polska szlachta często wyjeżdżała po żniwach do Paryża — wtrącił młodzieniec przystrojony z francuska w beret i apaszkę. — Dopiero reformy agrarne w tamtym rejonie Europy spowodowały zamknięcie wielu domów publicznych nad Sekwaną. Przypkre, ale z czasem musi się to odbić na łączności kulturalnej między Wschodem i Zachodem.

— Gaston, jest pan niezdolny! — zaśmiał się panie w turystycznych spodniach.

Greenford ciągnął swój raport z miną człowieka, który pół życia spędził na jedzeniu i piciu:

— Nieco gorzej było z szampanem, nawet jak na "Francuzów Północy"! Podali nam kiepskiego "Bollingera", taką sobie ciepłą zupkę, i "Veuve Clicquot" o smaku mydlin, ale za to w ilościach wprost bezwstydných. Kapać się było można!

— Nie wiem, czy panom wiadomo — wtrącił nienajlepszą angielszczyzną pewien młody przystojny człowiek, — że za te wystawne przyjęcia płaci chłop i robotnik polski!

Po gorącym wejściu, jakie Lady Hopper posłała młodzieńcowi, Borowczyk domyślił się, że to Węgier Szabos.

Greenford uśmiechnął się z pobłażaniem:

— W zupełności się zgadzam z moim młodym węgierskim przyjaciелеm, ale bądźmy szczerzy: czy w innych państwach nie dzieje się tak samo? Nie znam kraju, w którym by chłop i robotnik nie był zmuszany do płacenia podatków, z których pewna część idzie na pokrycie wydatków reprezentacyjnych. Tak jest w Polsce, w Wielkiej Brytanii, we Francji, w Argentynie, gdzie pan chce. Kanapki, które w tej chwili jemy i te zbyt ciepłe, jak na mój gust, drinki, również pochodzą w pewnym sensie z pracy farmera i robotnika amerykańskiego...

— Tak, ale... ale... idzie o coś całkiem innego... o proporcję — młody Węgier poczerwieniał, nie wiadomo czy z nieśmiałości czy z irytacji, i zamilkł niespodziewanie, nie znajdując odpowiednich słów w zapasie. Panie w spodniach spojrzwały na ładnego chłopca ze współczuciem. Miły głuptasek!

— Król Faruk w Monte Carlo czy młody Ali-Khan na wyścigach puszczają więcej, niż satelity utracjusze! — wykrzyknął Gaston. — A przecież położenie egipskiego chłopca i robotnika...

— Kochasiu, — jęknęły panie, — zaoszczędź nam wykładu! Nie jesteśmy na wieczornych kursach London County Council! Opowiedzcie, chłopcy, coś bardziej wesołego!

— Zapewniam cię, Greenford, — odezwał się Wielki Gutenberg, — że nie jadłeś lepiej u swoich Polaków, niż ja w poselstwie rumuńskim na Belgrave Square. Zaprośili nas z okazji święta wyzwolenia...

— Z okazji zajęcia Rumunii przez Rosję! — wykrzyknął uparty Węgier. — A nie "wyzwolenia"! I pan, autor "Kanibala", członek honorowy Ligi Obrony Praw Człowieka, pan tam poszedł? To niemożliwe!

— Boże, co za nudny chłopiec! — westchnęły panie w spodniach. Kilku dziennikarzy spojrzło na porywczego młokosa z niechęcią, ale towarzysko wyrobiony Gutenberg puścił nietaktowny okrzyk mimo uszu, i spokojnie mówił dalej:

— Po tym ohydny hiszpański sherry, jakie nam wiali w gardło we frankistowskiej ambasadzie, po różnych mętnych "Amontillado", i po tanim winiu w niemieckim przedstawicielstwie, — coż za woda ten "Liebfraumilch"! — wierzę mi państwo, że rumuńską śliwowicę piłem jak lekarstwo! Całkowicie podzielałam światły pogląd Greenforda w sprawach kulinarnych, chociaż różnię się z nim w dysputach na temat nacjonalizacji stali! Na wypitkę i wyzerkę tylko do satelitów! Są gościnni i kulinarnie ambitni, jak wszystkie młode i ekonomicznie zaniedbane kraiki na świecie...

— Panie Gutenberg! Panie Greenford... ja...

— Drogi przyjacielu, — zwrócił się Greenford po ojcowsku do młodego Węgra, — przy całym respekcie dla pańskiego szlachetnego oburzenia, nie wolno nam spuszczać z oczu rzeczywistości. Dwór św. Jakuba, podobnie jak Biały Dom i Quai d'Orsay, utrzymują stosunki dyplomatyczne z Kremlem i jego satelitami. Jeśli się w mojej ojczyźnie zaprasza czerwonych ludożerców na "party" do Buckingham Palace, jako lojalny wobec korony Brytyjczyk nie widzę powodu dla którego miałbym sobie odmówić przyjemności wypicia polskiej wódki czy skosztowania rosyjskiego kawioru...

Kiedy rozgorączkowany Węgier rozpaczliwie przedstawiał swoje kontrargumenty, koledzy jego szeptali do siebie z nietaną niechęcią:

— Nieokresany arogant! Niepotrzebnie sobie zraża wpływowych dziennikarzy i sławnego pisarza! Psuje nam całą robotę! Burzy cenne kontakty prasowe!

— Nie dramatyzujmy — zauważył ktoś na stronie. — Chłopak jest filmowo przystojny i dobrze zbudowany. Ma różowe wargi, zdrowe zęby a cerę jak brzoskwinia! Czy nie zauważyliście, panowie, że stary Greenford nie spuszcza z niego oczu?

— Czy sądzi pan, że Greenford...

— Ależ oczywiście! To król życia, stary jaguar z Fleet street!

— Postrach młodych aplikantów dziennikarskich!

— Luluś się na to nie zgodzi, "mamusia" mu nie pozwoli.

— A więc to prawda, że młody Szabos jest na garnuszku u Lady Hopper?

— Stara erotomanka nie zrezygnuje ze swych macierzyńskich

uprawnień, za które, jak słychać, płaci bardzo słono.

— Mon Dieu, gdybym ja miał do wyboru, wolałbym tego obłęsnego reumatyka z Fleet street od tamtego świecącego próchna z czasów królowej Wiktorii!

— Ważne jest tylko to, proszę państwa, co jest dla sprawy Węgier korzystniejsze — pokpiwał ktoś w kącie. — Wpływowy Greenford, przyjaciel tuzina posłów do Izby Gmin i persona gratissima w kuluarach Foreign Office, czy ta pocziwa idiotka ze stu tysiącami funtów drobnych oszczędności? Czy uwierzycie, że ten niewyżyty babus w memoriale wysmażonym z własnej inicjatywy do UNO, znowu pomylił Budapeszt z Bukaresztem! A kiedy chciałem ją odwiedzić, by sprostować przykrą gaffę, jej lokaj przyniósł mi na tacy pięciofuntowy banknot i karteczkę z wydrukowanym napisem "God save Hungary"!

— Nic nowego! W r. 1941 żyła z pewnym utajonym hitlerowcem i rozdawała kartki "Boże, zbaw Wielkie Niemcy!"

— To jeszcze nic! W r. 1942 opiekowała się młodzieńskim szoferem z ambasady sowieckiej w Londynie i rozdawała kartki: "Zmów pacierz za Stalingrad!"

— U podłoża wszystkich zainteresowań angielskich, a więc i politycznych, leży postawa empiryczna. Lekcje historii, w tak pomysły sposoby brane przez Lady Hopper, objawiają cały geniusz tej świetnej rasy!

— Co z wiatrem?

— Wieje w naszą stronę!

Nowoczesną limuzyną koloru khaki, znaki wojskowe na błotnikach i drzwiczkach, dwóch mężczyzn pędziło z Pragi w stronę granicy niemieckiej.

Jeden z nich był w cywilu, drugi w mundurze. Kiedy za Pilznem pokazał się na niebie klucz samolotów, człowiek w cywilu odruchowo się skurczył, a potem spojrzał pytająco na sąsiada.

— Będą zestrzeliwać amerykańskie balony z ulotkami — wyjaśnił wojskowy. — Kilkadzieciąt sowieckich myśliwców patroluje wzdłuż granicy...

— Dla nas gorzej, prawda?

— W jakim sensie?

— Granica obstawiona...

— Damy sobie radę — uśmiechnął się człowiek w mundurze. — Za parę godzin znajdziesz się po tamtej stronie. Jako jeden z działaczy podziemia zostaniesz przyjęty z otwartymi ramionami...

— Nie jestem działaczem podziemia — powiedział cicho cywil. — Usiłowano mi to wmówić w czasie śledztwa. Całe życie trzymałem się z dala od polityki. Co zrobimy, gdy zatrzymają samochód?

— Nie myśl o tym.

Anton Hlohovec z trudem uprzytamniał sobie zawrotny bieg

wydarzeń, które w ciągu paru tygodni wyrwały go z domowego zacisza, wtrąciły do więzienia na Pankracu, a oto znowu przywracają go życiu. Siedział obok uzbrojonego Emila, przyjaciela ze szkolnej ławy, spoglądał na jego pułkownikowskie dystynkcie, na skórzane rękawice zaciśnięte na kierownicy, i nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Jeszcze słyszał bulgot powietrza w pękniętym bębunku i czuł ból w całym ciele. Akcja ponurego filmu, którego stał się bohaterem, rozgrywała się, jak na jego zdolność refleksji, zbyt szybko i sensacyjnie.

— Emilu, przyjacielu — mówił w samochodzie. — Czy to Bóg opiekuje się małymi, bezbronnymi ludźmi, czy też ślepy przypadek podrzuca nas jak piłki na morskiej fali? Czy myślisz, że się uda?

— Uda się na pewno. Jeszcze dwie godziny i jesteśmy u celu. Wszystko przemyślałem i przygotowałem wcześniej.

— Gdybym ciebie nie spotkał, zdychałbym w tej chwili na Pankracu, w piwnicy...

— Hlohovec, bądź dobrej myśli — uśmiechnął się Emil, nie odgrywając oczu od taśmy szosy. — Jedną nogą już jesteś na wolności...

Przejechali kilka kilometrów, gdy człowiek w cywilu uprzymnił sobie, że właściwie nie podziękował przyjacielowi za cudowne wybawienie.

— Przestań mówić o wdzięczności — przerwał pułkownik. — Tyle najrozmaitszych świństw człowiek robi w życiu... Gdy się raz na parę lat nadarzy okazja, dlaczego nie pomóc krajowi i koledze ze szkolnej ławy? Nie myśl, że robię to przez sympatię dla twoich przekonań politycznych. Nienawidzę socjal-demokratów, a już wasze próby konspiracyjne przypominają mi wycieczkę Sokotów do kregielni...

— Mówiłem ci już, Emilu — powiedział Hlohovec nieśmiało — że nigdy nie brałem udziału w żadnym przysiężeniu. Jedyna namiętność, jaką posiadam, nie wiele ma wspólnego z polityką. Jestem filatelistą.

— Nie robię tego przez sympatię dla twojej filatelistyki — roześmiał się.

— Wiem: szkoła, наша kochana buda w Bratystawie!

— Pal ją wszyscy diabli! Robię to na pamiątkę naszej wspólnej wyprawy do „Palais de Dance”, no i tej małej — pamiątki?

— Pamiętam! Marika! Mówili w mieście, żeś się z nią potem zaręczył?

— To nie był materiał na żonę, wiesz o tym lepiej ode mnie.

— Mała Marika! — zawołał Hlohovec. — Kto by pomyślał! Daj jej Boże zdrowie! Podobno odnosi triumfy za granicą.

— Nie! Marika jest w kraju.

— Widziałeś ją? W teatrze?

— Nie, w szpitalu. Leży w Koszycach. Byłem ją odwiedzić

w zeszłym miesiącu. Wygląda jak upiór, ma złarte płuca. Nie dają jej więcej niż pół roku życia. Z braku tematu rozmawialiśmy o tobie...

— O mnie?

— „Czy pamiętasz nieśmiałego Hlohovca z Bratysławy? — zagadnąłem ją pod koniec wizyty. — Wyobraź sobie, że aresztowaliśmy go przed paru tygodniami za wrogi stosunek do reżimu”. A jakże, pamiętała cię doskonale. Przypomniała sobie tamten wieczór w „Palais”. Rozmawialiśmy po kolei o wszystkich, którzy tam byli. Żatowałem, że poruszyłem ten temat. Rozpląkała się, i koniec końców kazała mi przyrzec, że wydobędę cię ze studni. Jak widzisz, słowa dotrzymałem. Szlachetni bandyci i dobrzy policjanci pojawiają się nie tylko w kiepskich romansidłach i filmach dla młodzieży. Siedzisz w tej chwili obok nowego Rinaldo-Rinaldini...

Porównanie roześmiało się nad kierownicą, a Hlohovec nie mógł wyjść ze zdziwienia:

— A więc to przez nią? Przez tę małą Marię z naszego teatru? Przyznaj się, że ją kochasz...

— Nie używajmy słów, które nic nie znaczą. Nie dość ci cudownej ingerencji opatrności, jeszcze doszukujesz się kinowego banału. Po prostu żal mi jej — zwykła litość. Nad nią i nad samym sobą. Przypomina mi tamte czasy, kiedy uczyłem się grać na skrzypcach i wszystko było inaczej, niż jest teraz. Nie wiem, czy sobie przypominasz, że jako mały Emilek grałem kiedyś solo „Ave Maria” w szkolnej kaplicy na przyjazd biskupa. Brzmi to dość cynicznie, ale niedawno tego samego biskupa odwoziłem samochodem do więzienia, i co dziwniejsze — przez całą drogę musiałem nad sobą panować, aby nie zagwizdać tamtej melodii.

— Asocjacje — szepnął nieśmiało Hlohovec.

— Miałem pójść do konserwatorium — zabrakło pieniędzy. Wyście pojechali do złotej Pragi na wyższe studia, ja zostałem policjantem. Najpierw naszym, potem pół-niemieckim, a teraz pół-rosyjskim. Tak to z zawodowymi łapaczami bywa. Mam nadzieję, że z czasem będę pomagał amerykańskiej policji przy wytłapywaniu komunistycznych Quislingów. Jak sądzisz, przydam się?

Człowiek w cywilu wracał myślą do Bratysławy:

— Jakże to dziwne! Wierz mi, Emilu, że ja tę dziewczynę widziałem wszystkiego dwa lub trzy razy w życiu...

— Wiem o tym. Ale jej wystarczyło, że jesteś z naszego miasta i że pamiętasz czasy, w których byliśmy weselsi niż teraz...

— Byliśmy znacznie młodszy, świat był inny, ludzie byli lepsi...

— Ludzie są zawsze tacy sami — Emil splunął przez okno.

— Nie mamy się nad czym rozklinać... Jeszcze godzina jazdy. Prześpij się, bracie, korzystaj z okazji. Na granicy czeka

cię długi spacer i gimnastyka — pełzanie na brzuchu między wartownikami, jak u Karola Maya...

Hlohovec się wzdrygnął.

Redaktor Borowczyk, rozglądając się uważnie po okolicy, spostrzegł, że przedstawiciele władz niemieckich zjawili się na ciemno, w sztywnych chomątach. Udział w „Powiewie Wolności” nie sprawiał im najmniejszego zadowolenia. Trzymali się razem. Nie zagadując dziennikarzy ani Amerykanów, wyraźnie stronili od uchodźców. Młyny mieli drewniane i bezbarwne, dla zaakcentowania że nie zamierzają się bawić na festynie, który nie przyniesie im żadnego zysku. Powoli dziobali z talerzyków, jakby z łaski maczali usta w napojach. Jeden z lodowato uśmiechniętych Regierungsratów, o którym w namiocie opowiadano, że niedalej jak przed siedmioma laty za słuchanie BBC z Londynu skazywał swoich rodaków na śmierć, sucho i rzeczowo zadawał fachowe pytania:

— Co grozi za znalezienie ulotek w Warszawie lub w Pradze? Ile wynosi koszt produkcji jednego balonu? Kto pośredniczył przy transakcji? Ile na tym zarobił? Ile osób aresztowano za posiadanie miniaturowych odbiorników? Ile rozstrzelano? Czy nie można by dostać kilku balonów w podarku? Dla wnuczka do zabawy.

Z drugiej strony namiotu dochodziły głosy zdławione, kipiące od hamowanej pasji; kłócono się po polsku:

— Gdybyśmy z dr. Dutkiewiczem wiedzieli, że nas ze strony organizatorów spotka taki afront, nie przyjeżdżalibyśmy tutaj specjalnie z Londynu i Paryża!

— Ależ panowie, nie unoście się! Dalibóg, obcy dookoła! Idźcie o dobro sprawy...

— Ecie-pecie z pańskim „dobrem sprawy”! Znamy tę piosenkę...

— Pan wybacze, ale...

— Nic nie wybaczę! Idziemy z protestem do Olyphanta! Ani dr. Dutkiewicz ani ja nie mamy zamiaru kolegować tutaj z p. Byclikiem! Kto mu udzielił mandatu? Kogo p. Byclik właściwie reprezentuje? Kraj i wychodźstwo mają dosyć p. Byclików i ich metod!

— Zalecałbym panom zdrowy kompromis. Bądź co bądź ludzie Byclika zajęli kluczowe stanowiska w Towarzystwie Przyjaciół Wolności...

— Trzeba ich wygryźć, a wprowadzić naszych!

— Byclik nie jest demokratą!

— O wa!

— Pan wybaczy, ale...

— Nie wybaczę, chodźmy do Olyphanta, i basta!

— Ośmieszmy się!

— Byclik to stary złodziej!

— O wa!

— Jeszcze nikogo nie okradł!

— Bo nie miał sposobności, ale gdyby mógł, to by okradł!
 — Wobec takich argumentów oświadczam panom, że nie czuję się dłużej związany uchwałami ostatniego zjazdu...

— Zastrzegamy sobie prawo wyciągnięcia konsekwencji na najbliższym posiedzeniu plenum!

— O? Grozi się nam! Zaskakuje się nas na trzy minuty przed dwunastą? Pozwolą panowie, że przez szacunek dla obcego tutaj dr Dutkiewicza nie nazwę tego po imieniu!

— Żebym ja panu nie powiedział, tak po polsku...

— Natychmiast idziemy z kolegą Mateckim do prezesa Byclika! Nie omieszkamy go uprzedzić, że zamierzacie go u Amerykanów wykończyć!

— O! Nie tędy, panowie, droga do zgody i jedności działania, nie tędy!

— A więc dobrze — zmiana frontu! Zobaczmy, kto będzie u Olyphanta pierwszy, i z kim Amerykanie będą chcieli gadać: z wami czy z nami?

— O wa!

— Zobaczmy, panie były starosto z Kalisza, zobaczmy!

— Byclikowska wtyczka! Zrywam z panem znajomość, panie de Napiórkowski!

— Do Olyphanta!

— Do Olyphanta!

Dyrektor Olyphant, o którym tak gorączkowo rozmawiali ze sobą polscy emigranci, w osobnym seledynowym namiocie, jak wielki wezyr przed bitwą, przygotowywał się do otwarcia "Powiewu Wolności". Do Niemiec przyleciał dziś rano, razem z synem. Po przywitaniu inż. Sebastiano, szefa technicznej ekipy, w pośpiechu ugadniał ostateczny tekst przemówienia z przystojną brunetką, Karpową, referentką spraw czeskich i słowackich.

— Namyslałam się właśnie, — otarł pot z czoła, — czy nie wykreślić tego fragmentu: "Dzisiaj nie ma już dla wolnego świata innego wyboru, jak walka o wolność i sprawiedliwość dla wszystkich. Nieprawdą jest, że losy naszej planety zależą od rozwiązania dylematu: "Pokój czy wojna". Pytanie, które my stawiamy, brzmi: "Wolność czy niewola? Życie godne człowieka, czy barbarzyństwo?"... Kto to pisał?

— Horacek.

— Zostawić, czy skreślić?

— Jak pan dyrektor uważa...

— Najlepiej by było, — zastąpił się Olyphant, — gdyby się dało rozszerzyć wolność na cały świat bez naruszania pokoju, prawda?

— Tak byłoby znacznie lepiej — przyznała Karpowa.

— A co ty o tym sądzisz, Sebastiano?

— Różną czerwonych, gdzie popadnie! Ja bym napisał: "Obalcie rząd komunistyczny, a utwórzcie rząd demokratyczny, taki sam, jak u nas w Ameryce! Zaprowadźcie u siebie wolność prasy, religii i zgromadzeń pod gołym niebem, rozwiążcie tajną policję!"

— Nie znasz się na polityce, Seb! — roześmiał się Olyphant.
 — Całe szczęście, że napętnasz balony wodorem, a nie wygląszasz mów, bo mógłbyś swoją ignorancją wyrządzić wiele zła na świecie. Mrs. Karpova, brak mi paru pięknych zdań na zakończenie. Pani jest najinteligentniejsza z nas wszystkich.

Karpova zdjęła z rzęsy niewidoczną kropeczkę pudru i wyrecytowała jak zdolna uczennica:

— "O dusze ludzi zniewolonych toczy się zacięta, niewidoczna walka. Wierzmy, że czerpiąc siłę z chlubnych tradycji historycznych i wiary w ostateczny triumf Boga nad siłami zła i grzechu, wytrwacie do tej chwili radosnej, gdy poprzez gesty chmury niewoli przebieje się słońce wolności. Ta chwila nadejdzie!"

Olyphant z uznaniem pokiwał głową:

— Tego mi właśnie było brak!

— A ja bym napisał prosto z mostu: "Bijcie czerwonych gangsterów! — zawołał Sebastiano. — Tępcie ich jak robactwo za to, że mojemu młodemu bratu urwano nogę w Korei! Nie patyczkować się, synowie walecznego narodu! Na latarnię komunistycznych bossów! Zbuntujcie się, do stu tysięcy diabłów, przeciwko dyktaturze i tyranii, a wolny świat wam pomoże!"...

— Z inżynierem Sebastiano i jego balonikami, amen! — dookończył wesoło Olyphant. — Wybierzmy naszego Seb'a do Białego Domu, a we wtorek rano wybuchnie wojna!

— O, panie Olyphant, — westchnął Sebastiano, — już ja bym tym hycelom pokazał: jedną atomówkę na Moskwę, drugą na Pekin, trzecią na Warszawę, czwartą na Pragę, piątą na Bukareszt, szóstą na Budapeszt, siódmą na Sofię, i świat by odetchnął...

— Pozagrobowym powietrzem! — roześmiała się Karpowa, a wielki wezyr poklepał inżyniera po ramieniu: — Straszne dziecko! I pomyśleć, że Jefferson chciał go zrobić naczelnym kierownikiem obcojęzycznych audycji! Ładnie byśmy wyglądali...

— Przemeblowałbym ten nędzny światek nienajgorzej, o to możecie być spokojni! — inżynier potrząsnął czarną czupryną, i poszedł do swoich balonów.

Po chwili zameldował się prezes Byclik, aby wyrazić swoje zdumienie z powodu obecności dr Dutkiewicza i jego zwolenników na inauguracji.

Ludzie ci znani są ze swoich antydemokratycznych przekonań. Jeśli wrócimy do oswobodzonej Polski, naród się ich wyprze. Nie mam poza tym pewności, czy stronnictwo Dutkiewicza, nie jest po cichu finansowane przez Ruch Europejski, który powstał po to, by wyemancypować Europę Zachodnią spod wpływów amerykańskich. Dutkiewicz znany jest z tego, że głośno krytykuje po polskich kawiarniach w Londynie Plan Marshalla i Pakt Atlantyczny. Niektórzy zaś wręcz twierdzą, że jest...

— Komunista?

— Nie: sodomita!

— Jest mi bardzo przykro — Olyphant rozłożył ręce, — że

naród, który wydał Kościuszkę, Pułaskiego i Paderewskiego, mógł również wydać takiego Dutkiewicza. Skreślmy go z listy kandydatów na prace zlecane. Nowy porządek świata, jaki wyłoni się po rozbiciu komunizmu, przekreśli sodomię raz na zawsze. Czy to panu wystarczy?

— Tak jest, panie dyrektorze!

— Naród polski jest wielki, prędzej czy później odzyska niepodległość!

W parę minut później zjawiał się Dutkiewicz:

— Gdyby Polacy w kraju dowiedzieli się, że w ich imieniu występują ludzie tacy, jak Byclik, osłabiło by to ich wiarę w ostateczne zwycięstwo. Uważam za swój obowiązek przestrzec Towarzystwo Przyjaciół Wolności przed p. Byclikiem i jego niebezpiecznymi, na szczęście, zwolennikami. Oczernianie się przed obcymi i wynoszenie spraw wewnętrznych na obce forum nie leży w naszym charakterze narodowym, ale w przypadku Byclika cała opinia polska w Kraju i na emigracji opowiada się za odejściem od tej zasady. Żołnierz polski na Zachodzie nie weźmie broni do ręki, jeśli się dowie, że p. Byclik, tyle razy skompromitowany, znowu robi politykę. Pomijam już to, że Byclik jest...

— Komunista?

— Nie: kleptomanem!

— Jest mi bardzo przykro, — Olyphant rozłożył ręce, — że naród, który wydał Kościuszkę, Pułaskiego i Paderewskiego, mógł również wydać takiego Byclika! Skreślmy go z listy kandydatów na prace zlecane. Nowy porządek świata, jaki się wyłoni po rozbiciu komunizmu, przekreśli kleptomanie raz na zawsze. Czy to panu wystarczy?

— Tak jest, panie dyrektorze!

— Naród polski jest wielki, i prędzej czy później odzyska niepodległość! — zakończył Olyphant, i poszedł zrobić siusiu.

Gdy wrócił, Karpova roześmiała się na głos:

— Dziwny naród ci Polacy! Ale pan dyrektor ma na nich sposób!

— Nauczyłem się tej formułki na pamięć, i jak dotąd — nie zawodzi. Pewien komisarz policji w Nowym Jorku słusznie o nich powiedział: ludzie, którzy obchodzą rocznice narodowe i przepisy policyjne.

Zadzwiećwał polowy telefon. W membranie odezwał się zadyszany głos Sebastiano:

— Hallo, boss! Wpadł mi świetny pomysł do głowy! Czytałem w "Herald Tribune", że młodzież zatruta komunizmem denuncjuje własnych rodziców. Czy pański Fred, jako młody Amerykanin, nie powinien zaapelować do młodych Czechów, aby nie robili tego świństwa?

— Fred nie mówi po czesku.

— Przeczyta swój apel z karteczki po angielsku. Karpova przetłumaczy na czeski.

— A cóż on im powie?

— Jakto co? Że rodzice to rzecz święta, że u nas chłopcy i dziewczęta nie denuncjują rodziców. Pomysł dobry, co?

— Niezły.

— Robimy?

— Robimy.

Zachód słońca pokrył powłoki balonów, namioty i samochody czerwonym światłem. Niektórzy goście, znudzeni czekaniem, udali się na spacer na sąsiednie wzgórze, z którego można było gołym okiem dojrzeć strażników granicznych, uzbrojonych po zęby. Greenford upierał się, że widzi w paprociach ukryte gniazda kulomiotów, inni twierdzili, że rozpoznają kopuły bunkrów i czołgi. Monsieur Morron straszyl panie opowiadaniem o krwawych incydentach granicznych. Lady Hopper przez omyłkę skierowała lornetkę w złym kierunku i zamiast żołnierzy czeskich ujrzała na skraju lasu Szabosa, idącego pod rękę z Karpovą.

— Wynająłem pokój w hoteliku nad jeziorem. Jutro o dziesiątej rano będę cię oczekiwał na dworcu — mówił Szabos do pięknej Czeszki. — Dlaczego się uśmiechasz? Czy mnie ktoś opłotkował?

— Czy masz na myśli swój romans z Lady Hopper?

— Daję ci słowo, że w tych pogłoskach jest sporo przesady!

— Przesady?

— Nie masz pojęcia, ilu mam wrogów w naszym "Komitecie Walki"!

— A ja myślałam...

— Jest to znajomość najzupełniej platoniczna. Zresztą, zrywam ją natychmiast po powrocie do Londynu.

— A co potem?

— Potem zajmujemy się naszym losem. Dlaczego się uśmiechasz? Czy to takie śmieszne?

— Nie, to wcale nie śmieszne. Nie raz już myślałam o tym, ale...

— A, więc jednak jest jakieś "ale" między nami?

— Nie wiem, czy mnie dobrze rozumiesz?

— Aneczka! Ja bym ciebie nie rozumiał!

— Widzisz... Gdybyś miał, chłopcze, więcej rozważy i wyrobienia, nie zrywałbyś z Lady Hopper...

— Co? I ty... ty to mówisz?

— Mam do ciebie prośbę. Czy ty mi choć trochę ufasz?

— Aneczka! I ty mnie o to pytasz? Ja ciebie... od pierwszego wejrzenia...

— Przestań koloryzować!

— "Koloryzować"! Ja bez ciebie żyć nie mogę...

— ...i dlatego żyjesz z Lady Hopper!

— Aneczka, od jutra staję się porządnym człowiekiem!

— Nie śpiesz się. Mój mąż zamierza odkupić od Lady Hopper udział w "Trading Corporation". Musisz nam w tym dopomóc.

— "Trading Corporation"?

— Handel na Dalekim Wschodzie.

— Narkotyki?
 — Nie. Stare graty z demobilu.
 — Z kim?
 — Z Chińczykami.
 — Z Czang-Kai-Szekiem?
 — Nie. Zdaje się, że z Mao-Tse-Tungiem.
 — To skandal! I ta hipokrytka należy do Ligi Walki z Komunizmem!

— Nie powinneś się w ten sposób wyrażać o Lady Hopper. Niewdzięczność to najbrzydsza cecha młodości. Mój mąż...

— Do diabła z twoim mężem! Przecież rozeszliście się przed rokiem!

— Kochanie, lubię cię oglądać w ogniu oburzenia. Wyglądasz ślicznie, jak św. Jerzy na obrazku. Nie wierzę w złote myśli starego Greenforda, który twierdzi, że moralność w handlu i polityce, podobnie jak cnota u kobiety, jest kalectwem. Nie widzę jednak powodu dla którego miałbyś miotać gromy na mojego męża i na Lady Hopper! Wpłyn lepiej na swoją opiekunkę, aby nie upierała się zbyt przy tych udziałach i odstąpiła je Karolowi. Karol gotów ci wypłacić dwa i pół procent prowizji za pośrednictwo...

— Rozeszłaś się z mężem i załatwiasz jego interesy!

— Zapewniam cię, że poza pieniędzmi nic mnie z nim nie łączy. Kocham tylko ciebie.

— Wracajmy do towarzystwa.

— Boisz się jej?

— Nie lubię awantur, ale zapewniam cię, że poza pieniędzmi nic mnie z nią nie łączy. Kocham tylko ciebie.

— That's fine!

Objął ją łagodnie i pocałował w usta.

Dwaj mężczyźni w limuzynie jechali w milczeniu, nie odgrywając oczu od szosy, na której się kładły cienie drzew i telegraficznych słupów. Motor szumił usypiająco, ale Hlohovec mimo zmęczenia nie mógł usnąć, dygotał w sobie — za wiele przeżył w ostatnich godzinach. Za wiele myśli, obrazów i wspomnień kłębiło mu się pod czaszką.

Nie dalej jak wczoraj siedział na posterunku, na przeciwko człowiekowi w skórzanej wiatrówce, który pachniał koniakiem i wodą kolońską. W kaloryferze burczała woda. Człowiek w wiatrówce rozpytywał się w parze. Słodkawy smak na rozciętej wardze, „Kölnisch Wasser”, koniak, bulgotanie w kaloryferze, rozrastający się grzyb strachu w tyle głowy — Hlohovec siedział, przerażony, na toborecie i czuł, jak wzbierają w nim suche mdłości. Człowiek za biurkiem mówił coś zmęczonym głosem, bez zniecierpliwienia i bez niechęci. Potem do pokoju weszło dwóch innych. Skradali się. Usłyszal skrzypnięcie źle naoliwionych drzwi i kocie stąpanie na linoleum, tuż za plecami. Poczut czyjś kwaśny oddech na karku...

Hlohovec wzdrygał się. Co było dalej? W nocy przyszedł Emil. W pierwszej chwili go nie poznał — ileż to lat minęło od wyjazdu z Bratysławy do Pragi? — a zresztą było mu wszystko jedno, kim jest człowiek nachylający się nad noszami. Nie mógł się wynurzyć z dzwonu ciemności. Dopiero nad ranem go poznał. Po oczach i przyjaznym uśmiechu. Zza pleców Emila biło światło z otwartej okiennicy. Dojrzał ze zdumieniem ściany wiejskiej izby, firaneczki wystrzyżone z papieru, okno bez krat. Był wolny!

Motor grał rytmicznie. Podskoczyli kołami na progu mostu, resory zakołysały miękko, i wpadli w las. Hlohovec wziął od Emila termos i napił się gorącej herbaty. Razem z płynem wlewał w siebie spokój. Nie czuł obolatego ciała, odtajał w nim wielodniowy przestrah. Ze wzruszeniem spoglądał na profil swego wybacwcy. Parę siwych nitek na skroni, pionowa zmarszczka między brwiami. Nie wiele się zmienił. Ten sam skupiony, czujny wyraz twarzy, jak dawniej, w szkole, nad matematycznym zadaniem. Pułkownik poczuł wzrok sąsiada na sobie, mrugnął przyjaźnie okiem, i uśmiechnął się.

Na wartko sunącej wstędze szosy, jak na filmowej taśmie, Hlohovec ujrzał młodego Emila w szczęśliwej Bratysławie. Był wtedy o głowę niższy. Chodził w obcistej marynarce, z odznaką kółka atletycznego w klapie. Włosy na jeża. Przesadnie gruby węzeł krawatu.

Było to w centrum miasta. Po skończonej premierze „Książniczki Czardasza”. Stali przed teatrem w czwórce. Emil, Maleczek, Kranc i Hlohovec. Z kwiatami w ręku musieli wyglądać dość śmiesznie. Ale czyż do największych uroków młodości nie należy brak krytycznego spojrzenia na samego siebie? Co było dalej? Na ścianie garderoby wisiały stare plakaty. Maleczek skłonił się i podał baletniczce kwiaty. Marika podziękowała i zanurzyła upudrowany nos w bukiet. Potem nastąpiła długa i nieprzyjemna cisza. Maleczek ponownie gratulował talentu, dziewczyna ponownie dziękowała. W pokoiku było gorąco jak w łaźni. I wtedy Emil wyrwał się z zaproszeniem na kolację. Potem tłumaczył się, że powiedział to wbrew własnej woli. Marika roześmiała się na znak aprobaty. Klamka zapadła. Nie było odwrotu. Wszyscy uśmiechali się nerwowo. Mały Kranc krzywił kurczowo usta: nie miał dwóch zębów na przodzie...

Zanurzony we wspomnieniach Hlohovec, mimo bólu w plecach, uśmiechnął się. Po tylu latach słyszał jej głos. Widział błyszczące oczy. Na powiekach miała niebieską kreskę.

— „Odwróćcie się, chłopcy! — powiedziała wesóło. — Tylko nie podglądaj!”

— Odwrócili się, jak na komendę. W lustrze pokazały się długie nogi baletnicy. Opadł kolorowy stanik i na sekundę błysnęły drobne piersi. Co było dalej? Pojechali dorożką do „Palais”. Palili po drodze papierosy. Maleczek opowiadał dowcipy z gazety. Emil niespokojnie spoglądał na licznik. Dorożkarz

umyślnie obrał dłuższą drogę. Marika z jedwabną chusteczką na warkoczach ofiarowała się w dorożce tańczyć z każdym po kolei, ale na miejscu zaczęła się skarżyć, że jest głodna. Maleczek poprosił o jadłospis. Wręczył go dziewczynie uroczyście, jak listy uwierzytelniające. Marika — skąd się bierze pamięć o takich szczegółach? — zjadła kopiasty talerz knedli i poprosiła o Pilznera. Maleczek zamówił karafkę żytniówki. Było wesoło i sentymentalnie. Muzyka grała „Na perskim rynku”. Emil pokazywał za plecami dziewczyny pięć palców na znak, że nie ma więcej niż pięć koron. Marika zamówiła drugą karafkę i było jeszcze weselej. A potem — doszło do katastrofy! Gdy przyszło do zapłaty, Kranc wyniósł się do toalety, błady Emil dał kelnerowi blaszany zegarek w zastaw, Maleczek kazał rachunek posłać ojcu. Kelner wezwał barczystego portiera...

— O czym myślisz? — zapytał pułkownik. — Zatożę się, że o Bratysławie.

— Pamiętasz? Biliśmy się, jak opętani...

— Kto? Z kim?

— Kranc, Maleczek i my dwaj z tym barczystym portierem.

— Pamiętam. A co się stało z Mariką?

— Uciekła przez okno.

— A ty, nieśmiały Hlohovec, prymus klasy, wcisnąłeś portierowi bęben na głowę! Stare, burżujskie czasy!

— Kranc chciał zeskoczyć ze schodów i zwichnął stopę. Na jutro opisali nas w gazecie. Wzywali nas do dyrektora.

— I na policję. Białem się wówczas policji, jak ognia. Może dlatego zostałem policjantem?

— Nie mogę głośno mówić. Boli mnie wszystkie gnaty. Gdyby nie twoja pomoc, zatłukliby mnie na Pankracu.

— Już nie pamiętam, kto wtedy odprowadził Marikę do domu? — zapytał Emil, zgrabnie wymijając chłopską furmankę na szosie. — Mnie zabrała policja. Kranc zwichnął stopę. Zostało was dwóch: Maleczek albo ty?

— Maleczek — skłamał Hlohovec.

— Nie wierzę ci. Maleczek roztrąbiłby taką przygodę po całej Bratysławie. Przyznaj się. Przespałeś się z dziewczyną w hoteliku. Po co ta wstydlivość po tylu latach?

— Byłem wtedy do tego za młody i za głupi. Miałem szesnaście lat.

— Marika opowiadała mi o tej historii z rozrzewnieniem. Zachowywałeś się delikatnie, jak młody poeta. Nad ranem przyniosłeś jej bukiet fiołków. Kobiety pamiętają o takich drobiazgach przez długie lata.

— O czym my mówimy? — Hlohovec przetarł czoło. — Zachowujemy się wbrew wszelkim zasadom psychologicznego prawdopodobieństwa. Niebezpieczeństwo o krok, a my wytawiamy z pamięci jakieś dawne historie! To dziwne, ale siedząc na Pankracu, nie myślałem o śmierci ani o możliwości ratunku. Natomiast prześladowały mnie szczegóły pewnego filmu, który widziałem dwadzieścia lat temu!

— Powinieneś raczej myśleć o tym, co cię czeka jutro.

— Indyk myślał o niedzieli, a w sobotę też uciegli! — Hlohovec spojrzał na żółte od nikotyny palce przyjaciela i zamknął oczy. Przez moment wydawało mu się, że są poplamione krwią.

Redaktor Borowczyk pilnie rozglądał się dookoła. Miał zamiar napisać reportaż z uroczystości do najbliższego numeru „Głosu Demokracji”. Ale przede wszystkim pragnął się rozmówić z Barabaszem, kolegą po piórze, w sprawie którą mu powierzono do energicznego załatwienia.

Barabasz nie było ani w hangarze, ani na wzgórzu. Na uboczu gorączkowej krzątania łowił ryby w pobliskiej rzeczce razem z młodym Olyphantem.

— Nad wieczorem biorą najlepiej, co?

— Dlaczego mi się pan przygląda?

— Miałem brata w twoim wieku — odrzekł Barabasz do młodego Amerykanina. — Chodziłem z nim czasem na ryby, nad Wisłę.

— Co się z nim stało?

— Poległ w Warszawie.

— To u was brali piętnastoletnich do wojska?

— Sami szli. Miał twoje oczy i tak samo nasrozoną czuprynę. Był jednak o pół głowy niższy od ciebie: gorzej się odżywił. Na muchę nic nie chwycisz, załóż robaka.

— Gdzie ładniej: w Polsce czy w Niemczech?

— W Polsce.

— Czemu pan tam nie jedzie?

— Czekam aż twój ojciec wypędzi Rosjan z Polski.

— Ach, ta organizacja z balonami! Mój ojciec tego nie zrobi. Ja bym mu nie wierzył.

— Nie wierzysz ojcu? Dlaczego?

— Cóż to za ojciec! Bol się matki, a moja matka to zła kobieta. Dawniej kłócili się bez przerwy, ale któregoś dnia matka powiedziała do niego: „Jeżeli jeszcze raz pojedziesz z panną Dixon na Florydę, powiem ludziom o tobie to, czego nikt nie wie.” Ojciec się przeraził, panna Dixon wyjechała z Cincinnati, i teraz jest niby zgoda, ale nie wiadomo co z tego wyniknie. Okropni ludzie — może mi pan wierzyć!

— Jak możesz mówić o matce, że jest „zła”? To grzech.

— Mam swoje powody — mruknął młody wędkarz. — Weselej by nam w domu było z panną Dixon, to jedna z najlepszych tenisistek w całym Ohio! Serwuje i ścina jak mężczyzna! Chciałbym mieć taki smecz przy siatce!

— Nareszcie was znalazłem! — z zarośli wynurzyła się głowa Borowczyka. — Tam się szykuje szturm na żelazną kurtynę, a ci sobie łowią rybki!

Wziął Barabasz na bok i zaczął mu przedkładać:

— Znałem pańskiego ojca. Był dumą naszego stronnictwa. Nigdy nie splamił się kompromisem z antydemokratami. Z

tym większym żalem dowiedzieliśmy się, że pan, syn wielkiego Barabasz, objął posadę w tygodniku, którego linia polityczna jest całkowitym zaprzeczeniem ideałów głoszonych przez pańskiego ojca.

Barabasz, drobny, zahukany człowieczek o zamglonym spojrzeniu, westchnął:

— Co robić?

— Na ostatnim posiedzeniu CKW — ciągnął Borowczyk głosem nieco twardszym — stanowisko kolegi zostało poddane ostrej krytyce. Przyznaję się, że sam nie znajduję słów usprawiedliwienia dla tego, co pan czyni. Albo się jest członkiem naszej organizacji i przestrzega się lojalnie jej uchwał, albo się, panie Barabasz, liże buty generałom. Musi się pan zdecydować!

Barabasz usiadł zmartwiony na kłodzie drzewa i znowu westchnął:

— Sam nad tym boleję. Nie myślcie, koledzy, że mam łatwe życie w tej urzędowce. Co tydzień drukujemy elaboraty nudne jak flaki z olejem i tasiecowe przemówienia, czasem jakieś wspomnienie z czasów wojny. Ale z czegoś trzeba żyć, nie? Nie każdy się nada do noszenia ciężarów w fabryce...

— Znałem pańskiego ojca. Kiedy mu w r. 1927 proponowano świetnie płatną posadę w ministerstwie za cenę zaprzestania ataków na rząd, ojciec pański odpowiedział: "Nie założycie mi złotego kagańca na usta!" To był człowiek! Zgodzi się pan ze mną, że dzisiaj jest coraz mniej takich ludzi na świecie...

— Naturalnie — powiedział Barabasz, który z reguły przyznawał wszystkim rację. — Takich ludzi teraz nie ma...

— Kolego Barabasz, na ostatnim posiedzeniu CKW polecono mi zakomunikować wam ultimatum. Musicie się oświadczyć. Co wam milsze: ciepła posadka u czarnopodniebiennych czy członkostwo demokratycznej organizacji? W namiocie jest pułkownik Kajman, wasz wydawca. Macie cudowną okazję okazania charakteru i wierności zasadom, które przyświecały waszemu ojcu! Idźcie i rzućcie to haniebne zajęcie!

— 30 funtów miesięcznie — westchnął Barabasz. — Gdzie ja tyle dostanę? A roboty niewiele: trochę polemik z grupą Byclika...

— Co? Z grupą Byclika? To wy zwalczacie Byclika? Czyż nie wiecie, że Byclik jest naszym naturalnym sprzymierzeńcem w walce z hegemonią generałów i byłych ambasadorów?

— Przecież dawniej było inaczej. Nasz ruch go zwalczał!

— Tak, ale na tym tle doszło ostatnio do rozłamu.

— Nie do wiary! Czy... — zająknął się Barabasz — nie mógłby mi pan powiedzieć, w jakiej grupce ja się znalazłem?

— W pro-Byclikowskiej!

— A dr Dutkiewicz, z którym szliśmy razem?

— Został rozszyfrowany.

— Dwustołkowiec?

— Tak. Jego grupa odgrywa rolę peryskopu pewnej zakonspirowanej mafii, w której młodzi oenerowcy połączyli się ze starymi Żydami.

— Psia krew!

— Tak czy inaczej, idźcie, kolego, do pułkownika i rąbcie mu prawdę w oczy! Gdyby wasz ojciec żył, powiedział by wam to samo!

— Macie rację. Tak zrobię...

Barabasz wziął wędkę pod pachę i zamyślony powlókł się w stronę namiotu.

W namiocie dla prasy goście rozbili się na grupki.

— Niech pan posłucha, jaki list dostałem z Pragi od mojego jedynaka — powiedział Horacek do Szabosa. — Pisze, że nie życzy sobie ze mną dalszej korespondencji. "Powinieneś zrozumieć — pisze — że nie tylko jesteś człowiekiem niepożebnym, ale także i szkodliwym. Jesteś naszym wrogiem. Sam fakt twojego przebywania zagranicą uniemożliwia mi uzyskanie w hierarchii urzędniczej kategorii, na którą od dawna zasłużyłem jako dobry pracownik i lojalny członek partii. Narażasz mnie swoimi płaczącymi przemówieniami przez radio, gdzie pod pokrywką poezji apoteozujesz to, co przepadło, i zamulasz umysły naszym robotnikom. Przestań się na starość bawić w politykę i wysługiwać obcym interesom!..." Chłopak jest w pana wieku. Bardzo go kiedyś kochałem, ale dzisiaj, ja, ojciec tego gagatka, mówię panu: to zwykły karierowicz! Niech pan słucha dalej: "Twój starczy, dziedzicniłby upór, za który pewno pobierasz od Amerykanów i hitlerowców sowitą pensyjkę, każe ci miotać obelgi na wszystko, co czeskie"... To nieprawda, on kłamie! Złego słowa nie powiedziałem na ojczyznę! "Dzięki tobie, tylko dzięki tobie żyję na głodowej pensyjce i jestem przez otoczenie uważany za człowieka niepewnego. Jeśli któregoś dnia spotka mnie zła przygoda, możesz sobie pogratulować: to twoja zasługa!..." Tchórz, widzi pan, zwykły, mały tchórz! I ten człowiek jest moim synem... Do szkół go posyłałem, kształciłem go na klasykach, wprowadziłem go w świat muzyki i malarstwa, razem wzruszaliśmy się przy Bachu i Beethovenie. Chciałem z niego zrobić człowieka — nie udało się: wychowałem go na kanalię!

— Czy go pan nie krzywdzi? — bąknął zażenowany tym wybuchem Szabos. — Z dala od tamtego systemu, nie potrafimy sobie wyobrazić warunków, w jakich żyją nasi najbliżsi...

— Eh, Szabos! Szkoda gadać! Mój syn nie ma prawa pisać do mnie takich listów! — Horacek wcisnął zmięty papier do kieszeni, i odszedł w drugi kąt namiotu.

Młody Olyphant po powrocie znad rzeczki zastał ojca z telegramem w ręku. Łysy pan siedział w koszykowym fotelu nad maszynopisem swej mowy i przymykał wypukłe powieki.

— Mam dla ciebie złe wiadomości, chłopcze.

— Czyżby panna Dixon przegrała swojego singla w Cannes?
 — Nie. To telegram z domu. Biedna Patrycja! Powinniśmy natychmiast wracać do Cincinnati. Jest umierająca.

— Nie śpiesz się, dad! — Chce nas widzieć przy sobie.

— Poczekajmy do niedzieli. Przecież umiera już od roku. Nie znasz jej?

Młody Olyphant zmrużył oczy i zmarszczył czoło. Z trudem ukrywał niechęć do matki. Dziwaczka, histeryczka, egoistka! Nie mógł jej przebaczyć komedii sprzed miesiąca. Z jej to inicjatywy z powodu tak białej sprawy, jak uszkodzenie błotnika, zwołano całą radę rodzinną. Istny teatr! Zapaliła świecę w sypialni, zdjęła krzyżyk z szyi i kazała mu przysięgać przy świadkach, w kręgu tłustych ciotek i zasuszonych wujków z Cleveland, że dopóki ona żyje, nie będzie jeździł z dużą szybkością. "Przysięgnij, że nie przekroczysz 30 mil na godzinę!" — "40-tu! — próbował się targować". — "30-stu" — zakrzyczył go tłuste ciotki i chudzi starcy. Panna Dixon nigdy by takiej rzeczy nie zrobiła, wyśmiałaby to całe pogrzebowe bractwo. Śmieszne! 30 mil na godzinę! Dziewczeta pędzą osiemdziesiątką! Zrobiono z niego pośmiewisko w całej klasie. Już parę razy ogarniała go buntownicza pokusa, by nie dotrzymać wymuszonej przysięgi i wypuścić maszynę za miastem na pełny gaz, na sto dwadzieścia. Ale w odbiciu szyby widział rozszerezone oczy matki i złowrogi płomyk świecy. Ogarniał go za bonny lęk przed mściwością nieba, kłął swój los, zaciskał palce na kierownicy, i nadal włókł się w upokarzającym kieracie swoich dozwolonych 30-u mil, a kiedy go ze śmiechem i okrzykami wymijali koledzy z "Columbus College", czuł się w swoim wspaniałym samochodzie, jak w inwalidzkim wózku. Wstęga autostrady rozpyłyła mu się w zmrużonych oczach. Jechał i płakał.

— Pamiętasz, co było dwa lata temu, gdy byliśmy w trójkę z panną Dixon na turnieju w Oklahoma City? Też depeszowała, że jest umierająca, że chce się z nami pożegnać... Wróciliśmy jak wariaci, nie doczekawszy końca meczu. Cały finał nam poszedł koło nosa!

— Jesteś złym dzieckiem — powiedział Olyphant. — Gdyby nie obowiązki służbowe, wróciłbym natychmiast do domu. Wiesz dobrze, że nie mogę tego całego kramu zostawić na łasce losu. Ten wariat Sebastiano gotów z najpoważniejszej rzeczy zrobić karnawał nicejski. Swoją drogą, Patrycja nie ma żadnego zrozumienia dla spraw, które się tutaj dzieją. Nie przyjechaliśmy tu dla przyjemności. Przepraszam ojca za głupstwa, jakież wypowiedział o naszej biednej matce. Jeśli zostaje tutaj parę dni, zrobię to, mały egoisto, tylko dla ciebie.

— Wstrętny typek! — pomyślał Fred, ale podszedł do ojca i pocałował go z szacunkiem w policzek.

Horacek nie znoślił dymu i wrzawy. Wyszedł z hangaru na świeże powietrze i natknął się na Greenforda. W świetle ref-

lektorów, które oświetliły cały biwak, sławny dziennikarz wydłużył się i wyglądał jak obelisk. Stary Czech sięgał mu do piersi.

— Nie wiem, czy mnie pan sobie przypominasz. Dawne lata... W Genewie, okres ząbkowania Ligi Narodów... A potem mieliśmy zakładać w Lozannie jakąś europejską federację liberałów...

— Naturalnie — skłamał Greenford — dawne lata, przedpotopowe. Czym mogę panu służyć?

— Szukam kogoś, przed kim mógłbym się na głos wyżalić. Czy panu się podoba to puszczenie wianków w noc Kupały? Czy nie sądzi pan, że ogłoszenie programu politycznego, który by w uczciwych słowach wysunął kwestię uwolnienia narodów uciśnionych spod panowania Rosji, byłoby w "wojnie psychologicznej" posunięciem grubo efektywniejszym, niż to nadmuchywanie gumowych pęcherzy?

— Byłbym niepokieszony — rzekł Greenford — gdyby mi pan zadawał zbyt wiele pytań. Wszystko, co mam do powiedzenia, znajduje się w moich artykułach.

Horacek poczuł wonną smugę Calvadosa na twarzy, ale nie dawał za wygraną.

— Chciałbym wobec tego przedstawić panu mój pogląd na ten "piknik wolności..."

— Niech pan idzie do Olyphanta. To nie mój pomysł.

— Tak, ale pan jest popularnym publicystą, który posiada wpływ na kształtowanie opinii. Słyszałem cykl pana pogadek w "trzecim programie" BBC pod tytułem: "Perspektywy wyjścia z impasu". Postawił pan tam tezę...

— Może wrócimy do reszty towarzystwa?

— Panie Greenford — zniecierpliwiony Horacek pokazał ręką na wschód — tamci ludzie, tak skwapliwie odpisani z europejskiego inwentarza, czekają na odsiecz...

Greenford z trzaskiem wydobyl płomyk z zapalniczki, zapalił papierosa i powiedział z tajoną niecierpliwością:

— Tak. To bardzo bolesne. Rozumiem pana: chciałby pan wojny przewencyjnej. Komuniści nie mijają się z prawdą, gdy nazywają emigrantów podżegaczami wojennymi. Pomijając fakt, że epoka wypraw krzyżowych minęła bezpowrotnie — rozwój kulturalny i cywilizacyjny podniósł cenę życia ludzkiego — czy nie sądzi pan, że wtrącenie milionów ludzi w odmet nowej pożogi, że zniszczenie — dajmy na to — Notre Dame, Luwru, skarbow Rzymu, katedry mediolańskiej, British Museum i wielu innych drogocennych rzeczy — byłoby zbyt wysoką opłatą za oswobodzenie wschodnich Europejczyków? Nikt z nas nie ma pewności, czy nie doszłoby po prostu do powszechnego samobójstwa, do wysadzenia naszej biednej planety w powietrze. Skąd pan taki pewny, że wschodni Europejczycy pragną wolności? A może to tylko pan pragnie powrotu do dawnej ojczyzny?...

— Panie Greenford!...

— Mój młodszy brat, który brał udział w inwazji Europy, w r. 1945 wpadł ze swoim patrolem do pewnej niemieckiej wioski pod Akwizgranem z okrzykiem iście byronowskim: "Przynosimy wam wolność!" Wie pan, co mu ci oswobodzeni Niemcy odpowiedzieli? "Danke schön, Herr Leutnant, ale nam nie potrzeba waszego oswobodzenia.. Żyliśmy sobie w niewoli lepiej, niż wy na wolności!" Niech pan sobie zapisze do notesu słowa naszego premiera, który powiedział to, co odczuwa większość narodu: "Pragniemy wytłumaczyć Rosji, że nie grozi jej z naszej strony niebezpieczeństwo ataku. Nie pragniemy od niej nic ponad to, by zachowała się wobec nas, jak dobry sąsiad... Wierzę, że z czasem siła ducha ludzkiego okaże się dla tyranów za żelazną kurtyną tak wielką, iż dojdzie do zmian wewnątrz tych krajów. Na pewno nie zmienimy tamtych stosunków przez naciski z zewnątrz..."

Horacek patrzył na niego z przerażeniem, z trudem chwytając oddech. Czui, że na chwilę chwyci go atak astmy. Poirytowany dziennikarz czynił wrażenie krnąbrnego chłopca, który odpowiada starszym na "złość", by ich wyprowadzić z równowagi.

— Nieźle, nieźle — sapał stary Czech. — I taka aria była potrzebna w tej operze-buffo!

— Znam wasze hasła, znam! Wolność i niepodległość! Cóż to oznacza, drogi panie? Na szczęście nie ma na świecie ani wolności ani niepodległości i wszyscy komuś albo czemuś podlegamy. Jeśli nie Panu Bogu, to policjantowi i jego pałce. I dlatego nie topimy się w morzu anarchii. Czy pan sądzi, że moja ojczyzna jest krajem niepodległym? Jesteśmy, a mówię to bez cienia żalu, satelitami Ameryki, tak jak wy jesteście satelitami Rosji...

— Panie Greenford!...

— Cóż to jest wolność polityczna? Czy napełnia głodnym żołądki, a bezrobotnym daje zatrudnienie? Czy w ogóle istnieje bez pełnej suwerenności gospodarczej? Czytałem wasz nowy memoriał o eksploatacji ekonomicznej państw satelickich przez Rosję. Pozwól pan sobie powiedzieć, że pojęcia businessu jest zrośnięte z pojęciem eksploatacji jak skóra z mięsem. Trzeba na te sprawy spojrzeć chłodno, bez nacjonalistycznych egzaltacji. Mówicie, że wolność jest niepodzielna. Nieprawda! Historia tego nie potwierdza. Przez długie wieki istniały obok siebie kraje wolne i niewolne, a co gorsza — pewnie już tak będzie po ostatnie dni świata. Skarżycie się, panowie, że fałszują u was wybory, że nie ma demokracji parlamentarnej za żelazną kurtyną. Pozwól pan sobie powiedzieć, że kto nie ma pieniędzy na dobrą propagandę, nie ma szans w żadnych wyborach. Nie znam takiego momentu w dziejach, by rządził jakiś fikcyjny "lud" czy "naród" przy pomocy wrzucenia kartki wyborczej do urny. Zawsze i wszędzie, za najrozmaitszymi parawanami, rządzą mafie i kliki. Demokracja parlamentarna?

Mogę panu podać cyfry, w ilu krajach wolnego świata kobiety są pozbawione prawa głosowania. A czy słyszał pan o podatku wyborczym, który w południowych stanach Ameryki uniemożliwia biedocie murzyńskiej oddanie głosu?

— Panie Greenford!...

— Powiem panu więcej! — rozsierdził się dziennikarz. — W wyniku rewolucyjnego rozwoju komunikacji, w epoce samolotu szybszego od dźwięku, świat zmierza do integracji. Obawiam się, że małe narody będą musiały raz na zawsze zrezygnować ze swoich ambicji i snów o suwerenności. Nie ma powrotu do status quo ante. Polityka to nie seans spirytystyczny. Musimy być ostrożni ze wskrzeszaniem duchów. Traktat wersalski i wilsonowskie mrzonki o samostanowieniu małych narodów przyniosły światu w konsekwencji krwawą wojnę światową, i to wszystko, czego jesteśmy dzisiaj świadkami...

Horacek nie słuchał dalej. Machnął ręką i odszedł w drugi koniec biwaku.

Nieśmiały Barabasz, idąc do Kajmana, staczał z sobą walizkę. Córką nie dostała stypendium. Od pierwszego września trzeba zapłacić za całe półrocze z góry. Szwagier domaga się zwrotu stu funtów przed wyjazdem do Ameryki. Raty za meble, za radio, za dywan. Gospodarz podnosi komorne. Żona nie ma palta na zimę... Z drugiej strony czui, że Borowczyk ma rację: lepsza bieda od fałszywej sytuacji moralnej...

Usiadł na leżącej przy drodze butli tlenu i zamyślił się. Jedyną osobą, którą naprawdę w życiu kochał, był ojciec. Od wielu lat prześladowało go smutne wspomnienie z młodości. Ojciec szedł w stronę czerwonego gmachu powoli, noga za nogą, ze spuszczoną głową. Nie ma powodu do dumy ani do zadowolenia, gdy we własnej, wolnej ojczyźnie trzeba iść do więzienia za krytykę rządu. Przysławiał co pewien czas, wzdychał, przecierał okulary. Żona odprowadziła go przez dwie ulice, młodsze dzieci zostały w domu. Byłoby źle, gdyby w ich młodych umysłach pozostała pamięć o takich sprawach, ale jednak pozostała! Nazywało się, że ojciec pojechał do Iwonicza, na kurację. Jedną z ciotek umyślnie miała wysyłać trzy kartki pocztowe w odstępach miesięcznych z iwonickiego pensjonatu. Ale najstarszy syn domyślał się od dawna, dlaczego ojciec nie śpi po nocach. W niedużym mieście wszyscy się znają. Przechodnie przystawali, kiwali życzliwie głowami, ścisnęli ręce ze współczuciem. Ojciec, zły, chował ręce do kieszeni i mruczał. Niedaleko czerwonego muru czekali koledzy z redakcji, fotograf, sympatyczki partyjne z kwiatami. Redaktor zirytował się na widok fotografa, kazał mu iść do wszystkich diabłów, wślizgnął się między uchyloną furtę więzienia szybko i ukradkiem. Nie widział w swoim losie politycznej sensacji. Jakiś policjant z długimi wąsami ścisnął mu rękę ze smutkiem, jakby tłumaczył się za wadliwy system rządów w

stolicy. Dni miały powoli, podobne do siebie jak pręty w kracie. Redaktor gryzł się w samotności myślą, że w Anglii, Francji czy Ameryce nie siedziałby za swoje "przestępstwo prasowe" ani minuty w areszcie. Kiedy wyszedł po trzech miesiącach na wolność, najstarszy syn spostrzegł u więziennej furtki, że ojciec przygarbił się, zmalał, a skronie ma pokryte siwizną... Dawne lata, jakże łagodne w porównaniu z tym, co się wydarzyło potem, i co się dzieje po dziś dzień w tamtych stronach! Ale Barabasz nie mógł pozbyć się myśli, że tacy, jak Kajman, wtracili mu ojca do więzienia. Pułkownik Kajman był typowym przedstawicielem tamtej "szkoły". Co gorsza, po dzień dzisiejszy broni na uchodźstwie tamtych ludzi, tamtych metod! Nie okazuje cienia żalu lub skruchy. Już dzisiaj wie, kogo ze swoich przeciwników politycznych na emigracji, osadzi po powrocie do wolnej ojczyzny w obozie odosobnienia...

Barabasz wstał gwałtownie i powziął decyzję.

Znowu zadzwiczał telefon w namiocie. Olyphant niechętnie podniósł słuchawkę — właśnie pisał list do panny Dixon i wyznaczał jej spotkanie w La Boule, na konkursie samochodów.

— Halo, boss! — rozległ się wesoły głos w słuchawce. — Tu Sebastiano! Przyszedł mi świetny pomysł do głowy! Przeczytałem przed chwilą w "Stars and Strips", że czerwoni bojkotują za żelazną kurtyną tańce amerykańskie. Proponuję, abyśmy nadawali dziennie po trzy godziny jazzu dla narodów uciśnionych. Dobre, co?

— Oj, chłopcze, chłopcze! — westchnął z politowaniem Olyphant. — Z najpoważniejszej rzeczy gotówes zrobić zabawę dla dzieci. Co z wiatrem?

— Za jakieś pół godziny...

Młody Szabos czuł się fatalnie. Irytował go ten spektakl. Z niechęcią patrzył na starych wyżeraczy w rodzaju Greenforda, Gutenberga czy Marrona i na młodych mędrków à la Gaston lub ten nieznajomy "Tyrolczyk", który wywiódł, że obszarnicy wymyślili patriotyzm. Drażnili go swarliwi Polacy swoimi pokątnymi intrygami i własni rodacy, prawłacy bezwstydne dusery obcym dziennikarzom. Międzynarodowe intelektualistki (grzywki obcięte po męsku), paplające z kieliszkiem w ręku o nowościach wydawniczych w Paryżu i w Londynie, filmach Cocteau, cenach hoteli na Majorce, skandalikach obyczajowych i chorobach swoich znajomych, działały nań odpychająco. Pocciwi Amerykanie w kwiecistych koszulach, nawołujący się chrapliwymi dźwiękami, byli mu również całkiem obcy — nie znosił sportu, pośpiechu, zapachu benzyny, skautingu i jaskrawej radości życia. Ale wszystkie niechęci, czuł to doskonale, maskowały prawdziwą przyczynę złego samopoczucia: romans z Lady Hopper ciążył mu niczym biblijny kamień młyński na szyi, a rozmowa z Karpową, zatroskaną o nieczyste interesy swego ex-męża, napełniła go niesmakiem.

Idąc przez las, Szabos czynił postanowienie poprawy: zerwie z dotychczasowym sposobem życia, pójdzie do fabryki, ciężką pracą zmyje z siebie osad macierzyńskiej miłości starej Angielki, będzie zarabiał pięć-sześć funtów na tydzień, zaszyje się w jednej izdebce w której z tych strasznych londyńskich rud na Paddingtonie lub Kilburn...

Minął paprocie — w świetle reflektora wyglądały jak teatralna dekoracja — gdy u wejścia do namiotu spostrzegł w leżaku niedużą, może dwunastoletnią dziewczynkę. Przykryta płaszczem, z twarzą wystawioną ku niebu, z okularami na chudym szpiczastym nosku, spoczywała jak na plaży.

Szabos przystanął, zdziwiony:

— Mała osobo! Już po słońcu!

— Nie opalam się, proszę pana — pisnęło chude stworzonko.

— A cóż ty tu robisz, mała?

— Nazywam się Evelyn Greenford.

— Tatusz tu cię przywiózł?

— Tak. Odkąd mama wyszła za Miltona Warwicka, tatusz zabiera mnie wszędzie ze sobą.

— Obawiam się, że nie ma tutaj niczego ciekawego.

— Jakto? To taka szlachetna i piękna chwila! Myśli pan, że nie wiem, o co chodzi?

— Polityka, moje dziecko. Nic pięknego.

— Cóż pan mówi! Ja wiem wszystko!

— Tatusz ci opowiadał?

— Nie. Tatusz uważa mnie za dziecko. To Agnes opowiedziała mi wszystko. Agnes, to nasza służąca, Estonka. Jej mąż i syn są w Rosji.

— Biedna kobieta! I to ona cię wychowuje zamiast matki?

— Myśli pan, że oni już nie wrócą? Modlimy się za tych, którzy siedzą w więzieniach i za tych, którzy rąbą drzewo na śniegu. Powinno im to pomóc, prawda?

Szabos wyjął z kieszeni tabliczkę czekolady. Lady Hopper wypychała mu, jak małemu chłopcu, kieszenie słodyczami. Ale dziewczynka ze szpiczastym noskiem energicznie potrząsnęła głową.

— Niech pan to schowa. Dzisiaj nic nie jem. Pościmy z Agnes trzy razy w tygodniu. Tatusiowi to się bardzo nie podoba. Chciał nawet wypędzić Agnes z naszego domu, ale on tego nie robi...

— Dlaczego?

— Bo wie, że ja bym wtedy umarła. To straszne, że my dwie: Agnes i ja, nic nie możemy zmienić na świecie. Modłę się, chodzę do kościoła i poszczę, ale może to za mało?

— To bardzo dużo. Więcej niż czynią inni. Ale nie powinnaś się głodzić. Jesteś małą, drobną istotą. Wyglądasz jak zmarznięty wróbel. Jeśli opadniesz z sił, nigdy nie wyrośniesz na silnego i zdrowego człowieka, który mógłby cokolwiek zmienić na świecie na dobre.

Widok małej Evelyn nie schodził Szabosowi sprzed oczu w ciągu rozmowy, którą nazywał w duchu "decydującą". Patrzył w obłożone fałdami żółtej skóry oczy Lady Hopper i myślał o rozwinętym nad wiek dziecku i jego tęsknocie do poprawy świata. Zazdrościł mu czystości serca. Głosu starej kobiety słuchał w roztargnieniu. Nie przeczył, że widział się z Karpową i że umówił się z nią na jutro. Spostrzegł, że białka w niego wpatrzone mają czerwone nitki, dochodzące aż do tęczówki, a w rogu oka żółcą się plamy — znak choroby. Od ust pomalowanych na fioletowo opadają twarde, męskie bruzdy. Skóra na szyi, natarta kremem i pomączona ciemnym pudrem, zwisa jak u ptaka. Zamknął oczy.

— Nie mam zamiaru ukrywać — powiedział po chwili zmęczonym głosem — że sytuacja, w jakiej się znajduję, wymaga stanowczej decyzji. Od dawna powinienem był to uczynić...

Nastąpiła cisza, podczas której Szabos uprzytomnił sobie, że lęka się własnej odwagi.

— Zrobisz, jak będziesz chciał — powiedziała przesadnie grzecznym tonem. — Powinieneś się jednak, chłopcze, dobrze zastanowić, czy czynisz rozsądnie...

— Myślę, że tak będzie najlepiej...

— Nie wiem, czy dla ciebie. Jesteś słaby i nierozważny. Potrzeba ci stałej opieki. Nie dasz sobie sam rady.

— Nie jestem dzieckiem.

— Jesteś jeszcze wielkim dzieckiem, ale nie będziemy się sprzeczać. Pojutrze miałam zamiar wyskoczyć z Niemiec do Włoch — chciałam cię zabrać ze sobą. Miał to być dla ciebie miła niespodzianka. Jednak w tym stanie rzeczy — muszę jeszcze dziś wiedzieć, czy jedziesz ze mną, czy wracasz do Londynu. Za tydzień przypada termin wpłacenia subwencji na wasz fundusz organizacyjny. Nie chciałabym, byś mnie źle zrozumiał, ale nie mogę wprowadzać zamętu do mojej księgości...

— Rozumiem — odrzekł i zaczerwienił się.

— Czy byłeś w Taorminie na Sycylii? Czy znasz Neapol?

— Nigdy nie byłem na południu — bąknął — ale ja... na prawdę...

Przed dłuższą chwilę namyślała się z nachmurzoną twarzą.

— Jeśli ci na tym zależy — powiedziała suchym głosem — możemy zabrać Karpową ze sobą. Zastanów się...

— Zastanowię się — zamknął oczy, by nie widzieć znieciercieranej przez siebie twarzy.

— Na poważne decyzje masz czas po powrocie z Sycylii. A teraz, niewdzięczny chłopcze, wracajmy do reszty towarzystwa. Poznasz tutaj ludzi, którzy mogą pomóc nie tylko tobie osobiście, ale i twojej biednej ojczyźnie.

Miał ochotę uciec, gdzie oczy poniosą, ale bezwiednie podał jej ramię. Weszli do seledynowego namiotu, do królestwa Wielkiego Gutenberga i jego wielbicieli.

— Jeśli Rosjanie mają przyjść i nas zająć — perorował młody Francuz — niech to czynią jak najprędzej. Nic tak nie męczy, jak lęk w permanencji. Lepsza zła pewność od dobrej niepewności...

Szabos wyjął z kieszeni banknot i wcisnął go kelnerowi:

— Double whisky!

Hlohovec ocnął się z krótkiej drzemki. Ostry ból przeszył mu plecy. Przez moment nie wiedział, co się z nim dzieje. Dopiero zapach benzyny i ciepło bijące od silnika przypominały mu, że jedzie autem w stronę granicy.

— Musieli mi coś odbić wewnątrz — poskarżył się do Emila.

— Wykurujesz się na temnej stronie. Już niedaleko.

Motor warczał głucho — pięli się w podgórskim krajobrazie. Zapadał zmrok, ale Emil nie zapalał reflektorów. Pochyleny nad kierownicą, z pionową zmarszczką między brwiami, wpatrywał się w szosę.

— Czy nie wysłano za nami pogoni?

— Nie myśl o tym!

— Przecież musieli spostrzec, że nas nie ma. Połączyli się telefonicznie z posterunkami na granicy. Wpadniemy prosto w przygotowaną zasadzkę.

— Nikt nas nie będzie ścigał. W księdze więziennej figurujesz od dwóch dni jako zmarły...

— Jako zmarły? A gdzie moje zwłoki?

— Jadą samochodem — zażartował Emil.

— Tak, ale to wszystko wydaje mi się zbyt sensacyjne, aby mogło być choć na moment prawdziwe!

— Widzę, że niedowierzasz moim zawodowym kwalifikacjom. Zapewniam cię, stary, że rzecz przebiega według planu. W najbliższej wiosce zatrzymujemy samochód i ruszamy piechotą do lasu. Znam tam każde przejście, każdą ścieżkę...

— Wykryją, że wyjechałeś służbowym autem. Powinieneś uciec razem ze mną.

— Nie. Ja wracam do Pragi.

— Aresztują cię!

Hlohovec chciał zawołać, że po przekroczeniu granicy mógłby mu pomóc dzięki swym znajomościom w Radzie Wolnej Czechosłowacji, ale ugryzł się w język. Czuł się wobec Emila dłużnikiem. Był mu wdzięczny za ratunek, ale jednocześnie spoglądał na towarzysza młodości z instynktownym lękiem. Peszty go mundur z putkownikowskimi dystynkcjami i czerwona gwiazda na czapce.

Jechali w milczeniu.

Spśród gości spacerujących między namiotami i balonami zwracał na siebie uwagę mężczyzna barczysty, kołyszący się w kolanach w sposób charakterystyczny dla ludzi, którzy poło-

wę życia spędzili na koniu. Pułkownik Kajman, bohater spod Węgierskiej Górki, gdzie — jak twierdzili złośliwi — manewrem oskrzydłającym zdobył w pamiętnym wrześniu osiem nowiutkich motocykli nieprzyjaciela, tracąc zaledwie kompanię wojska, przybył na balonowe igrzyska w złym humorze. Grupa dr Dutkiewicza oskarżyła go przed Amerykanami o zapędy dyktatorskie. Cudem prawdziwym, po wielu upokarzających zabiegach, dostał zaproszenie. Godzinne wyczekiwanie na wiatr, niemożność dogadania się z cudzoziemcami mówiącymi poważnie po angielsku i francusku, i obecność przeciwników politycznych usposabiała go cholerycznie. Nie powinien był tutaj przyjeżdżać, ale bał się sprawdzenia starej mądrości, że nieobecni nie mają racji. Całe szczęście, że spotkał w namiocie dla prasy swego dawnego podwładnego, wachmistrza Kulę. Na zapytanie: — "A wy czego tutaj, Kula?", stary cwaniak uśmiechnął się: "Reprezentuję wolnych Albańczyków".

— Przecież jesteście Polakiem! — zgorszył się Kajman.

— Tak jest, panie pułkowniku, ale ponieważ działacze albańskich nad Tamizą jest 30, z czego bardziej wyrobionych 12-tu, postanowiłem im dopomóc. Idea Międzymorza. Pan pułkownik się pyta, czy można z tego wyżyć? Kombinuje się. Wydajemy biuletyn "Albania w okowach". Pisuję artykułiki po polsku, moja żona, Szkotka, tłumaczy je na francuski, a pewien student przekłada cały interes na albański, i tak się popycha!

Czujny Borowczyk przecisnął się między ciężarówkami i zapytał Kajmana prosto z mostu:

— Czy to prawda, że Barabasz rzuca posadę w pańskim tygodniku?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Któż to panu powiedział?

— Słyszałem... Ale nie chcę powtarzać plotek!

Kajman nigdy nie lubił Barabasza, ale ponieważ człowieczek o zamglonym spojrzeniu pisywał niegdyś do gazet skrajnie opozycyjnych i miał dość dobre pióro, przyjął go do swego pisma, pomny na stare powiedzenie: "Jeśli nie można poradzić sobie z kłusownikiem, należy go zrobić gajowym". Barabasz, choć w skórze jagnięcia, miał swoje złe nawyki z lat kłusownictwa. Na przykład w numerze gwiazdkowym umieścił podobiznę generała na czwartej stronie, a na okładkę wkleił fotografię najpiękniejszej Polki z Manchester. Niby drobiazg, ale znamienity.

Borowczyk, widząc że z daleka nadciąga Barabasz, oddalił się zgrabnie za baterię reflektorów. Pułkownik zaś gniewnie wciągał powietrze.

— Pęta się pan poza biwakiem! — powiedział opryskliwie do Barabasza. — Słyszałem, że w takiej chwili pan ryby łowi... Cóż to za idiotyzm! Powinien pan ludzi urabiać, kontakty nawiązywać z obcymi. Trochę inicjatywy, panie Barabasz!

Barabasz dygoczącą ręką odłożył wędkę na polowym krzeselku, wspiął się na palce.

Przez chwilę walczył z wrodzoną nieśmiałością i biciem serca, bladł i czerwieniał na przemian.

— Panie Kajman — zaczął po cichu. — Szukam pana wszędzie, aby...

— Nie jestem żadnym "panem Kajmanem". Jeszcze nie przestałem być pułkownikiem.

— Panie Kajman — powtórzył drżącym głosem. — Ja bardzo przepraszam, ale ja już dłużej nie mogę. Ja wprawdzie nie będę miał z czego żyć... Moja żona, moje dzieci... Ale ja wypowiadam posadę! Rzucam ją! Słyszysz pan? Rzucam, i już! Diabli niech porwą 30 funtów! — mówił coraz głośniejsze. — Tutaj idzie o mojego ojca, ale pan tego nie zrozumie! Tutaj idzie nawet o coś więcej! O wierność samemu sobie i swoim przekonaniom! Ja nie potrafię dłużej walczyć z komunistycznym totalizmem w piśmie wydawanym przez ludzi, którzy radziby wprowadzić w przyszłej Polsce biały albo czarny totalizm własnego chowu! Biały, brunatny, czarny czy czerwony, jawny czy ukryty, własny czy cudzy — jest mi wstrętny, panie Kajman! To wszystko! Żegnam pana!

— Coś pan? Zwariował? — cofnął się Kajman. — Cóż to za brednie! Naturalnie, jest pan wolny i to od zaraz! A za te słowa jeszcze mi pan kiedyś zapłaci, i to słono! Od dawna chciałem pana wylać na zbitą mordę! Ależ dobrze, dobrze! Paszół won, gówniarzu!

Barabasz, skurczony, z sercem uwieczonym w gardle, zniknął w ciżbie mechaników, ustawiających jakieś rusztowanie. Przeciskał się przez obcojęzyczny gwar z głową wtulony w rozdęte ramiona. "Jezus! Maria! Co ja zrobiłem! — ogarnął go przestach. — Straciłem posadę! Zachowałem się, jak wariat! Powinienem się wrócić i go przeprosić! Ale już za późno!" Wcisnął się w paprocę i ukrył rozpaloną twarz w dłoniach.

Tymczasem, obserwujący tę scenę Borowczyk podszedł do wzburzonego pułkownika i poczęstował go papierosem.

— Wypowiedział mi pracę, sukinsyn! — dmuchał Kajman. — Taki cham, takie bydlę z obory! Ale ja to przeczuwałem, jak on tylko tę fotografię na czwartej stronie... Świński rak! Kanalia, proszę pana.

— Znajdzie pan pułkownik dziesięciu na jego miejsce. Mało to zdolnych i chętnych ludzi na emigracji? Ale najlepiej taką awanturę utrzymać w dyskrecji — dobrze radzę. Jak się tamci dowiedzą... Za wiele radości byłoby w grupie Dutkiewicz et consortes!

— Ma pan rację — Kajman otoczył się dymem. — Znajdę lepszego. Ale mnie taka rzecz boli jako Polaka! Żeby rodak do rodaka na wygnaniu... Ta niewdzięczność, proszę pana! To chamstwo!

— Jeśli by pan pułkownik pozwolił, mam kandydata!

— Kogo?

— Niżej podpisanego...

— Pan chciałby... Jakto? Przecież pan pracuje w "Głosie Demokraty"!

— Dorywco, panie pułkowniku, i na pół pensji, a co najważniejsze: contre cœur! Należę do ludzi, którzy potrafią się zdobyć na dystans i szersze spojrzenie, na zdrowy i pozytywny stosunek do zagadnienia. Przyznam się, że sympatie moje zawsze były raczej po waszej stronie, ale necessitas, dura necessitas... Mam zresztą pomysł, który by mógł zainteresować organ pana pułkownika. Dowiedziałem się od amerykańskich żandarmów, że w sąsiednim miasteczku jakiś nowy uciekinier z Polski liże się z ran w szpitalu. Mógłbym się podjąć spisania rozmowy z nim. Gdyby człowieczek ten poświadczył, że naród w Kraju nie darzy sympatią panów Dutkiewiczów i Byclików, natomiast... Takie rzeczy nieraz się w propagandzie stosuje. Pan pułkownik mnie rozumie?

— Jeśli nie są szyte grubymi nićmi, to i owszem.

— A w sprawie posady?

Pułkownik wyciągnął rękę i uśmiechnął się:

— Angażuję pana! Choć jeden pożytek z tego "Cyrku Wolności"! Co z tym wiatrem, do stu diabłów?

— Podobno odwróci się lada moment!

Tuż przed miejscem, upatrzonym przez Emila na schowanie samochodu, Hlohovec dostał gorączki i zaczął fantazjować. Zapadł się w swym lichym ubraniu, jak w śpiworze. Zamkniętymi oczami widział wszystko, jak na dłoni. Mogła to być szyba samochodu. Mógł to być ekran telewizyjnego aparatu. Trzask i gwizdy uniemożliwiały dokładny odbiór całych zdań, wirujących w powietrzu, ale widok na ulice rodzinnego miasta był doskonały. Z okien domów zwisały chorągwie amerykańskie i czeskie. Złote lwy i wielkie srebrne gwiazdy.

— „Dzieci! Dzieci! — postyszał swój własny głos, jak w tubie starego gramofonu. — Oznajmiam wam, że generał Eisenhower na rozkaz Prezydenta Trumana mianował mnie prezydentem oswobodzonej Bratysławy! Zestrzelone myśliwce sowieckie proszę wręczyć mojej matce na pamiątkę!”...

— „Niech żyje mój serdeczny przyjaciel i wybawca, Emil, generał zjednoczonych wojsk europejskich!”... „Emilu, ukłoń się, biskup patrzy!” Srebrne gwiazdy wirują w powietrzu, potamane kraty Pankraca leżą na ulicy.

— „God bless America! — biją dzwony nad miastem — God bless Emil and Hlohovec!” Emil z gwiazdzistym sztandarem, z Orłem Wolności na okrągłej czapce, maszeruje przed ratuszem, a za nim — dzieci! socjaldemokraci i filateliści, wymordowani w męczarniach! — idzie zakuty w kajdany łotr w skórzanej wiatrówce... „Zbrodniarzu! — krzyczy Emil. — Biłeś mojego przyjaciela, Antona Hlohovca, naszego nieśmiałego Toniego z czwartej gimnazjalnej! Powiesimy cię za karę na wieży ratusza!” Najeżdżają nowe czołgi z Amerykanami...

„Skądżeście się wzięli, chłopcy?...” „Przyjechaliśmy z tamtej strony!...” „A co się stało z tymi z wasami?... „Zabity! Bomba go trafiła! Spalił się! Nie wytrzymał trzech tysięcy stopni Celsjusza!...”

Srebrne gwiazdy wirują nad dachami miasta, jak ptaki. „Dzieci, socjal-demokraci, Sokoli, kreglarze i filateliści, Pan Bóg, kochany, kapitalistyczny Pan Bóg zwyciężył czerwonych diabłów amerykańskimi bombami!” „Niech żyje Prezydent Bratysławy, Anton Hlohovec, któremu odbili na Pankracu nerki i jedno płuco!...” „A teraz, panie generale, wystąpi „Księżniczka Czardasza”, primadonna i primaballerina w cekinowej łusce, Marika, narzeczona mego przyjaciela, Emila, który nosił w klapie odznakę kółka bokserskiego!...”

Na srebrne miasto lecą kwiaty. Goździki, narcyze, fiołki, konwalie i róże. W drugim czołgu frunie Kranc ze zwicniętą stopą i pokazuje zepsute zęby. W trzecim czołgu płynie portier z „Palais” i gra „Ave Maria” na skrzypcach. Biskup z cierniową koroną dziękuje Emilowi za wyzwolenie. Catują się w policzki! „Odwróćcie się, chłopcy, tylko nie podglądać, jak będę umierała!” Marika rozpina bluzkę i pokazuje przeżarte gruźlicą płuco. „Uciekałam przez granicę, biegłam za „Głosem Ameryki!” — szłocha z bukietem baloników w kościstej ręce. — Wiózł mnie, panie prezydencie, nieżywy dorożkarz i zawiózł na cmentarz!...”

Amerykańskie flagi nad dachami, dym wesóło strzyka z kominów pod niebo, słońce nad Bratysławą! Autobusy, nasze magistrackie autobusy wspinają się z radości na tylne koła, jak konie w cyrku... Oficerowie w galowych mundurach. Czy słyszycie, co wołają przez megafon? „Halo, halo, gdzie jest Anton Hlohovec?” „Where is your Great National Hero, Anton Hlohovec?” — „Zabity na Pankracu! Nie chciał się przyznać!” — odpowiadają Sokoli przed „Palais de Dance...” „Syneczku mój, Toni — (czy to głos matki w czarnym szalu?) — usłyszałam twój płacz w nocy, wstałam i pobiegłam do piwnicy, aby ci przynieść kufel Piłznera i pięć koron na zapłatę nie knedli za Marikę!”

— „Hej, chłopcy! Maleczek! Emil! Kranc! Zaśpiewajmy „Na perskim rynku!...” Na czarnej poduszce świecą oczy matej Mariki. Z niebieską na powiece kreską, z małą gwiazdką po środku! Za oknem hotelu podpatrują czyjeś ślepie... To kelner, zły kelner z czerwoną gwiazdą i sierpem na czole!...” A te korale, miły Toni, są z wybitych ludzkich zębów! Podarował mi je narzeczony, pułkownik tajnej policji, Emil!...” „Gdybyś się był z mną ożenił i nie wyjeżdżał do Pragi, mieliśmyby dziecko, podobne do Maleczka! Maleczek też ze mną sypiał w Bratysławie, w hoteliku „Pod Koroną”.

— „Emilu, wytrzyj rękawiczki z nikotyny, ksiądz biskup wrócił do naszego miasta!...”

Po ekranie spływają kropelki krwawego deszczu. „A teraz,

mateczko, pomódlmy się do świętego Emila, który przywiózł nam wolność w służbowym samochodzie!..." „Święta Mariko, patronko granicy czesko-niemieckiej, módl się za nami!..."

Odpywają chorągwie, odjeżdżają czołgi, odrzuwa bukiet kwiatów, i tylko balony kapią na ratusz, jak łzy radości. „Czy pan słuchał radia czeskiego z Monachium?...” „Nie, panie pułkowniku!...” „Czy posiada pan przyjaciół w Radzie Wolnej Czechosłowacji?...” „Tak, panie sędzio!...” „Kogo?...” „Pułkownika Emila z gwiazdą na czapce!...” „Przyznaj się!...” „Rozbierzcie go do naga!...”

Hlohovec start rękawem gesty pot z czoła. Ostry ból w plecach ocucił go na nowo. Szeroko otwartymi ustami, jak ryba, chwytat powietrze.

— Emilu — jęknął — boję się...

— Jesteśmy na miejscu. Wsiadaj — pułkownik podał mu ramię.

Zapowiedź meteorologów spełniła się, jak w zegarku. Punktualnie o dziesiątej podniecony Sebastiano zawołał do telefonu:

— Mr. Olyphant! Dobra wiadomość! Wiatr się odwrócił!

Wielki wezyr zgarnął papiery ze stolika do kieszeni i wybiegł z hałasem na majdan:

— Mrs. Karpova! Horacek! Fred, łobuzie jeden! Mr. Greenford i Mr. Gutenberg! Monsieur Marron! Gaston! Herr Regierungsrat! Lady Hopper! Byclik! Dutkiewicz! Szabos! Colonel Kajman! Panowie i panie!

Biegał po majdanie, uradowany jak mały chłopczyk i wystawiał twarz na wiatr.

— Wieje! Dmucha! Szumi! Friends, za chwilę zaczynamy! Ekipa filmowa na stanowiska! Mikrofony w pogotowiu! Prasa i goście na trybunę! Dzwoncie do posterunków granicznych. Gdzie jest kongresman, który miał się zjawić o dziesiątej? Gdzie delegaci Armii Okupacyjnej? Sebastiano, małego jedna, puszczaj syrenę w ruch! Reflektory w niebo!

Syrena rozdarła powietrze. W gigantofonach rozległo się triumfalne bicie dzwonów. Z kolumny pojazdów odezwały się klaksony. Mechanicy z radości dzwonili francuskimi kluczami w butle z gazem.

— Wiatr się odwrócił! — wbiegł Borowczyk do hangaru. — Panie Barabasz, już się zaczyna! Gratuluję męskiej decyzji! Chodźmy, panowie!

Sebastiano stanął na podium i przez mikrofon wydawał ostatnie polecenia. Dziesiątki ludzi wyszły z namiotów i hangarów, z samochodów i okolicznych zabudowań. Skrzyżowane ramiona reflektorów utworzyły płonącą gwiazdę na niebie. Było jasno, jak w dzień.

— Płyty z hymnami narodowymi! — dyrygował przejęty Seb. — Czy obsługa balonowa na miejscu? Czy klaski do wypuszczania ulotek sprawdzone. Gdzie wozy dźwiękowe? Elek-

trównię bliżej! Gdzie Fred ze swoją mową? Gdzie Horacek z modlitwą? Więcej dzwonów, boys! A na dany znak — urwać, i — muzyka! Na cały gaz! Niech te diabły po tamtej stronie słyszą, co tu się dzieje! Niech ich piorun strzeli! Za mojego brata!

— Wieje, wieje na wschód! — wołali goście. Panie podnosiły szalik i apaszki do góry, aby sprawdzić kierunek wiatru.

— Wicherek, jak jasna cholera! — wołano wśród dziennikarzy. — Polecą do Pragi, do Warszawy, a może i do Rosji!

— To wzruszające — mówiła Lady Hopper. — Wśród tego uniesienia czuję się młodsza!

Delegaci władz niemieckich pod wpływem ogólnego podniecenia również rozruszali się i poczęli wołać:

— Nach Osten! Nach Osten!

Gutenberg przekrzykiwał ogólną wrzawę chrapliwym basem:

— Obawiam się komplikacji! Jeśli tamci zaczną pukać do balonów, kule będą nam świstać koło uszu. Jeśli sowieckie myśliwce zapędzą się na naszą stronę, wówczas — spójrzcie państwo! — tam, na szosę! Amerykańskie działka przeciwlotnicze zaczną pluć ogniem!

— Wzgórze zaroiło się od żołnierzy! — wołał Greenford. — Ta zabawa może nas drogo kosztować!

Mała Evelyn ukryła twarz w dłoniach i zaczęła się modlić:

— O, dobry Panie Boże, niechaj im te balony zaniosą dobrą nowinę, że już niedługo będą wolni. Niech choć jeden balon doleci do męża i do syna Agnes. I niech go zobaczą więźniowie przez zakratowane okienko. I żeby ich nikt więcej nie bił i nie głodził...

Szabos patrzył na Karpovą z podziwem. Wysoka, z podniesioną piersią, w łopocącej sukni stała na drewnianym podium, jak na postumencie. W świetle reflektorów, z rozwianym na wietrze proporcem włosów, wydawała mu się uosobieniem walki i zwycięstwa.

— Aneczka! — wykrzyknął zachwycony. — Wyglądasz, jak bogini Wolności, jak żywa Marsylianka, jak Nike z Samotraki! Jak Joanna D'Arc!...

— Czy pamiętasz o akcjach "Trading Corporation"?

— Zrobię wszystko, czego zażadasz! Pojedziemy razem na Sycylię! Powiedz, że mnie kochasz!

— Kocham tylko ciebie. Nikogo więcej!

Odurzony i szczęśliwy młodzieniec zapomniał o wszystkich postanowieniach. Podszedł do Lady Hopper i szepnął jej do ucha:

— Zachowałem się przed godziną, jak skończony głupek. Cofam wszystko, co powiedziałem. Czuję się lepiej! Jakby mnie wiatr przewiał na przestrzal!

Spód fałdów złotej skóry błysnęły oczy, pełne wdzięczności. Fioletowe wargi skrzywiły się w uśmiechu. Chwycił ją za rękę. Zgrubiła skóra na palcach, która zawsze kojarzyła mu się w pa-

mięci z dotykiem drzewnej kory, nie razila go w podnieceniu. Kuł żelazo, póki gorące. Gdy wyłożył jej sprawę odstąpienia udziałów "Trading Corporation" mężowi Karpovej, z razu dąsała się i marszczyła fałdy na czole, ale w końcu uległa. Łasił się i przymilał z wdziękiem małego syneczka tak długo, aż zgarnęła mu kędzierzawe włosy z czoła i powiedziała:

— Robię to, nieznośny bąku, tylko pod wpływem tej wspólniejszej uroczystości. Jestem wzruszona, nie potrafię myśleć o własnych interesach.

Wsparta na ramieniu Szabosa, Lady Hopper wyprostowała się i jąła recytować z młodzieńczym uniesieniem:

"I will not cease from mental fight
Nor shall the sword sleep in my hand —
Till we have built Jerusalem
In England's green and pleasant land!"...

— Mr. Olyphant! — w ostatniej chwili przybiegł zadyszany telegrafista. — Bardzo mi przykro, że w takim momencie... Może powinienem poczekać do końca uroczystości?

— Coś złego? Radiotelegram?

— Właśnie — telegrafista turlał tył głowy. — Zła wiadomość!

— Z Cannes? Przegrała singla?

— Nie. Z Cincinnati.

— Domyślam się — westchnął — Patrycji znowu gorzej...

— Umarła! — telegrafista z żalu przewrócił białkami. — Przed godziną!

— Biedna Patrycja! — Olyphant podparł się na chwilę i przymknął wypukłe powieki. Przez ułamek sekundy odczuł coś w rodzaju pretensji do żony, że uczyniła to umyślnie, przez wrodzoną sobie złośliwość, aby mu zatruć pobyt w Europie. — W takiej chwili! Ale trudno: nie możemy już przerywać uroczystości! Jak ja o tym powiem synowi? Fred kochał ją nad życie. Zawołajcie mi tu chłopca!

— Fred, bądź dzielny — ojciec położył mu rękę na ramieniu. — Wiesz, że nasza matka od dłuższego czasu była poważnie chora...

— Domyślam się — zmrużył oczy. — Chcesz mnie wysłać do domu...

— Pojedziemy razem...

— Do La Boule?

— Nie. Do Cincinnati. Przed chwilą...

— Jakto? A panna Dixon?

— Nie przerywaj. Mam ci do zakomunikowania bardzo przykłą wiadomość: Patrycja nie żyje.

Chłopiec przez jakiś czas siedział w milczeniu i patrzył na paznokcie. Nie wiedział, co na to odrzec. Wreszcie pogładził ojca po rękę i powiedział:

— Nie martw się, dad!

— Nie martw się, Fred! — Olyphant westchnął i przytulił syna do siebie.

Po odegraniu hymnów i wciągnięciu na maszt sztandarów, Olyphant powitał kongresmana — siwego pana z przedziałkiem po środku, złote okulary, doskonale skrojona marynarka — i odczytywał swoje przemówienie z kartki. Po słowach „Wierzymy, że ta chwila nadejdzie!” miał podejść do mikrofonu Horaczek i przemówić po czesku, ale — ku zdumieniu całego towarzystwa — starszy pan gdzieś się zawieruszył. Dzięki przytomności umysłu Karpovej nie doszło do dziury w programie. W ostatniej chwili podbiegła do mikrofonu i z pamięci wygłosiła zgrabną pięciominutową mowę. Jednakowoż nieobecność Horaczka zaczęła budzić powszechne zainteresowanie.

Od pięciu minut megafony wzywały Horaczka do zjawienia się w "głównej kwaterze".

— Gdzie jest ten gęślarz? — wściekał się Sebastiano. — Przecież wiedział, że miał przemawiać zaraz po Olyphancie! Psuje nam "time-table"! Stary bęwał!

— Przecież ktoś musiał go ostatni widzieć? Musiał z kimś rozmawiać? Może zabłąkał się w okolicy? Trudno w to uwierzyć, żeby go porwano!

— Nie ma go! — raportowała Karpova. — Przeszukałam wszystkie namioty. Przepadł, jak kamień w wodzie.

— Przypominam sobie, że rozmawiał ze mną na tematy polityczne — wtrącił Greenford. — A potem poszedł się przejść po polanie...

— Czytał mi list swego syna — powiedział Szabos. — Był silnie wzburzony...

— Słusznie! — wykrzyknęła jakaś pani. — Przecież mówił nam w hangarze, że zamierza rzucić się na druty graniczne! Myślałam, że to poetycka przenośnia...

— Niemożliwe! Znam Horaczka od dziecka. To ideowiec.

— Nikt nie mówi o zdradzie. Mówimy o zwykłej hysterii. Był ostatnio w kiepskiej formie. Stale plótł o śmierci.

— Musiał się o coś obrazić! — wołał młody Francuz. — Słowianie są jak dzieci. Obrażają się o byle głupstwo. Diabli z tymi poetami! Obnoszą się ze swoimi wierszami, jak kura z jajkiem, a wydaje im się, że więcej wiedzą o życiu od dentystów czy aptekarzy.

— Podobno ktoś go widział, jak maszerował piechotą do miasteczka!

— Gońcie go! — krzyknął Olyphant. — Nie mógł uść dalej, jak cztery mile! To niesłychane, żeby człowiek na takim stanowisku, członek komitetu doradczego, zachowywał się, jak małe dziecko. Proponuję przejść do puszczania balonów. Sebastiano, więcej hymnów religijnych i bicia w dzwony!

— Już ja go dogonię! — Fred wskoczył do stojącego w pobliżu jepea z lekkością akrobata. Jeszcze trzy osoby wdrapały

się na wóz. Chłopak z krzykiem indiańskiej radości dopadł kierownicy, jak rozbitek ratunkowego koła. Samochód podskoczył kilka razy na korzeniach niczym brykający żrebak. Po kilku zgrabnych wirażach przedarł się przez wawóz ciężarówek i niemal frunął nad szosą w obłoku dymu i kurzu.

— Sto mil! — krzyczał szczęśliwy chłopak. — Sto dziesięć! — Sto dwadzieścia! — Sto trzydzieści! — Sto czterdzieści!

Horaczka dogonili tuż przed miasteczkiem. Jakim cudem zdążył w ciągu tak krótkiego czasu przejechać tyle mil — było prawdziwą zagadką. Chyba biegł, a nie maszerował.

— Panie Horaczek! — zawołali mężczyźni z jeepa. — Szukamy pana wszędzie, a pan tu! Gdzie pan idzie?

Ale starszy pan nie odwrócił głowy, tylko człapał szosą dalej, z głową wlepioną w ziemię, z okularami opuszczonymi na koniec nosa.

— Prosimy do samochodu! — zawołał telegrafista. — Dyrektor Olyphant na pana czeka!

— Horaczek, co się stało? — zawołał ktoś po czesku. — Ogluchł pan?

— Wsiadaj pan! — krzyknął Fred i zahamował jeepa tuż przed maszerującym. — Ojciec pana prosi! Już się zaczęło!

Horaczek w milczeniu szedł dalej, nie zwracając najmniejszej uwagi na okrzyki. Telegrafista, zniecierpliwiony, wyskoczył z wozu i podbiegł do starego Czecha:

— Ej, panie! Co z wami? Dokąd to tak szybko?

— Miał pan przemawiać. Wszyscy czekali na pana.

— Wsiada pan czy nie? Proszę o odpowiedź. Co mamy powiedzieć panu Olyphantowi?

Telegrafista chciał go ująć pod ramię, ale Horaczek zdjął mu rękę ze siebie i maszerował bez słowa dalej.

— Nie, to nie! Przymusu nie ma! — cofnął się urażony telegrafista. — Prosi się grzecznie, i tyle. A jak się kto dziwaczy, to już jego sprawa!

— Zostawcie go w spokoju — powiedział jeden z mężczyzn, w oficerskim mundurze. — Zajrzałem mu w twarz. On już nie wróci. Znam to z czasów wojny. Ten człowiek nie jest chory ani obłąkany. On jest głęboko nieszczęśliwy.

Oparci o samochód, postali chwilę na drodze i patrzyli na oddalającą się sylwetkę przygarbionego mężczyzny.

Człotkali się przez wrzosowisko. Hlohovec czuł za sobą sapanie Emila. W oczach wirowały mu czerwone płaty, pot zalewał mu twarz. Po kilku minutach dotarli do kępki drzew. Hlohovec dla odpoczynku położył się na mchu i wcisnął rozpaloną twarz w wilgotną ziemię.

— Wstawaj — szepnął pułkownik. — To tutaj. Za chwilę się rozstajemy. Jeszcze jeden zryw i po wszystkim...

Hlohovec z wysiłkiem podniósł się na kolana i pół przytomnym wzrokiem spoglądał na Emila. Policzki miał umazane błotem.

tem. W głowie bębniła mu krew. Nie mógł chwycić oddechu.

— Już? Granica?

— Anton — pułkownik spuścił głowę i otarł pot rękawem — a teraz przeżegnaj się, i biegnij przed siebie, ile sił w nogach. Prosto na tę tunę reflektorów. Przebiegniesz trzysta metrów i będziesz bezpieczny. Do widzenia, stary! Trzymaj się!

Ale Hlohovec ogarnęło złe przeczucie. Zaparł się nogami w mech i przywarł plecami do drzewa.

— To dziwne... Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że ja wcale nie chcę uciekać. Boję się wolności. Ja... ja... Zostawcie mnie w spokoju. Pozwólcie mi wegetować w Bratysławie! Emilu, wracajmy do domu...

— Człowieku — przerwał mu pułkownik. — Zrozum, że ty MUSISZ uciekać...

Hlohovec spojrzał uważniej na przyjaciela i nagle serce zakotłowało mu w piersiach.

— Musisz! — powtórzył Emil. — Rozumiesz?

— Ja... ja... — zdjął się Hlohovec i wszystkie złe widziadła skoczyły mu do gardła. — Wy... mnie...

— Idioto! — krzyknął zniecierpliwiony Emil. — Nie trać cennego czasu!

Nagle zrozumiał wszystko. Uderzyła w niego cała prawda dwudniowego oszustwa.

— Przyjacielu — jęknął i chwycił się kurczowo drzewa. — Czy nie może być inaczej?

— Nie może być inaczej! Trudno!

— Kazali ci?

— Kazali mi! Przykro mi, że wypadło na mnie. Musieli wykrzyć, że jesteśmy przyjaciółmi. Nie mam innego wyjścia. Ty albo ja!

— Rozumiem. Chcesz mnie zastrzelić przy przekraczaniu granicy. Oszukałeś mnie. Po co ta cała komedia?

— Nie mogłem inaczej! Nie traćmy czasu!

Hlohovec rozplakał się po cichu:

— Emil, kochany... puść mnie wolno... Ulituj się... Nie zabijaj mnie!

— Nie mogę. Jestem tylko policjantem. Nade mną są inni. To taki system — bez ratunku.

— Ty tego nie zrobisz. To niemożliwe!

— Wybacz, ale to nie moja wina. Uciekaj!

Hlohovec puścił pień drzewa i zachwiał się na nogach.

— Szkoda — jęknął. — Mogłeś mnie zabić w aucie, gdy spałem...

— Uciekaj! — powtórzył zniecierpliwiony pułkownik. — Robię, co mi każą!

— Zrób to tak, aby nie trwało długo... I żeby nie bolało!

Pułkownik skinął głową. Nastąpiła krótka cisza. Na niebie krzyżowały się smugi reflektorów. W oddali, za zagajnikiem,

słychać było głuchy warkot motorów i zciszone śpiewy. Coś huczało i dzwoniło, trzaskalo jak oklaski.

— *Boję się, Emilu... Boję się śmierci i bólu!*

— *Nie bój się, stary. To sekunda!*

— *Czy już?*

— *Już!... już!*

— *Do widzenia, Emil!*

— *Do widzenia, Toni! Biegnij, kochany, przed siebie. Nie oglądaj się!*

— *Emil!... Emil!... — Hlohovec poderwał się z wysiłkiem.*

Potykał się o kępki wrzosów i biegł z płaczem przed siebie. — Przyjacielu! — wołał. — Nie w nogi!... Nie w plecy!... Przyłóż prosto do głowy!...

Na chwilę zniknął w ciemności, ale gdy ubiegł kilkadziesiąt kroków, z tamtej strony trysnął bukiet różowego światła i wskazał go skurczonego, z rękami na uszach, w kłębach oślepiających jasności.

Pułkownik wyjął rewolwer i z wolna pobiegł za uciekającym.

Tymczasem po drugiej stronie granicy część dziennikarzy w ogóle nie wyszła z namiotu na dwór, ale wśród bicia w dzwony i muzyki religijnej prowadziła dyskusję. Zdania były podzielone. Pod wpływem odświeżonego nastroju wszyscy krzyczeli naraż:

— *Hennessy! Martell! Otard!*

— *Co? Hennessy? Naród marynarzy pije rum!*

— *Gin! Zwykły gin z trzema kropelkami wermutu!*

— *Scotch! Irish Whisky! Tylko nie gin!*

— *Dajcie spokój! "Curtain Moonlight" najlepszy!*

— *Kwas siarczany! Do ust bym nie wziął!*

— *Nie ma, jak "Captain Morgan", król Jamajki!*

— *Terpentyna! Jest tylko jeden trunek: Calvados!*

— *Wannę Calvadosa oddam za pół butelczki mojego "Pale Ale"!*

— *Panowie, tylko bez przesady! Ludzie z zasadami piją zwykły spirytus! Piwo zabija intelekt i wiarę w człowieka!*

Pijany Barabasza, ku zgorszeniu rodaków, usadowił się pod stołem i kompromitował narodowe barwy obelżywym bełkotem:

— *Barabasza ukrzyżował, Kajman w d... kopany! Powieście go, drania, na balonie! Niech frunie!... Moja żona nie będzie miała zimowego palta przez tego sk... Barabasza ukrzyżował...*

Kilku Polaków rzuciło się na pijanego i zaczęli go wyciągać spod stołu. Człowieczek o zamglonym spojrzeniu rozplakał się, jak dziecko:

— *To ma być idea... żeby takie Kajmany... taką krzywdę... w takie święto...*

Uroczystość pod gołym niebem osiągnęła punkt kulminacyjny. Ciężarówki z balonami podjechały pod trybunę. Mistrz

ceremonii, Sebastiano, wyłączył mechaniczną muzykę i nastąpiła uroczysta cisza, jak w kościele. Kongresman założył ręce na brzuchu, jak do pogrzebowej mowy i pochylił się siwym przedziałkiem do przodu. Oficerowie podnieśli rękawiczki do daszków. Urzędnicy niemieccy pozdejmowali meloniki.

Wzruszony Olyphant w otoczeniu członków zarządu Towarzystwa Wolności podszedł do gigantycznej dyni z plastyku. Ujął przekładnię w ręce i szarpnął ku sobie. Czujny Sebastiano w tej samej sekundzie puścił płytę z hymnem: "Panie, któryś jest Wolnością, błogosław naszej pracy!..."

Balon puszczony przez Olyphanta wzbił się w blasku jupiterów ponad wierzchołki sosen i majestatycznie poszybował na wschód. Okrzyki i oklaski zagłuszyły grzechot aparatów filmowych. Ogarnięci zapałem goście podchodzili kolejno do trybuny, wygłaszali kilka słów do mikrofonu i wypuszczali nowe statki powietrzne w przestworza. Niebo rozjaśnione pomarańczowym i srebrnym światłem zaroilo się od balonów. Niektóre wylatywały w górę triumfalnie, jak biblijne gołębie, inne zaś pięły się ku pułapowi powoli i ociażały, jak olbrzymie pajaki.

Całe eskadry nadmuchanych ptaków przefruwały druty, zasieki i graniczne bunkry. Strumień za strumieniem, fala za falą, dziesiątkami, setkami płynęły z iluminowanej polany ciemnościom naprzeciw...

Mała Evelyn, rozdygotana z przejęcia, kurczowo ścisnęła ręce. Każdy balon odprowadzała zażawionymi oczami aż do granicy widzialności — póki się nie zrobił mały jak łań, i nie rozplynął w głębi nocy.

— *Zlituj się, Panie Boże — modliła się szeptem. — Zlituj się nad nami i nad nimi... Zlituj się — powtarzała żarliwie — zlituj się nad wszystkimi ludźmi, zlituj się i wysłuchaj modlitwy mojej...*

Sebastiano przekreślił nowy kontakt. Z reflektorów trysnęło zielone światło, a w megafonach rozległ się potężny Psalm Nadei.

Tadeusz NOWAKOWSKI.

POLSKIE KSIĄŻKI I PISMA Z EUROPY
WSZYSTKIE WYDAWNICTWA INSTYTUTU
LITERACKIEGO W PARYŻU

posiada na składzie

JÓZEF F. BIAŁASIEWICZ

Przedstawicielstwa "Kultury", "Orla Białego",
"Wiadomości".

1165 Milwaukee Ave. Chicago 22, Ill. U.S.A.

Rozmowa nocna

Pierwsza gwiazda jak złoty klucz,
którym się wieczność otwiera,
i ciemnym oddechem nocy unoszą się bory.
Ku wodopojom zstępują gwiazdozbiory
i w trwodze późny wędrowiec zamiera,
groźne czując spojrzenie, jakby nastawał kres,
dotyka ust tajemnicy, a nie wie —
i oczy dłońmi zastania
i nocy sens
w mrocznym odgadnąć chce śpiewie.

Toczą się srebrne okruciny
jak łyżki spod przymkniętych rzęs
i Adam zstępuje ku Ewie.

A D A M

Za ścianą naszego szałasów puszcza szumi jak potop,
dzikie zwierzęta krążą i ryczą,
ale ja się nie lękam.
Drobne twoje ciało zakwita w moich rękach,
piersi twoje jak owoc wezbranym sokiem broczą.
Błogosławionaś,
która się oddajesz ustom i oczom!
Która jesteś bardziej nad sen i walkę potrzebna.
Tyś jest strumieniem rozkoszy w nocy,
rozlewem spokoju we dnie;
pozdrowione twoje biodra, brzuch i kolana,
jako chleb nasz
jako chleb nasz powszednie!

E W A

Przy dymnym ognisku włosy me czeszę,
grzebię mam z kości zwierzęcia, któreś upolował;
pewnieś dzień cały ugór orał lemieszem,
albo rozmytą groblę stawiał od nowa.
Chodziłam długo, jagód szukałam po haszczach,

teraz me piersi oliwą namaszczałam,
stucham szmerów, błędzących lasem:
czyjeś kroki ostrożne przed samym szałasem,
jeszcze nie widzę,
a już poznaję — to ty! —

a gdy się schylisz i ciepłym ramieniem przygarniesz,
serce mi drży,
jak w gęstwinie osaczonej sarnie.

A D A M

Echo twych słów miodem wypełnia płuca,
a w niebie jako w twych oczach siwo i modro.
Jako rzeka, gdy nurt swój rozdwa, tak się w miłości rozrucasz,
jako rzeka podpływasz ku moim lędzwiom i biodrom.
Zrastas się ze mną co noc
w jedność i całość,
nie ma ni świata ni nas, jest tylko ciało,
jest ciało odpływające ku srebrnym porankom,
ku drzewom, ptakom,
jak najrzewniejszym fletom...

Któraś jest nieśmiertelna,
niezmienna jak zakon,
żono,
kochanko,
kobietko!

E W A

Najpierw jest wielka słodycz i czuły zachwyt,
potem rozdziera me ciało krzyku prujący oścień.
Ach, nocne tajemnice męką wezbranych pachwin,
ach, nigdy niewystawione,
tylko szeptem spowiadane miłości!
Lecz nim się noc rozewrze, kwitnącej podobna morwie,
i wszędzie nade mną jak gwiazdy
oczy i usta twoje,
zanim się zjawisz i w rozkosz mnie porwiesz,
jakże się boję!

A D A M

Mocniej rękami mnie zwiąż, szczelniej nogami skrepuj,
abym się w tobie utopił, zatracił jak na dnie,
bo za ścianami chodzi szumiący żywioł ostępu,
cóż pocznę,
jeśli tu wtargnie i groźnym mrokiem opadnie?

Tygrysowi silnemu grot mój dzisiaj czaszkę rozłupał,
zziajany, mokry od potu, zdeptałem trupa
i w niebo rzuciłem krzyk,
od którego łwie serca truchleją.

Zbliżał się siny zmierzch, szepty chodziły knieją,
nadciągaly cienie rozżarte ze wszystkich stron.
I z szumiącego krzaka do mnie zagadał —
przeraziłem się:
nawiedzonemu, pełnemu lęku
biada mi, biada,
Jeśli to On.

Nieznany wypełnia mroczne gęstwiny drzew,
a w nocy czuję za sobą odgłosy czyichś kroków.
Wczoraj słyszałaś z szalasu mój śpiew,
myślałaś długo —
— dlaczego w śpiewie niepokój? —
Ach, bo się niebo co dzień inaczej mroczy,
znojne oddechy odzywają się z uroczysk
i księżyc — ogromny, czerwony — patrz! —
zstępuje wolno ku mglistym zalewom,
a ja nie rozumiem,
nie wiem — kto zacz?! —
dlatego tęsknię i śpiewam.

E W A

Wstałaś o świcie, napracowałaś się dosyć,
całe ramiona masz w sińcach i krwawych zaciekach,
na jeżynach i tarniach stargałaś włosy,
stopy pobiteś na głazach,
jak na krzemiennych ćwiekach;
ledwie przestała nas smagać śnieżna i mroźna północ,
przyszły powódzie, porwały jedyne czótno,
a jeszcze przedtem jęczmienie wysieł nam grad,
a jeszcze przedtem — pamiętasz, pamiętasz? —
dzieciatko nasze najpierwsze,
nim doszło męskich lat,
placząc, zaniostałaś na cmentarz.

Więc czemuż, skoro klęsk i rozpacz od dawna nie brak
i śmierć codziennie czyha w zwierzęcych paszczach,
jeszcze ci serce smutkiem wypełnia żebra
i krtań gorzkim śpiewem namaszcza?
Czemuż po trudu znojnego dniach,
gdy pot zalewa oczy i spływa po twarzach,
jeszcze i w nocy
ciemny, niezrozumiały strach
wyrwanych ze snu przeraża?

A D A M

Próbowałem uciec, zaszywałem się w puszcze najdziksze,
chodziłem z oczami wbitymi w ziemię,
aby nie widzieć gwiazd,
a On mnie chwycił, krzyżował na wicherze,
okrężał nurtem po pas,
tęczę wykwitał na niebie,
szedł rozszumiały, skrzydlaty, jak las,
przyzywał nocnym klangorem żorawi —
i wiem:
ni mnie ni ciebie
nikt dwojga nas
od Jego głosu nie zbawi.

Zarzuć mi dłonie na szyję, ku piersiom przytul,
białym ramieniem odsuń
za ścianami huczące knieje,
w miłości i rozkoszy łatwiej dotrwamy świtu,
wtedy i On łagodnieje.

E W A

Miałam dziś sen, gdym spoczęła na twoim ramieniu,
a tyś był także w śnie, znużony i spokojny.
Wicher mnie porwał ognisty i przeniósł
w nocne błyskanie, w huczący żywioł wojny;
ujrzałam zwłoki młodzieńca z włosami w piachu,
silne piersi miał całe zbroczone,
poznałam krew po zapachu;
nad nim stał inny, unosił głowę zwycięską,
okrężały go czarnym płactwem burzy powiewy,
i był głos:
— Otoście śmierci oddani,
bratobójczym walkom i klęskom,
nędzni synowie Ewy!

Obudziłam się, przerażona, nasłuchująca,
i nagle poczułam,
jak się ostro poruszył pod sercem
jeszcze nienarodzony, bez żadnych przeczuć i win.
Powiedz:
czy to być może,
żeby bezwładny, zwalony przez mordercę,
i tamten czarny
byli naszymi dziećmi,
jeden i drugi syn?!

A D A M

Nie myślmy teraz o snach, nie patrzmy w przyszłość,
niech nas nie lęka nocy drapieżne zwierzę.
O świecie czas mi wyjść i nad wezbraną Wisłą
stanąć z rybackim wędzierzem,
o świecie zacząć się znowu przebijać przez trudny los.

O, miła, potrzebny mi będzie twój śpiewny głos
i widok pogodnej twarzy,
abyśmy doszli gdzie cel nasz,
gdzie nasza zguba i życie naszych dzieci,
abyśmy razem, żono śmiertelna,
wyszli tym losom naprzeciw.

E W A

Mówisz i słów twoich rytm
zapada w serce znużone mocniej i głębiej.
Uspakajam się, cichnę, jakby już świt
siwym nadleciał gotębiem.
Ach, dobrze wiem:
nikt nas od męki i trudów nie odgrodzi,
nikt nam, ni naszym dzieciom tatwego losu nie przyzna,
poszukiwaniem, tęsknotą, walką ze złem
w człowieczym rodzie
stanie się nasza spuścizna.
Lecz wiem i to,
że o trud ten, którym stopy krwawią,
On, Wszechpotężny, skrzydła swoje otarł,
więc pochwalone niech będzie nasze szczęście i zło
i błogostawion
owoc mojego żywota.

Człowieku, któryś powstał z martwego prochu,
któryś mnie, śmiertelniczkę, pojął
i ku cichemu uniósł domostwu,
mów jeszcze,
otom jest twoją,
niech mnie prowadzi głos twój.

C H Ó R Ś P I E W A

Gasną świeczniki wzniesionych w niebo gwiazd,
Czarny Zwierz cofnął się w głąb, w puszczy zaczął;
od życia nazbyt tatwego zbawić chce nas,
o, Adonai!
Od wiecznej rajskiej pogody uchroni nas,
ku walce i twardym zwycięstwom podaj nas,
serce zahartuj w udręce, by nie ostatek,

kiedy wybije godzina bitewnych z Tobą godów,
rozpleń zastugę i grzech
jako odwieczną Jabłoń
na grzędach Twojego Ogrodu.

Synowie Człowieczy idą ku zawstydzonym Córkom,
a każda jest, jak w pustyni wezbrana studnia,
łączą się młode usta
i mroczne ciała podwórko
Bóstwo miłości zaludnia.

Żądzą objawia się żywioł w dżdżach i piorunach,
świat opasało tęczą Stwórcy miłosne ramię.
Wyjdźcie z łóżnicy szczęśliwi,
zstępujcie ku nam,
matko Ewo, ojcze Adamie!

Józef ŁOBODOWSKI

Modlitwa

Boże, prosimy Cię o dar niepamiętania.
By przepłynęły przez nas nasze codzienne smutki.
By nie wracały w snach.
By umęczona myśl nie czepiała się wciąż tych samych
szerych spraw.

Byśmy ożyli.

Bo zbyt ciężko jest żyć i pamiętać.
Gdy ból z bólem się splata i ból bólem się wzmacnia.
Od męki pamiętania — przeżywania raz jeszcze
od początku, na nowo, tego, co się przeżyło,
Panie, uwolnij nas.

Pozwól nam podnieść oczy i wyprostować serca.
Bośmy prawie oślepli od patrzenia w swą duszę.
I jesteśmy jak ludzie, co uporczywie krążą w orbicie swych
bólczek.

A im dłużej tak krążą, tym bardziej się gmatwają
i tym trudniej im znaleźć prawdziwą drogę wyjścia.
Boże, pozwól nam przejrzeć.

Życie nas nie pieściło. Nie było dla nas dobre.
Uwierzyliśmy złudom i złudy nas zwiodły.
Były noce i dnie, gdyśmy się buntowali,
nie chcąc się za nic zgodzić, z bezmyślnym
okrucieństwem, z bezpłodnym smutkiem życia.
I wołaliśmy w przestrzeń «Nie chcę, nie chcę i nie chcę».

Gdzieś wtedy Boże był?
 Czyś nas słuchał z uśmiechem, jak rozgniewane
 dzieci, co się wnet zmęczą płaczem i usną w łzach?
 Czyś nas Boże żałował?
 Ty byłeś gdzieś, daleko, w gwiaździstym swoim niebie
 lub wcale Cię nie było.
 A czemuśmy my byli?

Szukaliśmy ratunku u siebie i u innych,
 Z sobą nam było źle, z innymi — jeszcze gorzej.
 Ty jesteś już ostatnim do kogo się zwracamy.
 Boże, dopomóż nam.

Do Ciebie się modlimy, chociażby prawdą było,
 że jesteś, Boże, tylko wytworem naszych myśli.
 Pytamy Cię raz po raz: «Panie, czy jesteś, słyszysz?»
 chociaż każdy z nas wie, że odpowie nam cisza.

A przecież mimo to modlimy się do Ciebie,
 Ty, który jesteś, czy Ty, którego nie ma,
 bo trzeba nam się modlić, abyśmy mogli żyć.
 Daj nam, Boże, zapomnieć.

I spraw, ażeby życie wypełniło się sensem.
 By ożyły kolory, powróciły zapachy.
 By zeschłe liście spadły.
 Byśmy ożyli.

Danuta BIEŃKOWSKA

PREUVES

Cahiers Mensuels du Congrès
 pour la Liberté de la Culture

défend l'indépendance spirituelle de l'homme
 partout où elle est menacée.

Le numéro de 32 pages, illustré 30 fr.
 Abonnement annuel : France 300 fr.
 Etranger 450 fr.

PREUVES : 41, avenue Montaigne — PARIS (8^e)

Téléphone : ELY 56-61 et 63 — C.C.P. : 17.800 Paris.

NUMÉRO SPÉCIMEN SUR DEMANDE.

Archiwum polityczne

O międzynarodową brygadę europejską

Używamy stale terminu "niepodległość". Mówimy i piszemy, że celem naszym jest przywrócenie Polsce niepodległości. Mówimy o niepodległościowych stronnictwach politycznych, zbieramy fundusze na akcję niepodległościową — czytamy i popieramy polską prasę niepodległościową.

Wydaje mi się jednak, że nie wszyscy zdajemy sobie jasno sprawę, że polityczna treść słowa "niepodległość" uległa w ostatnim dziesięcioleciu wielkim przeobrażeniom.

Pod koniec pierwszej wojny światowej Niemcy były pobite a Rosja objęta przewrotem. Mieliśmy więc idealną historyczną koniunkturę, którą wykorzystaliśmy w pełni organizując państwo niepodległe. Ta koniunktura historyczna trwała jednak bardzo krótko. Można przyjąć, że skończyła się około roku 1933.

W latach trzydziestych, przed-hitlerowskich, gdy Niemcy były nieuzbrojone a Rosja jeszcze nie dozbrojona — Polska była, w pełnym tego słowa znaczeniu, poważną siłą w Europie środkowo-wschodniej.

Po roku 1933 pozycja nasza zaczęła gwałtownie się pogarszać. W roku 1939 byliśmy niepomniernie słabszym państwem niż w roku 1930. Albowiem pozycję danego państwa musi się oceniać w ramach aktualnej równowagi sił. W r. 1939 Niemcy były pierwszą militarną potęgą świata a Rosja już wydatnie dozbrojona. I tak, mimo naszych wysiłków, spadliśmy gwałtownie w tabeli a nasz potencjał mierzony potęgą Niemiec z 1939 r. był proporcjonalnie wielokrotnie słabszy od potencjału Polski w latach trzydziestych. We wrześniu 1939 r. dostaliśmy się pomiędzy dwa młyńskie kamienie Niemiec i Sowietów i utraciliśmy niepodległość.

Wniosek stąd prosty, że potężne, uzbrojone Niemcy i potężna Rosja stanowią dla nas śmiertelne niebezpieczeństwo, któ-

remu nie jesteśmy w stanie przeciwstawić się własnymi siłami.

Ani my, ani Czechosłowacy, Ukraińcy, Rumuni czy Węgrzy nie mamy żadnych możliwości wywalczyć własnymi, indywidualnymi siłami niepodległego bytu dla naszych państw. Co więcej, historia naszego 20-lecia uczy nas, że przy dzisiejszym rozwoju techniki i przemysłów, państwo takie jak Polska z 1939 r. — choćby wydawało połowę swego dochodu narodowego na zbrojenia, nie jest w możliwości obronić swej niepodległości. Wniosek stąd prosty, że termin "niepodległość" wiązał się z inną polityczną treścią w latach 1914/18, a co innego oznacza dziś, w okresie 1939/51. W r. 1920/21 mogliśmy obronić naszą niepodległość siłami niepomrotnie mniejszymi niż te, które okazały się niewystarczające do obrony niepodległości we wrześniu 1939 r.

Jeżeli przez niepodległość rozumieć zdolność zorganizowania własnymi siłami niezależnego państwa, którego gwarantem bezpieczeństwa jest jego własna potęga militarna i przemysłowa — to stwierdzić musimy, że dla nas, jak i dla większości narodów europejskich, niepodległość tego typu jest całkowicie nieosiągalna. O takiej — w przybliżeniu, niepodległości mógł myśleć z całym realizmem Józef Piłsudski, lecz już nie nasze pokolenie. O takiej niezawisłości mógł myśleć realnie 20-letni Winston Churchill w roku diamentowego jubileuszu królowej Wiktorii — lecz nie 77-letni Winston Churchill w r. 1951.

Polityczna treść słowa "niepodległość" uległa wielkim przemianom i używając tego terminu trzeba o tym pamiętać. Kraje tego typu co Polska, Czechosłowacja czy Rumunia, mogą odzyskać i utrzymać byt niepodległy tylko w ramach innego systemu politycznego niż ten, który obowiązywał w Europie do września 1939 r. Jest oczywiste, że ponieważ żadne z małych i średnich państw nie ma dość sił, by bronić skutecznie swej niepodległości — kraje te muszą związać się ze sobą i stworzyć potężną organizację zdolną do życia w nowych warunkach.

Wydawałoby się, że to są truizmy, których nie ma potrzeby powtarzać. Niestety, tak nie jest. Tylko w teorii wszyscy zgadzają się, że system federacyjny jest koniecznością. W praktyce natomiast prawie każdy Polak mówiąc, czy pisząc o Polsce "wolnej, całej i niepodległej" nigdy nie myśli o żadnej federacji, przeciwnie — myśli o wskrzeszonym, w pełni suwerennym państwie w granicach z 1939 r. plus ziemie odzyskane na zachodzie.

Patriotyzm jest uczuciem związanym z tradycją. Termin "federacja" podobnie jak termin "Europa" nie budzi żadnego oddźwięku uczuciowego i nie przemawia do wyobraźni. Federalistami jesteśmy tylko na papierze, w praktyce zaś, jesteśmy w przytłaczającym procencie separatystami pogrążonymi w marzeniach o mocarstwowym państwie i przy każdej okazji manifestujemy naszą niechęć, a nawet wrogość wobec Czechosłowaków, Ukraińców, Białorusinów i wszystkich innych bliższych i dalszych sąsiadów.

Nie zdajemy sobie z tego sprawy, że znaleźliśmy się w paradoksalnej sytuacji, albowiem tradycyjny nacjonalizm jest dziś przeszkodą a nie pomocą w akcji zmierzającej do odzyskania niepodległości.

W Anglii czy we Francji, idea federacji europejskiej ma wielu zdecydowanych przeciwników. I w tych krajach tradycyjny nacjonalizm jest główną przeszkodą hamującą postępy ruchu federacyjnego. Ale sytuacji Anglii czy Francji nie można porównywać z naszą. Zarówno Anglia jak i Francja są krajami niepodległymi i dla nich federalizm oznacza utratę częściową suwerenności dla przyszłych korzyści gospodarczych i większego bezpieczeństwa.

Natomiast dla nas — jak i dla wszystkich innych narodów, które utraciły niepodległość na skutek sowieckiego zaboru — federalizm jest podstawowym "A" wszelkiej akcji niepodległościowej. Możemy bowiem odzyskać i utrzymać niepodległość, jedynie w ramach europejskiego systemu federalnego. W każdym innym systemie — choćbyśmy nawet czasowo niepodległość zdobyli — w chwili kryzysu nie zdołamy jej obronić. Całkowicie zawiodły wszystkie pół-środki jak sojusze, gwarancje, paktety nie-agresji itp., które nie dały nam nic, prócz zawiedzionych nadziei i klęski wrześniowej.

Termin "niepodległość" w sensie polityki polskiej, jeżeli nie ma być "rocznicowym" pustym frazesem — treściowo zawierać dziś w sobie musi ideę federacyjną. Nie istnieje dziś bowiem realna polska akcja niepodległościowa w oderwaniu od akcji federacyjnej. Te "niezależne" akcje, które wyczerpują się w mocarstwowej frazeologii i patriotycznym tromtadactwie — z realną akcją niepodległościową nie mają nic wspólnego.

Wydawało by się, że narody, które na skutek wad dawnego systemu europejskiego utraciły swą niepodległość, poniosły olbrzymie straty by pod koniec wojny stać się ofiarami przetargów wielkich trójek, czy wielkich czwórek — będą wszelkimi siłami parły do przebudowy systemu politycznego Europy. Tymczasem jest wręcz odwrotnie. Przebudowę systemu europejskiego propagują Amerykanie, natomiast my, w przeważającym procencie jesteśmy obrońcami europejskiego "ancien régime". W grucie rzeczy marzymy o tym, by wszystko znów było jak przed 1939 r. Węgrzy, Czechosłowacy czy Ukraińcy nie są od nas pod tym względem mądrzejsi.

Czym należy tłumaczyć fakt, że jak ómy do świecy pragniemy powrotu w ramy układu politycznego, który wcześniej czy później zgotowałby nam nowy wrzesień, nowy 1939 r.

Józef Czapski w swym przemówieniu wygłoszonym w Titania Palace w Berlinie — wspominał, że w tej chwili istnieje poza "żelazną kurtyną" 38 zatargów granicznych. Nie ulega wątpliwości, że dziś czy jutro miliony Polaków, Litwinów, Węgrów, Czechosłowaków czy Ukraińców byłoby gotowych walczyć jedni przeciw drugim — każdy w imię całości i suwerenności swego terytorium państwowego. A iluż Polaków, Ukraińców, Węgrów,

Rumunów czy Czechosłowaków byłoby gotowych wstąpić do armii wschodnio-europejskiej, której zadaniem byłaby ochrona i bezpieczeństwo wschodnio-środkowej europejskiej federacji?

Większość naszych polityków i publicystów jest skrajnie niekonsekwentna. Z jednej strony potępiają Jajtę i dyktaty wielkich mocarstw — z drugiej zaś strony, są zażartymi zwolennikami systemu politycznego, który nieuchronnie prowadzić musi do zaborów i Jajt wszelkiego rodzaju. Kto jest bowiem zwolennikiem odbudowy szachownicy suwerennych państw i państewek, które powstały po r. 1918 — pracuje dla przyszłych wrześniei i Jajt.

Nie na darmo Rosja Sow. popiera wszystkie separatystyczne ruchy narodowe (poza granicami swego imperium) i żarliwie tłumaczy ludom kolonialnym, że mają prawo do niezawisłej suwerennej samodzielności w całkowitym oderwaniu od brytyjskiej wspólnoty narodów. Żaden ruch federacyjny nie leży w interesie Sowietów. Celom sowieckim znacznie bardziej odpowiada mozaika małych i średnich niezależnych państw, które łatwo opanować od zewnątrz lub od wewnątrz — względnie uczynić przedmiotem jałtańskich targów.

Ci, którzy myślą o Polsce niepodległej i suwerennej, w przedwojennym tych słów znaczeniu, niech sobie uznysłowią, że mieliśmy już taką Polskę — wywalczoną i okupioną olbrzymimi ofiarami, lecz w europejskim systemie "ancien régime" dla tej Polski było miejsce tylko przez lat 20. I najwyższy wysiłek i hekatombi ofiar nie zdołały nas uratować. Warszawa sama — straciła w zabitych i pomordowanych więcej ludzi niż cała armia St. Zjednoczonych na wszystkich frontach drugiej wojny światowej.

Trzeba być głuchym i ślepym, żeby dążyć do odbudowy tego samego systemu małych i średnich pseudo-mocarstw, które w epoce atomowej byłyby całkowicie bezbronne a ich suwerenność czysto iluzoryczna. Trzeba być głuchym i ślepym, żeby być gotowym do walki o jeden z 38 zatargów granicznych, które mobilizują siły i energię potrzebną do budowy bezpieczeństwa dla nas wszystkich z środkowo-wschodniej Europy — gnębionych, poniewieranych, sprzedawanych przez tych, którzy korzystają z naszej politycznej głupoty, króliczego nacjonalizmu i zamiłowań do operetkowej mocarstwowości.

Kto się interesuje tymi zagadnieniami? Polscy politycy, którzy reprezentują największy naród europejski ujarzmiony przez Sowiety x-ty miesiąc konferują nad warunkami "Jedności" natomiast Amerykanie budują łańcuch stacji radiowych. Istnieją już stacje czeska i węgierska — niebawem zaczną działać stacje polska, bułgarska, rumuńska, bałtycka. Wpływ na formowanie nowych poglądów politycznych w krajach za "żelazną kurtyną" będzie w rękach tych ludzi, którzy mówić będą przez mikrofony radiostacji "Wolnej Europy". Gdybyśmy mieli reprezentację polityczną odzwierciadlającą prawdziwą jedność naro-

dową, gdyby ta reprezentacja współpracowała z Amerykanami — otwierałyby się przed nami wielkie możliwości działania politycznego. Ale my wolimy "niezależną politykę" na "polskim Earls Court'cie", niż zgodę z Polakami i współpracę ze sprzymierzeńcami.



Zsumujmy nasze rozważania:

1. Polskiej akcji niepodległościowej nie należy wiązać z dążeniem do odbudowy zbankrutowanego systemu politycznego przedwojennej Europy. Polska może zapewnić sobie niepodległość i bezpieczeństwo tylko w układzie federacyjnym.

2. Każda federacja jest zawsze sumą kompromisów. Minęły czasy, kiedy to my federalizowaliśmy innych. Dziś możliwa jest federacja tylko na zasadzie całkowitej równości. Może się zdarzyć, że realizacja programu federacyjnego pociągnie za sobą konieczność poniesienia ofiar. Tym, którzy nawoływali i nadal nawołują, że "nie oddamy ani guzika" — należy przypomnieć, że korzystniej jest ponieść pewne ofiary w celu zrealizowania systemu politycznego w Europie, który zapewnić może Polsce bezpieczny rozwój przez setki lat — niż wykrzykiwać, że się nie odda ani guzika, a w razie katastrofy osiemnastego dnia wojny opuścić Kraj.

3. Dziś nie jesteśmy w możności realizować federacji narodów środkowo-wschodniej Europy, ale już dziś winniśmy zagadnienie uwolnienia tych krajów rozpatrywać jak nasz wspólny problem. Co stoi na przeszkodzie temu, by przebywający na wolności reprezentanci narodów Europy środk.-wschodniej zespolili swe wysiłki w celu odzyskania wolności dla swych krajów? Wydawałoby się przecież, że zwykły chiopski rozum winien nam dyktować takie porozumienie.

Wzajemna podejrzliwość i nieufność wywodzą się przede wszystkim z owych 38 zatargów granicznych. I tu, na emigracji, pooddzielani jesteśmy od siebie "żelaznymi kurtynami". Federacja nie dojdzie nigdy do skutku jeżeli nie przełamiemy tych wiekowych uprzedzeń i przeszkód.

Zespół "Kultury" widzi następujące akcje, które by zmierzały do tego celu:

a) Reprezentacje polityczne narodów Europy środk.-wschodniej winny podpisać wspólne zobowiązanie w którym by oświadczono, że terytorialne sprawy sporne rozwiązywane będą dopiero po utworzeniu federacji europejskiej i nie na podstawie ambicji historycznych poszczególnych narodów ale według zasad sprawiedliwości i dobra całości europejskiej oraz gospodarczej równowagi między poszczególnymi członkami tej federacji.

b) Należy rozbudować na Zachodzie wielkie centrum kształ-

cenia młodzieży pochodzącej z krajów zza "żelaznej kurtyny", wychowywać tę młodzież w duchu federacyjnym i przygotowywać do przyszłej kardynalnej roli jaka przypadnie młodym w organizowaniu nowego porządku europejskiego. Idea federacyjna potrzebuje nowego pokolenia, inaczej wychowanego, wolnego od przesądów i uprzedzeń, uformowanego w atmosferze międzynarodowej europejskiej współpracy praktykowanej na co dzień, a nie tylko głoszonej od święta w manifestach i przemówieniach.

Przed dwoma laty "Kultura" wystąpiła z projektem utworzenia uniwersytetu dla młodzieży z Europy za "żelazną kurtyną". Projekt "Kultury" został poparty i zaadoptowany przez "Kongres Wolności Kultury", a obecnie realizuje go "Free Europe" — jako "College de l'Europe Libre" w Strasburgu.

Międzynarodowy uniwersytet w Strasburgu daleki jest od ideału i w wielu istotnych punktach odbiega od oryginalnego projektu "Kultury". Przede wszystkim nie zrobiono do tej pory nic, by w pierwszym rzędzie ułatwić studia tym młodym, którzy świeżo lub w ostatnim okresie przedostali się na Zachód zza "żelaznej kurtyny". Nie dopuszczono również na uniwersytet młodzieży ukraińskiej. Cała akcja robiona jest połowicznie, "wstydliwie", bez informowania opinii światowej "w obawie przed atakami "neutralistów" francuskich i innych.

Niewątpliwie jednak początek jest zrobiony. Obecnie należy dolożyć wszelkich starań, aby instytucję tę rozbudować w wielkie centrum kształcenia przyszłej federacyjnej inteligencji Europy środkowo-wschodniej.

c) Powinniśmy wspólnie powołać i zorganizować międzynarodową brygadę środkowo-wschodnio europejską, która w ramach armii europejskiej reprezentowałaby kraje za "żelazną kurtyną".

W dzisiejszej sytuacji politycznej byłoby rzeczą niemożliwą myśleć o odbudowie armii narodowych krajów zza "żelaznej kurtyny" w ramach armii europejskiej. Projekty tego rodzaju nie miałyby w tej fazie konfliktu żadnych szans realizacji. Pomysły legii cudzoziemskiej — które od czasu do czasu pojawiają się w prasie francuskiej i amerykańskiej — są nie do przyjęcia i z całą pewnością potępione byłyby solidarnie przez wszystkie emigracje.

Międzynarodowa brygada wschodnio-europejska wydaje się rozwiązaniem, które byłoby do przyjęcia zarówno dla emigracji politycznych wschodnio-europejskich jak i dla Anglosasów.

Wydaje się również że obecnie byłby odpowiedni moment do wystąpienia pod adresem Amerykanów z taką inicjatywą. Waszyngton musi zdawać sobie sprawę, że uzbrojenie Niemców — bez względu na organizacyjną formę tej operacji — wywrze olbrzymi wpływ na pion polityczny narodów za "żelazną kurtyną". Odbudowa armii niemieckiej i potencjalna możliwość użycia jej na wschodzie Europy może skupić wokół Stalina nie tylko na-

ród rosyjski, ale i te narody, które tak niedawno poniosły straszliwe ofiary z rąk hitlerowskich najeźdźców.

Systematyczne wyblębianie Niemców, brak jakiejkolwiek reakcji na ich odradzający się rewizjonizm — w żadnym wypadku nie są polityką która by działała uspokajająco na nastroje panujące za "żelazną kurtyną".

Zorganizowanie brygady środkowo-wschodnio europejskiej byłoby dowodem, że jednym z celów polityki Zachodu jest wyzwolenie Europy środkowo-wschodniej i że przez federację europejską rozumie się na Zachodzie federację całej Europy — również i tej, którą wprawdzie trzeba wyzwolić. Istnienie brygady byłoby również ostrzeżeniem dla Niemców. Politycy niemieccy musieliby się z tym liczyć, że w momencie wyzwolenia Niemcy nie znajdą na wschodzie zniszczonego "no-man's-land'u" lecz sfederalizowany blok narodów środkowo-wschodniej Europy dysponujący swą armią.

Rzeczą pierwszorzędnego znaczenia byłby fakt, że brygadę międzynarodową można by zorganizować już dziś, a nie dopiero w chwili wybuchu wojny. Stworzyłoby to możliwość solidnego szkolenia kadr przyszłej armii federacyjnej. Istnienie brygady pozwoliłoby skupić w jej szeregach element najbardziej dynamiczny, który stale przecieka na Zachód z krajów okupowanych przez Sowietów. Ten właśnie element, który jakże często marnuje się po różnych obozach w Niemczech — stanowić powinien trzon brygady. Jednostka taka przyczyniłaby się również do rozładowania potencjalnego "podziemia" w krajach za "kurtyną" stanowiłaby bowiem punkt docelowy dla tych, którzy kierowani rozpaczą (lub podszeptem takiego, czy innego wywiadu) mogą chwycić za broń i pójść w las lub angażować się w "siatkę" zbrodnictwo-głupich wywiadów, gdzie czasami nie można rozróżnić, gdzie się kończy naiwność a zaczyna prowokacja.

Jedno jest pewne — plan i program zjednoczenia Europy środkowo-wschodniej powinny wyjść od zainteresowanych, po winny wyjść od nas.

Dziś odbywa się to w ten sposób, że Waszyngton improwizuje a instytucje amerykańskie dobierają sobie ludzi na własną rękę spośród emigrantów. Robią to przeważnie źle. Amerykanie nie znają dokładnie skomplikowanych spraw środkowo-wschodnio europejskich, są zrażeni chronicznymi "rozłamami" emigracyjnymi — dobierają więc sobie często, albo oportunistów albo "yes-men'ów", których nie stać ani na krytykę, ani na inicjatywę.

Nie ma ośrodka, który by nas, środkowo-wschodnich europejczyków, reprezentował na zewnątrz i jednoczył na wewnątrz. Jednoczył i równocześnie rozgraniczał na tych — którzy są za nowym porządkiem w Europie i na tych, co zdecydowani są trwać przy "ancien régime". Brygada międzynarodowa spełniałaby tę właśnie rolę. Wokół niej skupiłby się

ci, którzy przyszłość swych krajów widzą w ramach federacji i już dziś gotowi są w tym kierunku działać. Brygada byłaby nie tylko widomym znakiem zjednoczenia, ale z całą pewnością stałaby się kuźnią wspólnego programu federacyjnego. Albowiem brygada byłaby już realizacją idei federacyjnej w wymiarach nam dostępnych.

Zdajemy sobie w pełni sprawę z trudności realizacji tego pomysłu. Niestety, nie ma przed nami łatwych rozwiązań.

Jakże stosunkowo niedawno jechali do Hiszpanii i wstępowali do brygad międzynarodowych ludzie wybitni i szlachetni jak Koestler czy nieodżałowany Orwell — by walczyć o wolność i demokrację dla jednego narodu. Ich gestu i ofiary nie pomniejsza fakt, że w Hiszpanii żadna ze stron walczących nie walczyła, ani o wolność, ani o demokrację. Intencje ludzi typu Orwella były czyste i piękne. Jak wielu bezinteresownych i szlachetnych, padli oni ofiarą oszustwa.

O ileż potężniejszym i czystszy płomieniem ideowym świeciłaby brygada międzynarodowa, której celem byłoby przywrócenie wolności nie jednemu krajowi, ale połowie Europy!

Nacjonalizmy i aspiracje narodowe choćby najślusniejsze — nie mają w sobie tego idealizmu wyższego rzędu, który cechuje wielkie ruchy międzynarodowe, międzyludzkie. Dlatego sądzić wolno, że brygada międzynarodowa — skuteczniej niż jakakolwiek narodowa inicjatywa — apelowałaby do sumienia wolnych narodów w imieniu tych milionów Europejczyków za którymi zatrzaśnięto "żelazną kurtynę".

Juliusz MIEROSZEWSKI.

Rewolucja przemysłowa w Europie Środkowo-Wschodniej

Pragniemy zwrócić uwagę naszych Czytelników na amerykański kwartalnik pn.: "Foreign Affairs". Periodyk ten, redagowany przez Hamilton Fish Armstronga — przynosi coraz więcej artykułów poświęconych zagadnieniom europejskim i doskonałe przeglądy światowej polityki amerykańskiej. Na szczególną uwagę zasługują również działy: bibliografii oraz "źródła i dokumentów".

W n-rze październikowym "Foreign Affairs" ukazał się bardzo interesujący artykuł Jana Wszelakiego pt. "The Rise of Industrial Middle Europe". Tezy tej pracy — opartej o bogaty materiał informacyjny i statystyczny — można by streścić następująco:

Europa za "żelazną kurtyną" przeżywa wielką rewolucję przemysłową. Za kilka lat przeważający procent ludności Polski, Węgier, Słowacji i Rumunii żyć będzie z przemysłów, a nie z rolnictwa. Komunizm może kiedyś — z takich czy innych przyczyn — zniknąć, lecz osiągnięcia rewolucji przemysłowej pozostaną. Europa środkowo-wschodnia nie powróci już nigdy do swej "pastoralnej" przeszłości.

Rewolucja przemysłowa w krajach satelickich jest planowana i kierowana przez jedną organizację tzw. Radę wzajemnej pomocy gospodarczej, która powołana została do życia przez Sowiety w styczniu 1949 r. W ostatnich czterech latach wzrost produkcji Europy za "żelazną kurtyną" jest godny uwagi. Produkcja węgla wzrosła o 40%, wytwórczość stali i energii elektrycznej — podwojono, wytwórczość płynnych paliw — podwojono, produkcję nawozów sztucznych i maszyn pewnego typu — potrojono itp.

Kraje satelickie, niezależnie od planów ogólnego uprzemysłowienia — mają przydzielane z góry role w gospodarczym "kombinacie" satelickiej Europy. I tak Czechosłowacja ma być głównym producentem stali oraz maszyn dla ciężkiego przemysłu. Wschodnie Niemcy będą się specjalizowały w przemyśle elektrycznym i optycznym jak również w produkcji syntetycznych paliw, gumy, i w budowie statków. Węgry wytwarzać mają aluminium a Polska, która zaopatruje w węgiel całą satelicką Europę — ma być głównym wytwórcą przemysłowo-chemicznym oraz dostawcą maszyn dla średnich i lekkich przemysłów. Rumunia będzie przede wszystkim produkować naftę i gaz ziemny oraz wytwarzać maszyny i narzędzia rolnicze.

Czy realizacja tych planów jest możliwa bez jakiejkolwiek pomocy z zewnątrz? Odpowiedź autora brzmi: tak. Analizuje on wprawdzie specyficzne metody jakimi dysponuje państwo totalistyczne i kładzie wielki nacisk na momenty psychologiczne, nie doceniane na Zachodzie. Przytłaczający procent młodej generacji w krajach satelickich wierzy szczerze, że ogromnym wysiłkiem i ofiarami buduje przyszłość i dobrobyt dla swych krajów. Ludzie ci sądzą, że kiedyś zniknie "żelazna kurtyna", a przemysł zostanie. Byłoby błędem nie doceniać entuzjazmu z jakim rewolucja przemysłowa realizowana jest w Europie środkowo-wschodniej.

Artykuł kończy autor następującym stwierdzeniem:

"W chwili przełamania "żelaznej kurtyny" — żadna ludzka siła nie zatrzyma krajów satelickich w obrębie systemu sowieckiego bez względu na bezpośrednie skutki ekonomiczne, związane z takim zerwaniem. Wschodnie Niemcy odpadną prawdopodobnie natychmiast i przyłączy się do reszty Niemiec. Lecz państwa satelickie będą całkowicie scalone gospodarczo. W tej chwili znajdują się one we wspólnej łodzi i pozostaną w niej już na zawsze. Po wyzwoleniu gospodarcza konieczność utrzyma scalenie tych krajów w ramach zjed-

noczonej Europy. Mogłyby one bowiem tylko wiele stracić, a nie zyskać przez powrót do przedwojennej ekonomicznej suwerenności".

Byłoby wskazane, by cytowaną powyżej pracę przestudiowali ci, którzy na emigracji planują przyszłość Polski w przeświadczeniu, że czas zatrzymał się za "żelazną kurtyną". Winni z tą pracą zapoznać się również i ci, którzy sądzą, że federacja jest mrzonką a suwerenność à la 1939 — wyrazem realizmu politycznego.

J. M.

"ORZEŁ BIAŁY"

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

WYDAWCA: GRYF PUBLICATIONS LTD.

169/171, Battersea Church Road, London S.W.11

Tel. BATTERSEA 0879

ADRES REDAKCJI: c/o R. PIETRZYŃSKI,

31A, Dean Road — London S.W.2.

Przedstawicielstwa w Austrii, Belgii, Francji, Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji, Włoszech, Argentynie, Kanadzie, Libanie, Pld. Afryce, St. Zjednocz.

■ CENA EGZEMPLARZA:

WE FRANCJI: 25 franków fr. — W BELGII: 5 franków belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

■ P R E N U M E R A T A:

WE FRANCJI: miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr.
W BELGII: miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belgijskich.
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/-, rocznie 45/-.

■ PRENUMERATE PRZYJMUJĄ:

WE FRANCJI: Libella, 12, rue St. Louis en l'Île, — Paris IVe, nr konta pocztowego Paris cc 565.150.

W BELGII: J. Korab Brzozowska-Csaky, 132, Av. Maréchal Joffre, Bruxelles-Forest; nr konta pocztowego 7315.20.

W ARGENTYNIE: Składnica Książki Polskiej, Av. Leandro N. Alem. 641, Buenos Aires.

O G Ł O S Z E N I A: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)

przyjmują przedstawicielstwa «Orla Białego»,
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma

GRYF PUBLICATION LTD,

169/171, Battersea Church Road, LONDON S.W.11

Sprawy i troski

Notatki z podróży do Kanady

Kwiecień 51 — niedziela. Bohater mimo woli jest może jedną z najczęściej spotykanych postaci komediowych. Powikłane sytuacje, w które — ciągle mimo woli — on popada, są źródłem wesołości dla widzów lub czytelników, rzadziej dla samego bohatera. Nie trudno jest dostrzec elementy komiczne w losie np. Odyssa czy don Juana. Nasze czasy jednak, pozbawione poczucia humoru, stworzyły sytuację Johanna Moritza, która może nawet byłaby komiczna, gdyby nie masowy charakter tego zjawiska. Skoro więc z woli losu, byłych aliantów i organizacji przez tychże b. aliantów stworzonej wypadło wziąć udział w farsie zwanej oficjalnie "umożliwieniem osiedlenia w krajach zamorskich", trzeba się do tego zjawiska odpowiednio ustosunkować.

Opuszczając dżdżystym południem Berno zastanawiam się, co będzie dalej. Za oknami przewija się tymczasem, aż do znudzenia, znany krajobraz szwajcarski. Najbardziej irytującą cechą tego krajobrazu jest jego widokówkowo-prospektowa malowniczość. W pogodny dzień góry szwajcarskie widzi się tak, jak są one przedstawione na plakatach reklamujących wakacje w Alpach. Góry odrutowane "ski-liftami", "sessel-", "seil-" i "zahnradbahnami" straciły swą urodę i powagę. Wywołują takie wrażenie jak np. król angielski otwierający parlament w koszuli à la Truman i spodniach na szelkach. Pewnym urozmaicheniem podróży w Szwajcarii są tunele kolejowe, które oszczędzają widoku gór w permanencji i pozwalają odpocząć oczom. Juliusz Cezar patrzący na góry z obrzydzeniem, pisał w czasie przeprawy przez Alpy traktat o czystości języka i prostocie stylu. Dzisiaj liczne tunele i reklamy czekolady wprawdzie odwracają uwagę od gór, mniej też jednak ludzi czyta traktaty, nie mówiąc już o pisaniu. Dzięki różnorodności magazynów kolejowych coraz mniej ludzi zwraca już uwagę na mijany krajobraz — koncentrując uwagę na "prawdziwych historiach", czy powieściach

kryminalnych. Zresztą podróżowanie za naszej cywilizacji nie sprzyja innym zajęciom. Bliżsi raczej jesteście sposobowi podróżowania jednego z bohaterów Huxleya, autora przewodników: "Krótki galop po Florencji", "Na wrotkach po Watykanie" i "W 80 minut dookoła Luwru".

Pierwszy przystanek w podróży i ostatni w Szwajcarii wypada w Bazylei. Trzeba załatwić drobne formalności dewizowe i gastronomiczne i o 3 pp. wsiadamy do pociągu niemieckiego. Pierwsze wrażenie: co za wygoda! Trzecia klasa pociągów szwajcarskich nie należy do wygodnych. Dwugodzinna już podróż wystarczy by nie czuć nóg i "odwrotnej strony oryginału". Miękkie, wyściełane imitacją skóry ławki wagonu niemieckiego dają łatwiej znieść myśl o 30-to godzinnej podróży. Na dworcu badeńskim krótka odprawa celna. Po raz pierwszy od wielu lat jadę trakcją parową. Ostatni raz podróżowałem "samowarkiem" w Jurze berneńskiej. Pomiędzy Glovelier i Montfaucon kursuje pociąg złożony z samowarka, rozwijającego maksymalną szybkość 12 km/godz. (jak głosił napis) i jednego wagonu osobowego, bez ubikacji. Za potrzebą wysiadało się w czasie jazdy i załatwiała swoje sprawy na torze. Dopędzenie pociągu nie nastręczało żadnych trudności, gdyż ciągnął się on pod górę z szybkością tabetyka na spacerze. Kto miał ochotę, mógł iść na przełaj pod górę i czekać przy torze.

Koniecznym dodatkiem do trakcji parowej jest charakterystyczny zapach przegrzanej pary i dymu. Czuje się w tym coś swojskiego. Krajobraz nie wiele różni się od szwajcarskiego. Będąc po raz pierwszy od wojny w Niemczech — wypatruję ruin. Jak dotąd widać kilka rozwalonych stodoł i ażurowe sławojki — skutki raczej niedbałości niż działań wojennych. W Heitersheimie spostrzegam na wieży kościoła gniazdo i parę bocianów. W Szwajcarii wizerunek bociana oglądać można w magazynach wysprzedających bieliznę dziecięcą i mówi się o nim w pewnej kategorii tzw. dowcipów towarzyskich. Oficjalnie zarejestrowanych jest sześć bocianów — trzy pary. Skwapliwe wykorzystanie każdego kawałka ziemi, osuszanie błot i bagien oraz odrutowanie przewodami telefonicznymi, wysokiego napięcia itp. spowodowało, że bociany niechętnie osiedlają się w Szwajcarii.

Współtowarzysze podróży są przyzwyczajeni do ubrania i rozmowni. W mowie słyszy się jeszcze lekkie szwajcarzenie, ale począwszy od Baden słyszy się już język niemiecki. Pojawiają się również ruiny. Patrząc na budynki, służące niegdyś za dworce nie mogę oprzeć się wrażeniu, że pozostawiono je w stanie zniszczenia z jakąś myślą. O ile na urządzeniach kolejowych nie widać już żadnych śladów wojny, a z okien wagonu widzi się również ruch budowlany, o tyle widok tych osmolonych i wykruszonych budynków stacyjnych nasuwa podejrzenie, że jest to jakaś demonstracja. Na mijanych stacjach przechadzają się żołnierze francuscy. W Offenburgu dworzec udekorowany jest flagami francuskimi. Młodzi chłopcy w fantazyjnych mundurach odjeżdżają do Francji. Zbliża się noc i trzeba jakoś urządzić nocleg. Mój

sąsiad niemiecki wciął kilka kromek chleba z kiełbasą, zapił piwem, nakręcił zegarek i prawie natychmiast usnął. Spał tak bez przerwy osiem godzin aż do Hanoweru. Naprzeciw żołnierza murzyn nasunął tylko na oczy czapkę i już zachrapał. Zawijam się tedy w płaszcz i idę w ich ślady.

Poniedziałek. — Parę minut przed szóstą stajemy w Hanowerze. "Miasto — jak miasto", jak mawiał Odynieć. W zasięgu wzroku tu i ówdzie kilka całych domów, dalej widać bardziej mieszkalne dzielnice. Jedzie się teraz równiną, poprzerwaną odrzwionymi drogami i kanałami. Krajobraz za jakim tęskniłem jedenaście lat. Prawie punktualnie o 8-mej zajeżdżamy do Bremy. Stosownie do instrukcji IRO, powinienem teraz zawiązać na lewym przedramieniu białą chusteczkę i oczekiwać na urzędnika IRO. Stajemy na peronie i patrzymy, kto pierwszy zdecyduje się założyć znak rozpoznawczy. Zbiera się mała grupa osób, najwidoczniej na coś czekających. Ktoś wreszcie wiąże chustkę niepierwszej białości, i czekamy wspólnie dalej. Z przejścia pod peronami wyłania się jakieś indywiduum w czarnym płaszczu, raczej przykrótkim i czarnym, zmiętym kapelutku. Za nim kroczy, stawiając szeroko nogi, z gruba ciosany, kwadratowy typ w niebieskim mundurze. Białą pas, także getry i fular, niebieski hełm, dopełniają umundurowania. Na lewym ramieniu blaszana odznaka IRO wielkości spodka, tenże znak — białe koło ratunkowe i litery IRO na zielonym polu — wymalowany na hełmie w biało-czerwonym otoku. Typ ma minę bardzo ważną, więc obchodzę go naokoło, pilnie mu się przyglądając. Wreszcie pytam:

— Przepraszam, czy jest pan może Polakiem?

Typ milczy na razie, potem dobywa z siebie głosu i krzyczy:

— Los! los! Schneller!

Ustawiamy się dwójkami i schodzimy z peronu. Idziemy w pierwszej parze za "ważnym typem", poddając go przy okazji próbie nerwów polegającej na rozmowie na jego temat. Facet jest twardy jak skała, ale przy bliższych określeniach jego osoby załamuje się i łaskawie zwraca się do nas po polsku:

— Aa? Państwo też przyjechali tym transportem?

— Też — powiadam. — A czy wy zawsze macie taką maskaradę. Czy tylko na powitanie nowych?

— Nie, nie. To tylko na służbie. To policja obozowa...

— A to co innego.

Przed dworcem zbieramy się znowu i urzędnik IRO o wyglądzie komendanta kacetu w stanie spoczynku żąda oddania kwitów bagażowych. Skrzynie z rzeczami przywieźć mają osobno. Na razie pojedziemy autobusami z drobnym bagażem. Również nasze walizki mają być przewiezione do obozu, za co trzeba uiścić "numerowym" po 40 fenigów od sztuki. Zajeżdżają ciężarówki wojskowe z napisem IRO — są to więc nasze autobusy. Ładujemy się pod budę po 24 osoby. Najpierw ruszamy z miejsca, później stajemy. Znowu jedziemy naprzód, okrążamy plac

przed dworcem i... stajemy na tym samym miejscu. Tajemnica tych manewrów wyjaśnia się, gdy otwierają tylną klapę i zaczynają wrzucać na nogi... nasze walizki. Podnosimy gwałt, ale walizki zresztą rzucane przez fagasów (dostali ostatecznie po 40 fenigów od walizki) zawałają całe wnętrze. Wyskakuję z wozu i reklamuję u Niemca o wyglądzie nazisty. IRO-nazi udaje, że nie słyszy, wobec czego zaczynam go łać. Tłumaczy mi, że się tak zawsze robi i nie ma powodu do krzyku. Usłużny policjant dodaje na boku, że to "bardzo porządny człowiek i zna się na rzeczy, bo był zawiadowcą stacji". Istotnie więcej nic nie można osiągnąć. Po prawie godzinnych manewrach przed stacją ruszamy jednak i po półgodzinnej jeździe dobiegamy do "Emigration Staging Center — IRO Tirpitz Camp" mieszczący się w dawnych koszarach i nomen omen — na Schwarzerweg. Sześć równoległych budynków jednopiętrowych połączonych jednym bokiem z zabudowaniem, mieszczącym sale jadalne, kuchnie i umywalnie. Wyładujemy się na dziedzińcu pomiędzy blokiem A i B. Pośrodku stoi maszt z flagą amerykańską, po bokach bloki: A — administracyjny, B — mieszkalny. W głębi "La Guardia Messhall I". Perspektywy więc wspaniałe! W piwnicy pod blokiem B stawiamy pierwsze kroki obozowe. Najpierw tzw. "badanie lekarskie" polegające na okazaniu świadectwa szczepienia. Niektórym, osobnik pełniący obowiązki lekarza, zagłada nawet do gardła. W następnym loszku inny osobnik, uzbrojony w potężną blaszaną lewatywę, rozpyla sporą dawkę DDT z przodu i tyłu kołnierza. Protesty nie pomagają. Wyjaśniają mi, że według przepisów odwszenie winno być przeprowadzone lege artis, a to jest tylko zwykła formalność. Nie wiem czym wytłumaczyć takie lekceważenie przepisów. Tymczasem rozpylone DDT drażni błony śluzowe i oczy. Zapach ten prześladować będzie przez cały czas pobytu w Tirpitz Camp. W następnej piwnicy otrzymuje się "Meal Ticket" zaopatrzone w nazwisko, numer IRO, nr bloku, jak również miejsce do dziurkowania. Za okazaniem tego dokumentu pobiera się dwa śmierzdzące i brudne koce khaki, prześcieradło, powłóczkę i poduszkę. W ostatnim loszku przed wyjściem policja obozowa przeprowadza rewizję walizek. Pytam czego właściwie szukają. Policjant tłumaczy mi, że wg. przepisów obozowych żywność, napoje alkoholowe, przyrządy elektryczne i druty ulegają konfiskacie. Odmawiam otwarcia walizki, wyjaśniając co myślę o przepisach obozowych, i że jako przejeżdżający przez Niemcy tranzytem, mam za sobą odprawę celną na granicy w Bazylei. Policjant jest niezdecydowany, więc dorzucam jeszcze kilka uwag o jego chlebobawcach. Zabieram walizki i wychodzę. Spostrzegam, że policjanci są nieustępliwi w stosunku do dipisów innych narodowości, i że Polaków nieco faworyzują. Później dowiaduję się od towarzyszy niedoli, że istotnie czują oni pewną solidarność, i są ogólnie nie lubiani przez mieszkańców obozu. Oczywiście policja obozowa ściga na siebie całe odium do systemu, którego jest uzbrojonym przedramieniem. Trzeba jednak mieć na uwadze

fakt, że wszystkie inne funkcje obozowe obsadzone są również przez dipisów, ale nie ma tam już ani jednego Polaka. Moi współtowarzysze podkreślają faworyzowanie Polaków — moment ten przeoczyli. Gdy im to wytknąłem, usłyszałem, że liczni Węgrzy, Czeši i Ukraińcy na różnych, mniej lub więcej intratnych stanowiskach obozowych wcale nie poczuwają się do solidarności ze swymi rodakami. To twierdzenie wydaje mi się fałszywe. Sądzę, że gra tu dużą rolę zawiść i podświadome uznanie wyższości władzy przobleczonej w byle jaki, nawet irowski, mundur.

Po odprawieniu wstępnych formalności udaję się do przydzielonego mi bloku. Pierwsze wrażenie jest przygnębiające. Towarzyszący mi policjant mówi, że Tirpitz Camp uchodzi za obóz wzorowy. Wierzę mu na słowo.

Przed godziną dwunastą przed "La Guardia — Messhall" formuje się długi ogonek. Ruchem kieruje policjant. Po kilku kwadransach czekania wychodzi się na pierwsze piętro. U wejścia do jadalni bucha woń, nie przypominająca żadnego ze znanych środków spożywczych. Wewnątrz panuje piekielny zgilek. Po przedziurkowaniu karty otrzymuję lepką, blaszaną tacę z przegródkami i przechodzę wzdłuż bufetu, gdzie rozdzielają strawę. Blaszaną zupy, jakąś masę którą rozpoznałem jako rodzaj makaronu z mięsem, brukiew i tzw. budyń. Jedzenie jest akuratnie pozbawione smaku. Tuszczy wydzielony jest bardzo skąpo w postaci brudu, od którego lepi się naczynie. Po takim posiłku nie czuje się wprawdzie krzyczącego głodu, ale raczej zupełne obrzydzenie. Małe dzieci pobierające podobną strawę (z tą różnicą, że zamiast papki makaronowej otrzymują papkę z ziemniaków i marchwi) nie umiając jeść z rozsądku, odmawiają. Matki wmuszają w nie posiłki często kułakami. Widok tych bladych i niedożywionych dzieci jest wstrząsający. Po obiedzie przechodzi się do ubikacji, gdzie resztki strawy wrzuca się umyślnym otworem wprost do kuchni, a naczynie podlega splukaniu brudnym wrzątkiem. Te resztki odnajduję wieczorem w kolacyjnej zupie. Jedynym sposobem samoobrony przez takim wykorzystaniem odpadków byłoby nie pozostawianie niczego na tacy. System jednak polega na tym, że jest to zupełnie wykluczone. W ten sposób koszty utrzymania dipisa są znikome.

Udaję się na inspekcję obozu, rozpoczynając od przestudiowania przepisów, wywieszonych w hallu każdego bloku.

"Znajdujecie się w obozie — czytamy na wstępie — który zarządzany przez IRO. Mieszkańcy tego obozu składają się z wielu narodów, różnych religii i zwyczajów. Rasowe lub religijne różnice nie będą robione".

Inne punkty dotyczą czystości:

"Umywalnie blokowe są przeznaczone tylko do mycia ciała i dlatego zabrania się mycia tam artykułów spożywczych i części ubrania lub bielizny".

"Proszę utrzymywać ubikacje w czystości i używać je w naturalny sposób".

"Papiery i odpadki należą do koszy na ten cel przeznaczonych. My chcemy utrzymać obóz w czystości. Używanie basenu kąpielowego jest wzbronione".

Obok poprawny tekst niemiecki. Przyglądam się najpierw umywalniom: niegdyś emaliowane, półokrągłe koryta na drewnianych stojakach, wyżej rura z dziurami skąd cieknie woda. Są również krany i czasem ciepła woda (podobno zawsze rano i wieczorem). Później dowiaduję się, że bloki zamieszkałe są tak przez mężczyzn jak i kobiety. Umywalnia jest jedna na blok, na parterze. Kobiety pragnące umyć się bez świadków muszą wybierać późny wieczór lub wczesne rano. Intriguja mnie ubikacje, których używanie "w naturalny sposób" zalecają przepisy obozowe. Jest to podłużny lokal z pissoirem po lewej stronie i kabinami po prawej. W każdej kabinie muszla bez sedesu, brak jest również drzwi. Brak tych ostatnich ma nawet swą dobrą stronę. Większość nowoprzybyłych — a Tirpitz Camp jest tym czystcem z którego idzie się już bezpośrednio do raju, czyli Kanady lub Australii — zapada na różne dolegliwości żołądkowo-trawienne i łagodną formę biegunki. Brak więc drzwi ułatwia w pewnym sensie powzięcie szybkiej decyzji i zapobiega różnym nieprzyjemnościom. Drobnym ten defekt nie jest więc przeszkodą w najzupełniej naturalnym używaniu wyżej wspomnianego lokalu. Wysoko pod sufitem umieszczono nawet rolę papieru toaletowego, dzięki czemu jego zużycie jest minimalne.

Innymi zdobyczami cywilizacji, jakimi obdarzono obóz, są megafony i czytelnia. Megafony zawieszone są na dziedzińcu pomiędzy blokami, w salach jadalnych i kantynie. W przerwach pomiędzy płytami gramofonowymi (przeważnie sentymentalne piosenki niemieckie i amerykańskie) ogłaszane są komunikaty bądź policji, bądź władz obozowych. Ponieważ każdy zobowiązany jest słuchać tych komunikatów, tu i ówdzie spotkać można ludzi, którzy z braku innych rozrywek pilnie słuchają słowa urzędowego.

W czytelni grać można w karty lub szachy. Są również ilustrowane czasopisma amerykańskie sprzed paru miesięcy lub lat. Z polskich znajduje dodatek niedzielny "Dziennika dla Wszystkich" z listopada 1950 i egzemplarz "Polaka" z 5 kwietnia 1951. Są również aktualniejsze czasopisma niemieckie, które można wypożyczyć za zdeponowaniem "meal ticketu".

Trzeba się również rozejrzeć z kim i jak przyjdzie spać. Ruśtowanie służące do spania jest dwupiętrową, żelazną pryczą długości 175 cm. Brudny worek, wypełniony sieczką grubości 3 cm. spoczywa na siatce z pasków walcówki dwucentymetrowej szerokości. Pięć pasków wzdłuż i trzynaście wszczepionych nie stwarzających wrażenia wygody.

Jeśli chodzi o współtowarzyszy, to spotykam grupę Polaków z

południowej Afryki, kilka osób z Włoch, Francji i Belgii, wszyscy w drodze do Kanady.

Prawie jedną piątą mieszkańców obozu stanowią dzieci. Wygląd tych najmłodszych dipisów jest przerażający. Błede, niedożywione istoty czekające od miesięcy na połączenie rodziców. Najliczniejszą grupę stanowią matki z dziećmi, których mężowie zakontraktowani na rolę czy do lasu — od miesięcy przebywają już w Kanadzie. Pozostanie dla mnie zagadką w jaki sposób te dzielne niewiasty utrzymują w czystości swój drobiazg. Zważywszy, że mają one wyłącznie bagaż podręczny, jedną, dwie walizki; że są również bez pieniędzy gdyż IRO kazało zdeponować gotówkę w biurze, nie dając ani grosza na drobne wydatki; i niektóre czekają od paru tygodni do miesięcy na statek — mycie, opieranie i utrzymanie czystości w tutejszych warunkach jest sztuką. Drugim zdumiewającym szczegółem to język dzieci, pozbawiony jakichkolwiek naleciałości ludowych. Takim językiem mówią tylko dzieci w szkole i już czytane. Gdzie się one tego nauczyły? Porównuję mimo woli z dziećmi różnych małżeństw polskich w Szwajcarii, mówiących w najlepszym wypadku po polsku z akcentem dialektu szwajcarskiego. Znałem również małżeństwa obarczone tytułami uniwersyteckimi, których dzieci ani nie rozumiały, ani nie mówiły po polsku. Dzieci-dipisi są starymi wygami jeśli chodzi o zafasowanie czegoś poza kolejką, pobranie repety czy pomoc matce. Słyszę np. jak pięcioletni może szkrab ciągnie młodszego brata i mówi: "chodź do domu, bo zaraz kolacja". "Dom" lub "mieszkanie" w rozumieniu tych dzieci to wspólna sala sypialna. Innego domu jeszcze nie zaznały.

Maj 51 — wtorek. O dalszej podróży głucho. Wprawdzie wszystkie dokumenty, w jakie nas obficie zaopatrzyło IRO w Genewie podają datę odjazdu na środę, ale tutejsi IRO-nazi jeszcze nic nie wiedzą. Plotkarze obozowi opowiadają już, że nasz statek się spóźnia gdyż pośpieszył z pomocą innemu... Bezinteresowne udzielanie pomocy nie leży w naturze tej organizacji, ale plotkarze wszystko wiedzą. Na śniadanie otrzymujemy papkę zabieloną zdaje się mlekiem, chleb, margarynę i rodzaj kawy. Na obiad grochówka, ziemniaki, kapusta i nadpsuty boczek. Wieczorem zupa z resztek, chleb, margaryna, ser i dzieśnięta woda po kawie. Przed i po południu przybywają transporty "Australijczyków".

Słyszac okrzyk dzieci "transport na rampie!" przypominam sobie opisy z obozów koncentracyjnych. Obóz mieści się obok torów kolejowych i transport "Australijczyków" schodzi z walcami wąską, czarną ścieżką. W obozie przygotowano normalne przyjęcie, jakie było i naszym udziałem. Porównanie z kaceciem jest o tyle frapujące, że IRO-nazi przejęli całą nomenklaturę niemiecką. Na każdym bloku jest "blokowy" i "sztabowy". Dipisi zatrudnieni w biurach zwą się "szrajberami". O godz. 8-mej rano i 5-tej po południu z megafonów rozbrzmiewa hymn

amerykański i w myśl przepisów obozowych, podczas wciągania i ściągania flagi, wszyscy "zobowiązani są oddać cześć sztandarowi przez stanie na baczność i odkrycie głowy". Lekceważenie tych przepisów pociąga za sobą konsekwencje, aż do "skreślenia z listy wyjeżdżających". Jak daleko posunął terror w stosunku do dipisów świadczy drobny epizod, jaki mi się zdarzył w czasie tych obowiązkowych "pięciu minut miłości do USA": nie uważając za stosowne ani stawać na baczność na dźwięk hymnu amerykańskiego, ani tym bardziej zdejmować kapelusza, odwróciłem się w krytycznym momencie plecami z zamiarem odejścia. Jakiś dipis widocznie zgorszony moją nieświadomością zwraca się do mnie szeptem: "ty, stań na baczność, bo cię skreślą z listy".

Innym, zdaje się niezamierzonym efektem podobnych przepisów jest pewien kompleks, jaki wytworzył się wśród dipisów. Ze zdumieniem zauważyłem, że ton w jakim mówi się o Amerykanach, Kanadyjczykach i Australijczykach nie wiele różni się od tonu, w jakim mówi się o IRO. Jest to skądinąd zupełnie zrozumiałe. Każdy z dipisów ma już za sobą większą ilość badań różnych komisji imigracyjnych i konsularnych. Zachowanie się Amerykanów, Kanadyjczyków czy Australijczyków, względnie osób, reprezentujących te kraje nie uprawniało do innych wniosków. Siłą rzeczy wnioski te rozciągnięto na wszystkich obywateli danego kraju. Dipisi z którymi mam jechać do Kanady uważają kraj ten i jego mieszkańców za rodzaj państwa zaludnionego i zarządzanego przez IRO-nazi. Być może, że jakiś dobry Amerykanin oburzyłby się nawet na takie "wychowanie demokratyczne" i szopki z hymnem. Jeśli więc większość dipisów uważa przesiedlenie za rodzaj zsyłki i jest nastawiona negatywnie do przyszłych gospodarzy, nie należy się temu dziwić.

Najlepiej ulotnić się zaraz po śniadaniu i po obiedzie. Niestety rzecz nie zawsze jest wykonalna. Po południu gdy chcemy ze znajomymi wymknąć się z obozu (wyjście jest teoretycznie od 10-tej do 22-giej) wartownicy nie wypuszczają poza bramę, ponieważ "kobiety z dziećmi nie mają wyjścia". Tłumacząc policjantowi, że my jeszcze nie mamy dzieci, a nasi znajomi z synkiem ostatecznie też mogą wyjść, skoro nic się nie dzieje.

— Ale może być jakieś badanie — brźmi odpowiedź.

— Przecież nie zapowiadali żadnego badania — oponuje.

— Nie zapowiadali, ale mogą zapowiedzieć.

Próbuję z innej strony i pytam dowódcę warty, czy mężczyźni z dziećmi mogą wyjść.

"Porucznik" myśli z wysiłkiem i mówi z perswazją, że "ta przecież nie idzie ani o kobity, ani o mężczyzn, a o dzieci".

Włóczymy się po okolicy obozu. Naprzeciw znajduje się osiedle w barakach. Zabudowanie terenu przypomina żywo były obóz. Drewniane baraki ustawione w rzędach, co 100 do 150 m. ruiny bunkrów betonowych w kształcie głowy cukru. Za barakami ogródki działkowe z charakterystycznymi szopami na narzędzia. Ta część jest gęsto zarośnięta młodymi drzewami, nie starszymi

niż 5-6 lat. Uderza zaniedbanie i brak fantazji. Baraki są pokrzywione ze starości i prawie się rozpadają. W oknach firanki i doniczki z kwiatami, przed barakami miejsce na ogródek. Tu i ówdzie kilka kur, to pies uwiązany do drzewa lub skład rupieci. Widać, że mieszkańcy tego osiedla nie przywiązują żadnej wagi do wyglądu zewnętrznego swych mieszkań.

Centrum Bremy w okolicy ratusza wraz z dzielnicą handlową jest stosunkowo mało zniszczone. Jadąc w kierunku Gröpelingen już od kanału nie widzi się całego domu. Prawie pół godziny jedzie się ulicą, na której po jednej i drugiej stronie nie stoi, jak okiem sięgnąć, ani jeden dom. Ruiny są uprzątnięte, lub gdzieś niedaleko zsypane w jedno rumowisko. W okolicy Gröpelingen zaczyna się już dzielnica mieszkalna, tylko od czasu do czasu widać wyrwy w szeregu domów. Często widzi się dom zrujnowany na piętrze i zamieszkały na parterze. Z początku razi takie zaniedbanie, trudno bowiem zrozumieć, że ktoś mieszkający np. na pierwszym piętrze nie korzysta z balkonu, na którym należałoby jedynie wyprostować wygięte poręcze i oczyścić je ze rdzy. Myślę, że to zaniedbanie ma swą przyczynę w latach wojny. Od czasu wojen napoleońskich mieszkańcy miast niemieckich mogli budować i meblować domy na kilka pokoleń. To zaufanie do losu sprawiło, że nikt nie potrafił sobie nawet wyobrazić sytuacji w której jest się zmuszonym opuścić nagle dom w bieliźnie i bez dowodu osobistego. Ludzie, którzy przeszli wojnę i uratowali się spod bomb czy pożaru, długo zastanawiają się nad każdą inwestycją. Szczególnie wtedy gdy widoki na jaki taki pokój są mętniejsze od wypowiedzi ministrów spraw zagranicznych. Na murach widnieją napisy "Adenauer muss gehen" i "Ohne uns". Jak to słusznie określił Carlo Schmid, Niemcy mają do wyboru albo sowietyzację w całych domach i przy zdrowiu, albo uwolnienie w ruinach jako kaleki. Nie mając zbyt wielkiego zaufania ani do wschodnich, ani tym bardziej zachodnich sprzymierzeńców, wolą przycupnąć w stanie prowizorium, wydając zarobione pieniądze w bardziej rozsądny sposób.

Włóczymy się po dzielnicy robotniczej. Z okazji święta, na Werft- i Dockstrasse co drugi przechodzień odchylony jest od pionu. Napoje, tzw. wyskokowe, są stosunkowo tanie, papierosy zaś drogie. Uderza duża ilość palących kobiet, przeważnie starszych. Niemki skierowane przez swego wybrańca do kuchni, emancypują się zewnętrznie. Jak długo jeszcze? Widzę również rozlepione plakaty nawołujące do wstąpienia do partii politycznej pod hasłem "Deutsche Frauen erwachet!" Czy i kiedy wyjdzie stąd nowe bożyszcze kobiet?

Napoje alkoholowe są na terenie obozu zakazane i konfiskowane. Pewnemu Słowakowi ze Szwajcarii, który nieostrożnie "zadeklarował" butelkę koniaku — po prostu rozbito mu ją o mur. Ten dziwny tryb postępowania ma swoje uzasadnienie: posiadacz butelki chciał najpierw zdeponować ją w biurze i odebrać przy odjeździe. Policja jednak obstawała przy "konfiskacie", pod pozorem natychmiastowego zniszczenia wroga ludz-

kości. Dla efektu, Słowak skrzyknął paru świadków i ustawiwszy się z aparatem fotograficznym poprosił o wykonanie wyroku. Policjantom ta druga alternatywa (tj. zniszczenie, nie "skonfiskowanie") nie bardzo odpowiadała, ale jeden z nich wstydlawie spełnił obowiązek kata. Słowak nie poprzestał jednak na tym, lecz udał się do biura, by uzyskać... odszkodowanie. Kierownik obozu oświadczył bez ogródek, że nie ma zwyczaju wypłacać odszkodowań, gdyż stworzyłoby to precedens, i trzeba by zwrócić tym wszystkim, którym się już kiedyś skonflikowało.

Wieczorem przypadkiem widzę jak dwaj policjanci niosą swego kolegę. Zainteresowany podbiegam i widzę, że młody człowiek jest pijany do nieprzytomności. Widocznie nie wszystkie butelki zniszczono przed użyciem...

Środa. — O odjeździe głucho. Moi towarzysze ze "sztuby" pocieszają mnie, że oni czekają już na transport do Kanady od 3 miesięcy, i że w tym czasie odjechało kilka statków. Jeden z nich, bywalec wielu obozów hitlerowskich i amerykańskich mówi: "Cóż, proszę pana, znaleźliśmy się w obozie dla prominentów".

Chcąc zapoznać się z innymi urządzeniami obozowymi, udaję się do tzw. szpitala. Szpital zajmuje parter jednego z bloków. Na korytarzu różne ogonki bądź do lekarza, bądź dentysty. Pewne pojęcie o opiece lekarskiej daje mi zachowanie się dzieci, które na widok białego fartucha lekarskiego wpadają w płacz. Po dłuższym czekaniu (w obozie trzeba oswoić się z faktem, że jest się "Schlangenmensch'em") wprowadzają mnie do pokoju przyjąć. Dwaj dyżurni lekarze i siostra urzędują w jednym pokoju przedzielonym ażurowym parawanem. Z konsylium nad moim czyrakiem wnoszę, że są oni na poziomie pomocników felczera ze Zduńskiej Woli, i proponuję opatrunek z maści ichtiolowej. "Lekarze" zastanawiają się przez chwilę i jeden powiada: "tak, to będzie może najlepsze rozwiązanie"... Personel lekarski, to również dipisi w oczekiwaniu na wyjazd. Niektórzy robią wrażenie studentów niższych semestrów medycyny. Zważywszy, że to oni przeprowadzają końcowe badania lekarskie i od nich zależy dopuszczenie na statek — jest to duża odpowiedzialność. Nieproporcjonalnie duża do przywileju posiadania pokoju, przydziału amerykańskich papierosów i lepszej strawy. Ale jesteśmy przecież w obozie dla prominentów...

Jeszcze przed południem wymykamy się do miasta, tym razem do centrum. Jest właśnie dzień targowy, więc za półtorej marki kupujemy bułki, wędlinę i owoce. Jedzenie obozowe jest monotonne i pozbawione nie tylko smaku ale i składników odżywczych. Brak witamin szczególnie widać na przykładzie dzieci. Kobiety w ciąży otrzymują za stempelkiem "expectant mother" na karcie posiłkowej dodatkową rację o godz. 4 po poł., składającą się z fałszywego kakao i chleba z margaryną.

Przynajmniej trzy godziny dziennie spędza się na staniu w

ogonku. Toteż obrzęk nóg jest zjawiskiem masowym, szczególnie u osób nieprzyzwyczajonych do życia obozowego.

Wypad do miasta ma jeszcze jedną atrakcję: można mianowicie skorzystać z normalnego locus secretus. Znajomy neurolog i psychiatra mówi mi, że złapał się sam na kontemplacji... drzwi. Dotąd znana była tylko wersja cielecia wpatzonego we wrota. Przypomina to anegdotę o mieszkaniu niemieckim, gdzie na każdym meblu leżała serwetka z wyhaftowanym "spruchem". W ubikacji, na drzwiach wisiała mała, kwadratowa serwetka z napisem: "Endlich allein".

Pewna konsekwencja w organizowaniu życia obozowego z szyskanami, z naciskiem na stronę fizjologiczną każe przypuszczać, że jest w tym jakiś cel. Gdyby chodziło tylko o pozbycie się dipisów i obrzydzenie im życia obozowego — nie trzymano by ich miesiącami w obozie. Chyba, że jest to dalekowzroczna polityka w odniesieniu do potencjalnych dipisów ze wschodniej Europy. Z faktu — jak bardzo IRO-nazim zależy na tym, by ich chwailono wnosić można, że w tym terrorze jest metoda i sens. Pojętni uczniowie nazich postanowili doprowadzić swych podopiecznych do zupełnego ośpienia i obojętności. Terrorowi przydano do pomocy całą skalę środków represyjnych. Rzeczą niezmiennie charakterystyczną są wszystkie ogłoszenia urzędowe przybijane na tablicy. Każde bez wyjątku rozporządzenie zawiera groźby na wypadek jego niewykonania. Ten sam język słyzy się z megafonów. Nawet wtedy, gdy ktoś ma się zgłosić po odbiór listu, brzmi to np. tak: "Uwaga! Uwaga! XY musi zgłosić się natychmiast w biurze, blok A".

Wszelkie próby zmian zdają się być skazane na niepowodzenie. Są to jednak tylko pozory. IRO-nazi nie są przyzwyczajeni do oporu i zdają sobie sprawę z przemijalności swej władzy. Wiedząc o tym przyjąłem taktikę agresywną, podkreślając na każdym kroku mój lekceważący stosunek do tej organizacji i jej funkcjonariuszy. Głośne łajanie najbardziej obelżywymi słowami i walenie w stół lub gestykulowanie działało w każdym wypadku w magiczny sposób. IRO-nazi spuszczały od razu z tonu i stawali się przymilni jak koty.

Sam terror jednak nie wystarczy. Dipisi muszą odczuwać wdzięczność do IRO za opiekę i umożliwienie wyjazdu z Niemiec. Opowiadano mi jak stutysięczny Dipis opuszczał obóz IRO. Z tej okazji urządzono małe święto z udziałem prasy i wyższych urzędników. Naszemu stutysięcznemu kazano wybąkać parę słów na temat IRO i podziękować za dotychczasową opiekę. Gdy odmówił, znaleziono pospiesznie innego, bardziej reprezentatywnego, bo z rodziną, obfotografowano, zanotowano co powiedział i odbyło się wszystko bez zgrzytów. Te manifestacje wdzięczności nie przybierają na razie bardziej drastycznych form, ale widok dipisów stojących na baczność w czasie grania hymnu amerykańskiego przed salą im. La Guardi i dyrektora obozu obserwującego to przez okno biura — nasuwa różne myśli. Gheorghiu niczego nie wymyślił...

Wieczorem po powrocie z miasta zastaję miłą niespodziankę: wywieszono listy wyjeżdżających. Na wszelki wypadek idę sprawdzić czy i moje nazwisko figuruje, gdyż z łobuzami nigdy nie wiadomo. Moi mili współtowarzysze ostrzegają mnie z dobrogo serca, że "pyskatych" lubią przetrzymywać dla zmiękczenia. W piwnicy, w której wywieszono listy (oczywiście jeden egzemplarz, to należy do systemu) — ścisk taki, że nie chcąc ryzykować guzików marynarki wycofuję się na "sztubę".

Czwartek. — Nastroj naprawdę świąteczny. Mąci go poranna szopka z flagą i policją w pełnej krasie. Stojąc w ogonku na śniadanie widzę, że wszyscy policjanci mają przypięty znaczek zbiórki na oświatę 3-go maja. Dowiaduję się, że sprzedają znaczki, zajmuje się również policja. Wyjścia dla odmiany nie ma. Od rana odprawiają się różne ceremonie megafonowe. Z zasady staram się nie słyszeć, więc nie bardzo wiem o co chodzi. Przepisy obozowe nakazują pilnie słuchać ponieważ za pośrednictwem megafonów wzywa się ludzi do pracy. Praca w obozie jest różna: począwszy od zmiatania dziedzińca i ulic, do pomocy w kuchni i najbrudniejszych robót przy węglu. Nikt z przebywających tutaj nie posiada w walizce drelchów do pracy. Instrukcja IRO wyraźnie brzmi, że należy brać tylko podręczny bagaż, jedną walizkę na osobę, a resztę rzeczy spakować w skrzynie. Niezależnie od tego, że czekający tu od wielu tygodni nie mają bielizny na zmianę i muszą ją prać w opłakanych warunkach, praca polegająca na wyładowywaniu drobnego węgla i przesypywaniu go do piwnicy, powoduje zabrudzenie i zniszczenie i bielizny i ubrań. Roboty te zasadniczo wykonują specjalnie zatrudnieni robotnicy niemieccy. Dzięki jednak uprzejmości IRO wyznacza się do nich dipisów — oczywiście bez wynagrodzenia. Płaceni za to Niemcy ograniczają się do kierowania i komenderowania dipisami. Cały personel mający utrzymać oboz w czystości jest niemiecki. Dzięki temu wszędzie lepi się od brudu, choć płaca 240D-marek plus życie i mieszkanie w obozie jest niezłym wynagrodzeniem. Personel ten jest niezwykle bezczelny i daje do zrozumienia, że wyświadcza wielką łaskę sprząając po dipisach.

Odwiedzam szpital i ze zdumieniem widzę, że nie ma chorych. W obliczu wyjazdu ludzie wolą nie zgłaszać się do lekarza, gdyż byle jaka choroba oznacza skreślenie z listy wyjeżdżających i czekanie na następny statek. Ta troska o zdrowie jest wrzuszająca. Pewien Polak z mojej sali rozbił sobie czoło w czasie przymusowej pracy. Odwieziono go natychmiast do szpitala i wrócił właśnie wczoraj by dowiedzieć się, że na skutek wypadku nie może jechać najbliższym statkiem.

Po południu wywieszają listy uzupełniające. Ludzie figurujący na tych listach zostali po prostu przetrzymani w niepewności. Rodak z rozbitym czołem figuruje również na liście.

O trzeciej po południu zaczyna się cyrk w sali widowiskowej (Paul Edward — Hall II), czyli oficjalnie "przyjęcie przez pana

konsula". Już od obiadu stoi ogonek. Ludzi jednak wpuszczają wg. numerów. Wywołujący numer mówi szeptem, tak, że słyszy go tylko kilka najbliższych osób. Teoretycznie przewiduje się odprawienie 1200 osób na godzinę. W rzeczywistości trwa to kilka godzin. Na sali okazały ogonek przewija się od stołu do stołu. Zaraz przy pierwszym wręczają mi do podpisania dwa oświadczenia:

1) umowę (!) o pracy na statku,

2) rezygnację z wszelkich pretensji do IRO na ewentualność: zatonięcia statku, wypadku, choroby lub kalectwa, zniszczenia lub zagubienia rzeczy itp.

Zaczynam czytać obie deklaracje (dwie strony petitement dużego formatu) ale IRO-nazi wrywa mi kartki z ręki krzyczy: "Podpisywać i następny!" Spokojnie odpowiadam, że nie mam zwyczaju podpisywania czegokolwiek bez zapoznania się z treścią. IRO-nazi odkrzykuje, że albo podpiszę, albo mnie skreśli z listy. Podnoszę tedy i ja głos i stwierdzam, że jest to bezprawie i szantaż, że wymuszony podpisu nie złożę. Mówię rozmyślnie głośno, by zwrócić uwagę urzędników kanadyjskich. Rzucam oświadczenie na stół i podchodzę bliżej do nazisty. Raz jeszcze wykładam mu swój pogląd na takie praktyki. Nazi traci pewność siebie i wymijająco odpowiada, że gdyby wszyscy chcieli dokładnie czytać, zabrakłoby tygodnia czasu na zakrętownanie. Mówię mu jeszcze na ucho co myślę o nim i o takim urzędowaniu i odchodzę.

Urzędnik kanadyjski przegląda jedynie wizy. Na końcu sali otrzymuje się książeczkę informacyjną o Kanadzie.

Wieczorem w kantine jest rojno i gwarno. Kantinę prowadzą również policjanci. Przepisy obozowe zabraniają wynoszenia z obozu (!) i wnoszenia żywności. Wartownik przy bramie konfiskuje np. chleb, owoce itp. W kantine można otrzymać kanapki z wędliną, ciastka, owoce i papierosy. Sens przepisów staje się więc zrozumiały.

Wieczorem jestem świadkiem miłej dla ucha dyskusji. Cześci z mej sali krytykują żywo działalność swych władz emigracyjnych. Powód jest wcale zabawny: podczas dzisiejszej szopki z "konsulem" każdy otrzymał broszurkę o Kanadzie. Teksty były w języku angielskim, rosyjskim i polskim. Moi Cześci oburzeni, że muszą czytać w którymś z tych języków (a każdy "nowy Kanadyjczyk" czyta takie rzeczy z nabożeństwem) powiadają:

— Co robią nasze władze na emigracji? Polacy są przynajmniej zorganizowani. Od razu widać, że mają porządną rząd. Jak tylko przyszliśmy do Niemiec zobaczyliśmy jak dobrze Polacy są zorganizowani...

Zasypiam z miłym uczuciem, że nie Polacy zazdroszczą Czechom organizacji, a odwrotnie.

Piątek — Okazuje się, że wyjeżdżamy w sobotę. Wobec tego zaraz po śniadaniu ustawiamy się w ogonku do lekarza. O co zresztą chodził trudno się dowiedzieć. Badanie odbywa się w

piwnicy, i jeśli chodzi o mężczyzn jest dość pobieżne. M. in. lekarze przeglądają — nie wiadomo, który już raz — świadectwa szczepienia. Ze zdumieniem przekonuję się, że w rubryce "wynik" — gdzie szczepiacy lekarz wpisał "réaction vaccinale typique", lekarz IRO przykłada stempelek "reaction of immunity". W toku tego tzw. badania okazuje się, że są jeszcze osoby które przemknęły się przez wszystkie badania nie będąc szczepione. W najgorszej sytuacji są znowu matki z dziećmi. IRO-nazi ubzdurali sobie, że dzieci chore muszą czekać w obozie aż do wyzdrowienia. Miarą zdrowia jest temperatura, mierzona domowym sposobem przez przyłożenie ręki do czoła. Fakt, że większość dzieci ma podniesioną temperaturę ze strachu, nie mówiąc już o płaczu — nie mówi tym lekarzom nic. Zaglądam jeszcze do szpitala, gdzie jak wymiotti — nie ma nikogo. Lekarz udziela mi życzliwej wskazówki, bym ze zmianą "opatrunku" (gaza i plaster) poczekał, aż będziemy na pełnym morzu, bo mogą mnie jeszcze odesłać ze statku.

Trzeba wykorzystać ostatnie wolne popołudnie na zrobienie skromnych zapasów na dzień jutrzejszy, pierwszy na statku. Obok obozu rozciąga się nowe osiedle. Domy murowane, dwupiętrowe, stoją w kilku rzędach. Jezdni i chodników jeszcze nie ma. Są za to tabliczki z nazwami ulic. Boczne uliczki noszą nazwy miast niemieckich, m. in. po Rostockerstrasse następuje Posenerstrasse...

W znajomej kawiarni rozmawiamy z właścicielem. Gdy dowiaduje się, że przyszlismy do niego po raz ostatni na kawę (nb. w ogóle trzeci) przynosi butelkę bursztynowego Doppelkornu i wypijamy na pomyślność podróży. Rozmowa schodzi na temat obozu. Niemiec, skoro zorientował się, że mówi z dipisami i podopiecznymi IRO proponuje byśmy zamówili sobie ew. kolację, na co mamy ochotę, a on nam przygotowuje, byśmy "wynieśli jakiegoś lepsze wspomnienie z Niemiec".

Motywy jego postępowania są mi niejasne. Jest on właścicielem cukierni, gdzie poza napojami jak kawa, herbata czy mleko, niczego się nie gotuje. Sądząc z jego opowiadania był właścicielem dużej, dobrze prosperującej cukierni. Obecnie na tym samym miejscu, po wyrównaniu terenu postawił barak i prowadzi zakład dalej. O co chodzi? kompleks winy? zadośćuczynienia? Gdy mu opowiadam o przedstawieniu z flagą amerykańską i hymnem, cukiernik nie wybucha śmiechem, lecz z największą powagą odpowiada: "dotąd w Europie był tylko jeden kraj, gdzie na dźwięk hymnu ludzie musieli stawać na baczność — Niemcy Hitlera". Widzę, że pierwsze symptomy masowej choroby objawiają się podobnie i tu i tam.

Fakt, że dla opuszczenia Europy niezbędny jest czyściec obozowy najlepiej może uprzytamnia stan w jakim się znaleźliśmy. Przeciętny obywatel zachodniej Europy, polykając codzienną papkę uwarzoną przez polityków i dziennikarzy nie zdaje sobie sprawy ze stopnia zagrożenia. Ludzie, których tutaj spoty-

kam robią na mnie wrażenie zbiegów, którzy dopiero co znaleźli się w strefie granicznej i choć nie grozi im już żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo, nie czują się jeszcze zupełnie pewni. Obóz przejściowy jest istotnie ostatnim etapem, po którym rozpoczyna się teoretycznie nowe życie na wolności i bez strachu.

Sobota — W ubiegłych dniach IRO-nazizm stosowany był w małych dawkach i stopniowo. W dniu ostatnim brak czasu nie pozwala już na dozowanie. Od 6-tej rano stoi się w ogonku przed lokalem, gdzie odbierają koce. Potem przechodzi się do ogonka śniadaniowego, a potem po kwity bagażowe. Dipisom z terenu Niemiec odprawiają coś w rodzaju rewizji celnej. Efektowny plakat na ścianie głosi: "Deklariert Alles. Schmuggel kann mit Deportation bestraft werden!" Zastanawia mnie to "kann". Dlaczego nie "będzie", a łagodnie "może być"? Czasu jednak na medytację jest mało, bo z kwitami trzeba się ustawić w ogonku obiadowym. Po obiedzie — dla rozrywki zbiórka z walizkami na dziedzińcu. Pada deszcz, walizki trzeba ustawić w błocie, i czekać. Jurny Niemiec obdarzony tegim organem głosowym wywołuje numery. Najpierw "Hamburger Jungen" — 85 Niemców, z pierwszej grupy dopuszczonej do Kanady. Później druga grupa Niemców, 315 osób, sprowadzanych przez baptystów kanadyjskich, wreszcie kolej na dipisów. Słychać pomruki i gwizdy za takie wyróżnienie, ale wszystko idzie spokojnie. "Nasz naród scen okropnych, gwałtownych nie lubi". Oddaje się "meal tickety", ostatnie badanie lekarskie", na końcu wręczają paczkę z prowiantem na drogę: 1 jabłko (pierwszy owoc otrzymany w obozie), dwie pajdy chleba z serem i wędliną. Teraz grupami po 50 osób udajemy się na rampę i ładujemy do wagonów, o dziwo osobowych. Jest godzina 12.30 i wreszcie można odpocząć i osuszyć się. Po dłuższym czekaniu pociąg rusza i staje. Potem znowu rusza i znowu staje. Przez jakiś czas jedzie nawet naprzód, ale po dłuższym postoju cofa się znowu i w rezultacie po dwu godzinach jazdy jesteśmy na wysokości obozu, tylko na innym torze.

— Czy wyjedziemy wreszcie z obrębu tego obozu? — mówi ktoś w sąsiednim przedziale. Dla dipisów od lat przebywających w obozach, opuszczenie tego któregoś z rzędu obozu oznacza nie tylko koniec ery obozowej, ale i opuszczenie Europy. Fakt, że wyjazd z Europy połączony jest z obowiązkiem przejścia przez obóz UNRRA, IRO czy innego bękartu totalizmu, jest aż nadto wymowny. Adolfiński "Festung Europa" zmienił się w jeden, wielki obóz. Nowy, wspaniały świat; jeden świat i jeden obóz — to poszczególne etapy rozwoju. Czekają nas może jeszcze urzeczywistnienie huxleyowskiego obrazu dwóch Einsteinów na smyczy oglądających początek ery poatomowej.

W miejscowej gazecie znajduję notatkę, że b. dyrektor IRO udał się na Koreę dla zapoznania się "z problemem tamtejszych uchodźców i opracowaniu planu pomocy". Biedni Kore-

ańcy! Żaden naród tak nie zasłużył na miano probierza Narodów Zjednoczonych, jak oni. W krótkim czasie części z nich udało się przeżyć "wyzwolenie spod jarzma kapitalistycznego" i "uwolnienie od tyranii komunistycznej". Po tych ruchach wyzwolńczych pokazano im wielką rozgrywkę polityczną o zasady i utrzymanie fantazyjnej granicy wytyczonej przez amerykańskich generałów. Obecnie przygotowują im "rozwiązanie problemu uchodźców".

Późnym popołudniem dojeżdżamy wreszcie do Bremerhaven. Załadowanie na statek odbywa się stosunkowo szybko i sprawnie. M/s Anna Salén na pierwszy rzut oka robi wcale schludne wrażenie. Przyjrawszy się dokładnie widzę, że został akuracie odmalowany i to niedawno. W pośpiechu nie oczyszczono niczego ze rdzy, lecz pociągnięto wszystko grubą warstwą minii. Wrażenie schludności mija po dokładniejszym obejrzeniu szalup i pomieszczeń pasażerskich. Pierwsze są zupełnie zaniedbane i trudno mi sobie wyobrazić ich spuszczenie na wodę nawet w celach ćwiczebnych. Drugie, urządzone w przebudowanych na ten cel ładowniach.

Pomieszczenie w którym mam czasowo spać mieści się w pierwszym luku na dziobie i składa się z dwóch kondygnacji. W dolnej jest ok. 160 prycz, w górnej ok. 120. Statek (ok. 11.000 ton) był niegdyś zwykłym frachtowcem. W czasie wojny przeobrażono go na transportowiec wojenny, a po wojnie zaś wynajęto do przewożenia dipisów do ziem im obiecanych. Ze szczegółu np., że brak jest jakichkolwiek urządzeń wentylacyjnych, wysnuć można wnioski o stanie innych instalacji.

Na razie uwagę pochłania obfita — w porównaniu z obozem — kolacja. Statek przypomina teraz mrowisko: 1.400 ludzi wędruje we wszystkich kierunkach. Jedni z walizkami, inni bez. Są również i megafony i to tak skutecznie zgęszczone, że słowo urzędowe dociera niestety wszędzie.

Powoli zapada mrok. Prawie że bez szmeru statek, ciągle jeszcze na holu, przesuwa się przez portowe kanały. Światła Bremerhaven powoli toną w ciemnościach. Bliższe, portowe otula szara mgła. Mijamy ostatnią śluzę i wypływamy na redę. Napięte liny holu zwalniają się i płaszcą o wodę. Holownik trzykrotnie świszczy syreną, trzykrotnie odpowiada bas ze statku. Światła holownika zataczają koło i odsuwają się szybko w pas mgły. Obok Niemki — żony dipisów głośno szlochają. Milknie gwar rozmów. Oczy starają się jeszcze uchwycić jakiś skrawek ziemi, ale i ta ginie w ciemnościach. Wypływamy na morze.

Zbigniew MAŁECKI.

Kronika angielska

Jeszcze jeden rozłam

Tę samą pocztą dostałem dwa tygodniki w których czytamy:

"W sobotę dn. 22. września w sali Ogniska Polskiego w Londynie odbył się Zjazd Kongresowy Stronnictwa gen. Józefa Hallera. W zjeździe uczestniczyło około 50 działaczy i członków Stronnictwa Pracy".

"...Zjazd po szczegółowej dyskusji wyłonił 19-osobową Radę Naczelną pod przewodnictwem gen. Józefa Hallera.

"Wśród uchwał politycznych i programowych Zjazd powziął następujące ważne uchwały:

"Stronnictwo Pracy uważa sprawę zjednoczenia politycznego za sprawę w sytuacji obecnej najważniejszą i że skład obecnego rządu jest zbyt jednostronny i wąski, aby mógł on być uważany za odpowiedzialny do wymagań chwili obecnej.

"Stronnictwo Pracy nie powinno wchodzić w skład zbyt wąskiej koalicji rządowej, aby nie utrudniać szerszego porozumienia i że niezwłoczne powołanie rządu jednolitości narodowej, opartego jeżeli nie o wszystkie, to przynajmniej o większość polskich stronnictw politycznych, jest konieczne dla obrony polskiej."

"Polak", Nr 40 (155).

"...pewne jednostki zebrały się w dniu 22 września w pokoju "Ogniska". Do zapełnienia tegoż pokoju przyczynili się ludzie, którzy prawa członkowskie utracili skutkiem już to wykluczenia, już to wystąpienia, dalej ludzie, którzy nigdy do Stronnictwa Pracy nie należeli i wreszcie członkowie innych organizacji politycznych. Na tym osobliwym zebraniu postanowiono utworzyć jakieś nowe "władze". Jest to oczywiście krok najzupełniej bezprawny, stanowiący jaskrawe pogwałcenie statutu jak i regulaminów stosowanych na emigracji."

"Tygodnik Ilustrowany", Nr 37.

Nie wchodząc w zawikłane i personalne szczegóły tej całej sprawy warto zaznaczyć, że rozwój polityczno-partijnej sytuacji na emigracji idzie w tym kierunku, że partie będą miały po dwa wydania: wydanie pro-rządowe i wydanie opozycyjne. Mamy pro-rządowe wydanie Stronnictwa Ludowego i anty-rządowych Ludowców, — pro-rządowe Stron. Pracy i opozycyjne Stronnictwo Pracy. W każdym razie stanowi to pewne "novum". Takiego systemu dublowania partii politycznych nie znały dotąd dzieje europejskich ustrojów politycznych. Byłoby niewątpliwie prościej gdyby pro-rządowe wydania stronnictw politycznych utworzyły jedno stronnictwo pod nazwą: "Bezpartyjny Blok Współpracy z Ligą Niepodległości" — w skrócie BBWL.

O decyzji z 30 marca

P. St. Mackiewicz wystąpił swego czasu na łamach londyńskich "Wiadomości" (Nr 246) z osobliwym twierdzeniem, że Anglicy gwarantowali nam niepodległość, by ją zniszczyć. Oficjalny "Orzeł Biały" udzielił tej historycznej tezie poparcia i błogosławieństwa stwierdzając na swych łamach, że "jest to teoria, która znajduje wiele uzasadnień w faktach". W jakich "faktach" — to pozostało tajemnicą sztabową "Orla Białego".

W "Kulturze" Nr 6/44 w notatce pt. "Teoria p. St. Mackiewicza" zauważyliśmy skromnie, że teza świetnego pisarza wydaje się nam całkowicie absurdalna.

Obecnie ukazał się czwarty tom trzeciej Serii Dokumentów Brytyjskiej Polityki Zagranicznej w redakcji znakomitego historyka angielskiego prof. E. L. Woodwarda. Tom obejmuje okres polityki brytyjsko-

polskiej 1919-1939. "Times Literary Supplement" w artykule wstępnym analizując dzieje polsko-brytyjskich stosunków politycznych pisze m. in. co następuje: "Polska wycisnęła pieczęć na polityce brytyjskiej przez fakt sprowadzenia jej do sojuszu polsko-brytyjskiego. Pod względem zręczności dyplomatycznej pułk. Beck okazał się lepszym partnerem od ministrów brytyjskich".

Studiując omawiany artykuł "Times Lit. Supp." dochodzimy do wniosku nieco paradoksalnego — mianowicie, że komentatorzy angielscy dopuścili się niemal... plagiatu w stosunku do p. St. Mackiewicza. Ich bowiem zdaniem to właśnie Polska wmanewrowała Wielką Brytanię w sojusz, który dzięki wysiłkom i talentom naszej dyplomacji stał się sojuszem dwustronnym a nie jakimś mętym porozumieniem z udziałem Sowietów. Innymi słowy mamy niemalże teorię p. St. Mackiewicza à rebours — obroconą o 180 stopni.

Ogłoszone obecnie dokumenty wymagałyby rzeczowego polskiego komentatora. Można jednak przyjąć za pewne, że nie dostarczą one materiału faktycznego do poparcia tezy p. St. Mackiewicza.

"Z księgi zazaleń Narodu Polskiego"

Gdyby federacja polegała na jednoczeniu wrogów a nie przyjaciół p. Zygmunt Nowakowski byłby zapewne prezesem polskich federalistów i filarem "Międzymorza". Na łamach londyńskiego "Dziennika Polskiego" (Nr 207) — p. Z. Nowakowski złożył następujące ujmuje swą seraficką prostotą — oświadczenie: "Jako Polak mogę mych nieprzyjaciół policzyć na palcach jednej dłoni: Moskale, Niemcy, Litwini, Ukraińcy i Czesi".

Jeżeli by ktoś przypuszczał, że to wszystko, to jest w błędzie. To dopiero jakieś 290 milionów dusz, bagatelka!

Żeby przypadkiem nikt go nie posadził, że skoro jest wrogiem Moskali to może jest przyjacielem Anglików — p. Z. Nowakowski w "Dzienniku Polski" (Nr 231) złożył następujące wyznanie:

"Po wielu, zbyt wielu latach pobytu w Anglii, nie zdążyliśmy się przywiązać ani do tego kraju ani do jego rozmaitych instytucji. Powiedzmy otwarcie, że nic nas nie obchodzą kłopoty imperium, jego rozpadowanie się, jego grube przykrości z Egiptem czy z Persją".

O drugiej wielkiej demokracji anglosaskiej p. Z. Nowakowski wyraził się następująco:

"W nadchodzącym konflikcie zwycięży albo kultura jaskiniowa, kultura grobów nie skrzynkowych lecz katechetycznych — albo kultura amerykańska. W tym i tamtym wypadku będzie to kultura standardowa, obca nam, zmechanizowana, odpychająca trywialna". ("Wiadomości", Nr 15/263).

Tak wygląda antologia "przyjaźni", wybrana z pism czołowego pisarza naszej emigracji.

Czy naprawdę, by kochać własny naród, musi się być wrogiem połowy ludzkości?

Awanse?

Jeżeli liczni polscy oficerowie — służby stałej, rezerwy i czasu wojny — obecnie bezterminowo urlopowani, którzy ostatnio otrzymali zawiadomienie o przyznanych im awansach — awansowani byli w lipcu 1945 — to dlaczego trzeba było aż pięciu lat by zainteresowanych powiadomić o tym radosnym fakcie? Pięć lat to jest spory kawałek czasu. Normalnie wojna światowa nie trwa dłużej! Co robią nasze ministerstwa Obrony Nar., Generalne Inspektoraty Sił Zbrojnych itp. — jeżeli potrzeba im było aż 5 lat do rozesłania kilkuset listów?

Mówiąc prozą warszawską — coś tu nie gra.

Jeżeli natomiast — co wydaje się daleko bardziej prawdopodobne — awanse przyznawano obecnie a dla nadania im wagi post-datowano je o 5 lat — to jest to operacja bardzo niepoważna.

Wyjaśnienie, jakie ukazało się w tej sprawie na łamach urzędowego "Orla Białego" — niczego nie wyjaśnia.

Jeżeli prawdą jest, że wedle przypisywanego Napoleonowi powiedzenia od wielkości do śmieszności jest tylko krok — to dystans ten w specyficznych warunkach emigracyjnych wynosi zaledwie ćwierć kroku. Warto o tym pamiętać!

Reżimowe wydawnictwa o "Kulturze"

Nakładem "Książki i Wiedzy" ukazała się w Kraju książka p. Romana Werfela pt. "Trzy kłęski reakcji polskiej". Jeden z rozdziałów tej książki poświęcony jest "Kulturze" i jej współpracownikom. P. Werfel zainteresował się szczególnie publicystyką J. Mieroszewskiego.

Zarówno panegiryki jak napaści w piśmiennictwie sowieckim ... są nudne i bezbarwne. Autorowi nie wolno odbiec od sztancy: agenci Wall Street, faszysti, lokaje imperializmu, weterani wywiadów, itp.

Jedyną pozytywną stroną książki p. Werfela jest fakt, że autor zamieścił dość sporo cytatów z artykułów drukowanych w "Kulturze" i wyjątki te mówią same za siebie. Cytaty, choć bardzo dowolnie powyrywane z całości — podane są wiernie.

"Trybuna Ludu" (nr 265) zaszczyliła nas i przedrukowała z omawianej książki fragment dotyczący "Kultury" — pt. "Poza Narodem". Istotnie jesteśmy niewatpliwie — w przeciwieństwie do p. Werfela — poza narodem radzieckim.

LONDYN CZYK.

Kronika niemiecka

Jeszcze o gospodarce IRO.

W czerwcowym numerze "Kultury" zamieściliśmy kronikę z Niemiec, w której poddałmy krytyce gospodarkę IRO. W związku z tą kroniką jeden z pracowników IRO nadał nam wyjaśnienia, które zamieszczamy poniżej w myśl zasady audiatur et altera pars:

1). 1-go lipca 1947 r., tj. w okresie, w którym IRO rozpoczęło swoją działalność w amerykańskiej strefie Niemiec, liczba funkcjonariuszy międzynarodowych wynosiła 719 osób. Cztery lata później, IRO posiadało zaledwie 240-u funkcjonariuszy międzynarodowych zarejestrowanych w spisie personalnym.

2). Co do wysokości poborów maszynistek, to żadna z nich nie pobiera pensji wzmiankowanej w kronice „Kultury”. Sekretarka, będąca jednocześnie stenografką i maszynistką, otrzymuje w amerykańskiej strefie około 190 dolarów miesięcznie. Zatrudnianie sekretarek, których ojczystym językiem jest angielski, jest konieczne, ze względu na to, że praca biurowa Organizacji wykonywana jest głównie po angielsku, a chociaż duża liczba uchodźców oraz obywateli niemieckich włada językiem angielskim, to jednak jest rzeczą oczywistą iż urzędniczki angielskie lepiej pracę wykonać mogą.

3). Niezgodne z prawdą jest twierdzenie, że umowy z międzynarodowym personelem zostały automatycznie przedłużone na rok. Wszyscy bez wyjątku funkcjonariusze międzynarodowi, poczynając od połowy 1949 roku, otrzymują kontrakty jedno-miesięczne, a to bez żadnej gwarancji co do terminu ich zatrudnienia. Przy rozwiązaniu umowy z IRO, urzędnicy międzynarodowi otrzymują zwrot sum, które im odliczano co miesiąc od pensji,

baż jako kasa oszczędności, baż jako zwrot za niezużyte urlopy. Nie otrzymują oni nigdy "6-o miesięcznej" pensji. IRO zwraca funkcjonariuszom międzynarodowym, którzy, po wygaśnięciu kontraktu, powracają do ojczystego kraju, koszt przewozu 500 angielskich funtów (około 230 kilo) bagażu. Z drugiej strony, każdy uchodźca ma prawo, o ile emigruje w celach osiedleńczych, zabrać ze sobą 150 kilo osobistego bagażu i może z łatwością uzyskać podwyższenie tej liczby, o ile chodzi o transport narzędzi pracy, etc.

4). O ile autor powyższego artykułu może wskazać Organizacji w jaki sposób IRO może zredukować swoje wydatki, to powinien to uczynić, gdyż Organizacja na pewno wdzięczna mu będzie za każdą rozsądną sugestję. Niemniej faktem jest, iż przed napisaniem powyższego artykułu nie postarał się autor o sprawdzenie faktów u miarodajnych źródeł, tj. u odpowiedzialnych czynników Kwatery Głównej w Genewie. Wobec tego, że całkowita suma wydatków na personel w strefie amerykańskiej, za okres 18-o miesięczny, na jaki Rada Główna IRO działalność IRO przedłużyła, wyniesie 9 milionów dolarów (wchodzą w to wydatki za okres od 1-go lipca 1950 r. do 31-go grudnia 1951 r.), to chyba jedynie autor powyższej kroniki zdolny jest wskazać sposób, w jaki można by zaoszczędzić 8 milionów dolarów rocznie w strefie amerykańskiej, z chwilą gdy wydatki za 18 miesięcy wynoszą zaledwie 9 milionów dolarów!

5). Jeszcze jedna uwaga. Wydaje się dziwne — jeśli rzeczywiście IRO jest organizacją tak skomplikowaną i tak kosztowną — że rządy krajów zachodnich zwracają się obecnie właśnie do IRO celem zorganizowania przez nie (IRO) zamorskich transportów emigrantów, którzy nie należą do grupy irowskich uchodźców, a to na koszt powyższych rządów. Rządy te motywują tę akcję swą polityką oszczędnościową z jednej strony, a sprawnością IRO z drugiej.

Na prośbę Redakcji autor kroniki niemieckiej, zamieszczonej w n-rze cztercwowym «Kultury» komunikuje w odpowiedzi pracownikowi IRO:

ad 1). W kronice z Niemiec podałem ilość zatrudnionych pracowników międzynarodowych czyli tzw. "1-szej klasy" na 685. Była to cyfra na 1. stycznia br. Naturalnie w kronice pisanej w maju nie mogłem znać ilości pracowników międzynarodowych, jaka będzie zatrudniona 1. lipca br. Z zadowoleniem przyjmuję do wiadomości, że, zapewne nie bez związku z szeregiem wystąpień prasowych, w czerwcu br. podjęto wysiłki, zmierzające do częściowego choćby dostosowania ilości personelu IRO w strefie amerykańskiej Niemiec do zadań jakie stoją przed tą instytucją. 1. lipca 1947 r. ilość pracowników międzynarodowych wynosiła 719 zaś ilość mieszkańców obozów IRO 338.000. W cztery lata później w obozach i zakładach IRO nie było więcej niż 10.000 wysiedleńców, gdyż pozostali przekazani zostali pod opiekę niemiecką. Wynikałoby zatem, że przy 30 krotnym zmniejszeniu się liczby podopiecznych ilość personelu zmniejszyła się mniej niż trzykrotnie. Można zrozumieć, że ilość personelu 1-szej klasy nie może zmniejszać się ściśle proporcjonalnie, ale dysproporcja jest za duża. Faktem jest, że czynności wykonywane poprzednio przez kilkakrotnie tańszy personel miejscowy wykonywane są obecnie przez personel międzynarodowy.

ad 2). Należy przypuszczać, że pracownicy miejscowi, którzy dwa, trzy lata temu pisali listy po angielsku, od tego czasu raczej swą znajomość języka angielskiego pogłębili. Mimo to są oni obecnie zastępowani sekretarkami międzynarodowymi. Uposażenie 190 \$ miesięcznie jest uposażeniem podstawowym i początkowym, do którego dodać należy dodatki za przepracowany okres. Stąd nie wiem, czy znajduje się sekretarka, która by miała 190 \$ miesięcznie. Jeżeli by, jak to twierdzą autorzy sprostowania, wydatki personalne IRO miały wynieść za okres 18 miesięcy w strefie amerykańskiej 9 milionów dolarów, to wy-

nikałoby stąd, że przy 240 pracownikach przeciętne uposażenie wynosi ponad dwa tysiące dolarów miesięcznie. Nawet przyjmując większą ilość pracowników 685 według stanu z początkiem tego roku wypadnie przeciętnie 846 \$ miesięcznie na głowę.

ad 3). Co do przedłużenia umów z personelem międzynarodowym zaistniało istotnie pomyłka. Są one przedłużane nie na rok, a na czas nieokreślony. Nie bardzo mogę zrozumieć, co ma oznaczać owe "potrącanie pracownikom co miesiąc od pensji... zwrotu za niezużyte urlopy". W każdym razie każdy dipis w Niemczech dowiaduje się ze zdumieniem o tym, że międzynarodowi pracownicy 1-szej klasy mieli jeszcze "niezużyte urlopy". Trudno też zrozumieć w jaki sposób w ciągu czteroletniej pracy mogło się nagromadzić 6 miesięcy niezużytego urlopu.

ad 4). Wydaje mi się, że w punkcie drugim wykazałem już w sposób przekonywujący, iż poważne oszczędności byłyby możliwe.

ad 5). Byłbym wdzięczny za zakomunikowanie przez IRO przeciętnego kosztu przewiezienia jednego emigranta do Stanów Zjednoczonych z uwzględnieniem wszystkich wydatków administracyjnych, połączonych z organizacją przewozu.

Niezależnie od tych uwag, związanych ze sprostowaniem IRO, pragnę zwrócić uwagę na to, że instytucja ta potrafi zdobyć się na niesłychanie radykalne cięcia oszczędnościowe tam, gdzie nie wchodzi w rachubę interesy personelu międzynarodowego. Tak np. w 1950 r. zniesiono zupełnie pomoc dla szkolnictwa. Po paru miesiącach miano znów podjąć szkolenie dzieci dipisów ale wobec powzięcia w tej sprawie różnych trudnych do urzeczywistnienia postanowień wykonawczych i wobec szalonego tempa przerywania dipisów z miejsca na miejsce uchwałę, przywracającą etaty szkolne wykonano w minimalnym stopniu. Wreszcie w obecnym sezonie szkolnym wszelkie wydatki na nauczanie zostały już definitywnie skreślone. Tak brutalna akcja oszczędnościowa zdaje się nie harmonizować z bardzo powolnym tempem redukcji innych pozycji.

Jest ona równocześnie dowodem niezrozumienia przez IRO przemian, zachodzących w stosunku do zagadnienia oświaty dla młodzieży uchodźczej! Skoro starzy ludzie czy stare organizacje nie mogą zrozumieć nowych zadań wzgl. nowego pojmowania zadań, to wnioski nasuwają się same przez się: należy nowe zadania powierzyć do wykonania... nowym ludziom. To właśnie było celem mojej krytycznej oceny polityki IRO.

ZAST.

KONTAKTE

MIESIĘCZNE SPRAWOZDANIA Z KONGRESU
WOLNOŚCI KULTURY W NIEMCZECH.

Bezpłatna wysyłka

poprzez niemieckie przedstawicielstwa w:
Frankfurt/Main-Sachsenhausen, Stegstrasse 36

Berlin-Zehlendorf, Schmarjestrasse 4

Najnowsza historia Polski

Dzieje «Rocznika Wołyńskiego»

Na prośbę p. Jerzego Giedroycia przystępuję do skreślenia zarysu dziejów „Rocznika Wołyńskiego”. Czynię to raczej niechętnie, gdyż byłem i jestem wyznawcą zasady, że potomkowie nie powinni pisać o przodkach a rodzice — o własnych dzieciach. „Rocznik” zaś śmiało nazwać mogę własnym dzieckiem...

Odczuwam nadto dotkliwie brak archiwum redakcyjnego, a zwłaszcza zawartej w nim korespondencji. Pisząc zarys ten w dalekiej Afryce z konieczności opierać się musiałem na materiałach ogłoszonych drukiem w „Rocznikach” i własnej, zawodnej pamięci.

J. H.

Aczkolwiek tom I „Rocznika Wołyńskiego” ogłoszony był drukiem w r. 1930, początki tego wydawnictwa sięgają r. 1926-go czy też 1927-go. Na zjeździe wojewódzkim Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych omawialiśmy wówczas sprawę realizacji nowych programów nauczania, które przewidywały m. in. zapoznanie uczniów z dziejami, geografją i przyrodą najbliższego otoczenia. Zabierając głos w dyskusji, sformułowałem wtedy po raz pierwszy potrzebę dostarczania nauczycielstwu materiałów, które umożliwiłyby wykonanie programu i przejście od Wołynia do zagadnień, dotyczących obszaru całej Polski. Wniosek ten poparłem licznymi przykładami z dziejów Wołynia. Obecny na zebraniu przedstawiciel Zarządu Głównego, kol. Kazimierz Maj, chciał skontaktować mnie w tej sprawie ze znanym regionalistą warszawskim, śp. Aleksandrem Pátkowskim. Uchyliłem się od tego, bo moja koncepcja różniła się od „warszawskiej” w wielu zasadniczych punktach. Sprawę realizować postanowiłem na własnym, wołyńskim terenie.

Odbyłem przeto kilka rozmów na ten temat z kuratorem okr. szk. wołyńskiego, p. Szelągowskim, z inicjatywy którego odbyło się w lokalu kuratorium sprawę tej poświęcone specjalne ze-

branie. Wygłosiłem na nim referat pt.: „Stan i potrzeby nauki na Wołyniu i o Wołyniu”. W dyskusji najbardziej rzeczowo ujął sprawę baron Steinheil z Gródka pod Równem. W wyniku konferencji powstał komitet redakcyjny pisma popularno-naukowego pt. „Wołyń” (woj. Henryk Józewski, wicewojewoda Józef Śleszyński, kurator Szelągowski, Joachim Wołoszynowski i niżej podpisany, jako sekretarz komitetu). Na polecenie komitetu zredagowałem listy do kilkunastu profesorów i działaczy z prośbą o nadsyłanie artykułów i materiałów. Listy te nie zawierały danych o wysokości honorariów — i prawdopodobnie dlatego pozostały bez odpowiedzi.

W r. 1928-ym podjąłem sprawę na nowo na posiedzeniu Zarządu „Komisji Wołyńskiej” Zw. Polskiego Naucz. S. Pow.

Tym razem zaproponowałem zorganizowanie w roku następnym wakacyjnego kursu regionalnego i przedstawiłem plan wykładów. Kurs doszedł do skutku. W charakterze wykładowców wzięli w nim udział m. in.: prof. Leon Białkowski z Katol. Uniw. w Lublinie, historyk; profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego: Kaz. Moszyński, etnograf, Jerzy Smoleński, geograf, Jan Zieliński, językoznawca (gwary ukraińskie), Kazimierz Nitsch, językoznawca (wpływ jęz. ruskich na jęz. polski); docenci: Marian Koczwara (flora Wołynia), Marian Nunberg z Cieszyńska (fauna Wołynia), Wiktor Ormicki (geogr. gospodarcza Wołynia i terenowe badania geograficzne), sędzia Adam Bobkowski (prawo zwyczajowe — zwłaszcza spadkowe — na Wołyniu), Michał Drewko (proto-historia Wołynia), Irena i Ludwik Sawiccy (epoka kamienna i ochrona zabytków archeologicznych), mjr. Marian Sokołowski (Wołyń pod względem strategicznym).

Kurs trwał pięć tygodni i odbywał się częściowo w terenie. Z sal szkolnych w Kowlu, Ostrogu, Krzemieńcu itp. przenosiliśmy się z miejsca na miejsce, odbywając wycieczki do Szacka, Piszczu, Gródka, Berestowca itp. Uczestników było około dwudziestu. Jako kierownik a zarazem słuchacz zgodzić się musiałem z prof. Nitschem, że wykształcenie seminaryjne nie wystarczało na to, by uczestnicy mogli w pełni korzystać z kursu na tak wysokim poziomie. Toteż nie dziwi się dziś kuratorowi Szelągowskiemu, że sceptycznie odniósł się do nowych moich projektów, które przedstawiłem mu po kursie. Orzekł jednak, że próbować warto. Próbę podjąłem: „Rocznik Wołyński” wydania się zaczął z powodzi projektów jako coś konkretnego. Pięć obszernych tomów, wydawanych w odstępach rocznych objąć miało całokształt materiałów, potrzebnych do wykonania programu szkolnego. Tom pierwszy objąć miał geografję i przyrodę Wołynia, tom drugi — historię, trzeci — kulturę i szkolnictwo, czwarty — zagadnienia gospodarcze, piąty — społeczne, narodowościowe i polityki wychowawczej. Artykuły miały być utrzymywane na poziomie popularno-naukowym, dostępnym dla ogółu nauczycielstwa.

Z upoważnienia Zarządu Wołyńskiego Oddziału Zw. Pol. N.S.P.

— jako jego prezes — wystosowałem pisma do prelegentów kursu wakacyjnego i kilku innych osób, prosząc o artykuły i przyrzekając honoraria, wzorowane na wypłacanych przez Polską Akademię Umiejętności, tj. 100 zł. za arkusz druku. Wychodził mi z założenia, że o artykuły prosić należy specjalistów, którym trzeba odpowiednio za trud ich zapłacić. Jednocześnie postanowiono powołać do życia Pracownię Regionalną, stawiając jej jako zadanie opracowywanie bieżącej bibliografii wołyńskiej.

Sfinansowanie projektów nasuwało poważne trudności. Na pokrycie wstępnych wydatków mieliśmy drobne oszczędności z kursu regionalnego — woj. Józewski obiecywał pomoc, nie określając jednak bliżej sumy. Z wydatną pomocą, nie finansową — ale moralną i techniczną przyszli nieodżałowani przyjaciele "Rocznika" prof. Jerzy Smoleński i dr Wiktor Ormicki, którzy załatwili w Krakowie sprawę kredytowanego druku w Zakładach Graficznych firmy "Orbis", będącej własnością wdowy po śp. prof. Ludomirze Sawickim. Należność za druk spłacać mieliśmy stopniowo z wpływów z rozprzedaży "Rocznika". Było to, oczywiście ogromnym ułatwieniem.

Artykuły napłynęły nadszpodziewanie szybko i w jesieni 1930 r. ukazał się tom pierwszy "Rocznika". Obejmował on 162 str. druku i 10 plansz, nie licząc ilustracji i mapek w tekście.

Zarówno kur. Szelański jak i woj. Józewski zaskoczeni byli faktem, że doprowadziliśmy druk "Rocznika" do końca. Pomoc finansowa była nad wyraz nikła. Od wojewody otrzymaliśmy mikroskopijną w stosunku do potrzeb kwotę 600 zł. Koledzy moi z Zarządu Z.P.N.S.P. byli zdania, że subwencję tę należy zwrócić. Z trudem powstrzymałem ich od tej demonstracji. Nie wiele więcej — bo tylko 1500 zł. subwencji otrzymaliśmy z Funduszu Kultury Narodowej.

W czasie druku t. I rozpocząłem zbieranie materiałów do t. II i III. Trudno było jednak utrzymać się w ramach ustalonego poprzednio planu. Postanowiliśmy przeto ogłaszać w poszczególnych tomach prace z różnych dziedzin wiedzy — pod warunkiem, że odnoszą się do Wołynia.

Tom pierwszy ukazał się w 1500 egz., które rozchodziły się powoli. Znaczny procent nakładu wchłonęło nauczycielstwo, resztę oddaliśmy hurtowni warszawskiej, z którą jednak rozwiązać wypadło umowę, gdyż nie wywiązywała się należycie z przyjętych na siebie zobowiązań.

Przygotowując materiały do t. II i III spotkałem się z wieloma dowodami życzliwości, słowami zachęty i dobrymi radami. Wspomnieć tu muszę nazwiska mego teścia, prof. Jana Czubka, prof. Stanisława Kota, prof. Leona Białkowskiego. Z autorami lub kandydatami na autorów artykułów miałem jednak wiele trudności, np. z ks. rektorem Janem Fiałkiem, którego prosiłem o napisanie artykułu o początkach biskupstwa polskiego

na Wołyniu¹⁾, nie chciał on sąsiadować na łamach "Rocznika" z "socjalistką Radlińską" i uczonymi ukraińskimi (Lipiński, Krypiakewycz, Korduba), których nazwiska figurowały na liście proponowanych do t. III-go prac. Na próżno tłumaczyłem mu, że prof. H. Radlińska pisać będzie o "Rozwoju szkolnictwa na Wołyniu przed powstaniem szkół Kom. Eduk. Narodowej" i że ramy pisma naukowego są właściwym terenem zbliżenia z uczonymi ukraińskimi. Przypomniałem mu sąd Żeromskiego o współpracy z uczonymi czeskimi (z listu do pani Oktawii Żeromskiej, ogłoszonego współcześnie przez A. Patkowskiego w "Pamiętniku św. Krzyżskim")²⁾. Nic nie pomogło — spotkałem się z uprzejmą, ale stanowczą odmową.

Korespondencja z autorami prac zabierała mi dużo czasu i energii. Obfitowała ona w trudne momenty. Z prof. Stanisława Jędrzejowskim musiałem np. korespondować długo i szeroko na temat zmian w artykule pt. "Wołyń pod panowaniem Litwy". Kiedy indziej zwrócić musiałem doc. Bron. Włodarskiemu ze Lwowa pracę ciekawą, ale utrzymaną na zbyt popularnym poziomie. Sprawę załatwiliśmy zresztą ku obopólnemu zadowoleniu, bo po trzech czy czterech miesiącach otrzymałem od niego cenną i interesującą pracę pt. "Wołyń pod panowaniem Rurykowiczów i Bolesława Jerzego Trojdenowicza", ogłoszoną następnie w t. III "Rocznika". Z tomem tym wiąże się wspomnienie wątpliwości, jakie nasunęły mi określenia protestantów, jako "heretyków" w artykule prof. Aleksandra Kossowskiego z Katol. Uniwersytetu Lubelskiego.

Kontakty z uczonymi ukraińskimi nawiązywałem z trudem. Na wysłane do nich listy odpowiadał mi jedynie Wacław Lipiński z Tobelsbachu, życząc "Rocznikowi" powodzenia oraz zdobywania na współpracowników uczonych ukraińskich. Sam pisać nie mógł — z powodu choroby i bez materiałów, zniszczonych w rodzinnych jego Zaturcach na Wołyniu. Interesował się jednak postępami pracy nad "Rocznikiem" i na kilka tygodni przed śmiercią pisał raz jeszcze, pytając, czy udało mi się pozyskać

1) Ks. rektor Jan Fiałek zajmował się tą kwestią już dawniej i w roku 1903 referował tę pracę na posiedzeniu jednej z komisji Polskiej Akademii Umiejętności. Później zabrał się do niej ponownie, już po moim pobycie u niego, wykończył kompletnie rozdział drugi tej pracy, a do rozdziału trzeciego zostawił sporo notatek i częściowo go tylko opracował. Późniejszy bibliotekarz PAU p. Piotrowicz (ofiara Oświęcimia), za zgodą sekretarza generalnego P.A.U., prof. St. Kutrzeby (także ofiara Oświęcimia), wręczył mi rękopis do wykończenia i ewentualnego wydania. Rękopis z trzema odpisami maszynowymi (gotowymi do druku) pozostał w domu, po wywiezieniu mnie do Rosji, co się z nim stało nie wiem.

2) Stefan Żeromski w liście do pani Oktawii wskazał na realną i konstruktywną pracę W. Goetla, który przez wytyczenie granic Parku Narodowego w Tatrach umożliwił współpracę polsko-czeską na tym odcinku. Zalecał też szukania podobnych precedensów do współpracy polsko-ukraińskiej i polsko-białoruskiej (Rocznik Świętokrzyski t. I.).

współpracowników ukraińskich. Na próżno także nawiązywałem kontakty z otoczeniem gen. Tarnawskiego, prosząc o pracę o Strzelcach Siczowych na Wołyniu w r. 1915/6, która miała być odpowiednikiem artykułu o Legionach Polskich na Wołyniu.

Mówiąc o kontaktach, a raczej o usiłowaniach nawiązania kontaktów z uczonymi ukraińskimi, wspomnę tu jeszcze o metropolicie Szeptyckim i prof. Filarecie Kołessie.

Planowaliśmy ogłoszenie w "Roczniku" cyklu artykułów o dziejach poszczególnych kościołów. W ramach tego planu ukazał się artykuł o protestantyzmie i ciekawy zarys dziejów Karaimów wołyńskich pisał doc. Ananiasza Zajackowskiego. Po otrzymaniu odpowiedzi odmownej od kurii prawosławnej w Krzemieńcu, zwróciliśmy się o artykuł do prof. Kaz. Chodynickiego. Analogiczna prośba o artykuł o dziejach cerkwi unickiej powędrowała do kancelarii metropolity Szeptyckiego. W odpowiedzi otrzymaliśmy pismo w jęz. ukraińskim, obiecujące opracowanie pod warunkiem, że ukaże się ono po ukraińsku. Sprawa nabrała posmaku politycznego. Na posiedzeniu Zarządu zdecydowaliśmy ostatecznie, że zwrócimy się z prośbą o dostarczenie nam ponadto autoryzowanego przekładu polskiego, który ogłoszony będzie równolegle, niezależnie od résumé w jednym z jęz. zachodnio-europejskich. Motywowaliśmy to tym, że "Rocznik Wołyński" czytany jest poza Wołyniem, gdzie nie wszyscy umieją czytać po ukraińsku. Otrzymaliśmy na to odpowiedź, tym razem w jęz. polskim, przyrzekającą artykuł w jęz. polskim z obszernym streszczeniem ukraińskim i krótkim résumé w jęz. francuskim lub niemieckim. Do r. 1939 czekałem na próżno na spełnienie obietnicy. Zapewniano mnie jednak kilkakrotnie, że praca jest w toku i posuwa się naprzód.

Analogiczne trudności natury językowej dyskutowane były z prof. Filaretem Kołessą, autorem zapowiadanej pracy o ukraińskiej pieśni ludowej na Wołyniu. I tu także doszliśmy do kompromisowego załatwienia dwujęzycznego, a raczej dwu-alfabetowego, bo teksty pieśni ogłoszone być miały po ukraińsku i w transkrypcji na czcionkę łacińską.

Długo korespondowałem także z prof. Tomaszewskim, doc. U. Jag. w Krakowie, który obiecał nam artykuł o zagadkowym napisie na portalu cerkwi wasilewskiej we Włodzimierzu. W toku wyjaśniania drobnych wątpliwości, które artykuł jego nasuwał, prof. Tomaszewski zmarł, a od wdowy otrzymaliśmy informację, że życzeniem jego było, by wszystkie pozostawione w rękopisie prace przekazać redakcji wydawnictwa "Analecta Ordinis S. Basilii Magni" w Żółkwi. Tam też praca jego ukazała się ostatecznie, za naszą wiedzą i zgodą, a o perypetiach rękopisu mówił jedynie odsyłacz którego treść uzgodniłem z ks. Skrutniem, red. wydawnictw żółkiewskich.

Próby nawiązania współpracy z uczonymi ukraińskimi nie doprowadziły więc, niestety, do wyników pozytywnych. Łatwiej

poszło mi z Czechami wołyńskimi, o których obiecał napisać p. Pospiszil. O Żydach wołyńskich pisać miał b. przyjaźnie dla "Rocznika" usposobiony prof. Majer Bałaban.

Nadspodziewanie żywe stosunki nawiązałem ponadto z drem Erdmanem Hanischem, prof. Uniw. Wrocławskiego, który w t. VII "Jahrbuecher fuer Kultur und Geschichte der Slaven" omówił obszernie t. I i II "Rocznika Wołyńskiego", a nadto — nawiązując do bibliografii wołyńskiej "Rocznika" omówił obszernie powojenne pozycje bibliograficzne niemieckie, odnoszące się do Wołynia.

Jako redaktor "Rocznika" zabiegałem nadto o pozyskanie współpracownika, który mógłby podjąć się opracowania dziejów Gimnazjum Wołyńskiego, znanego powszechnie pod późniejszą nazwą Liceum Wołyńskiego lub Krzemienieckiego. W świetle materiałów rękopiśmiennych, ujawnionych po r. 1920, cenna praca Mich. Rollego o "Atenach Wołyńskich" była już przestarzała i dlatego należało przystąpić do nowego opracowania dziejów "szkoły Czackiego". Niespodziewanie w sukurs przyszedł mi prof. Józef Ujejski, zwracając moją uwagę na uczenie jego, p. Marię Danilewiczową, która opracowywała dzieje Krzemieńca. Pozyskałem w niej oddanego przyjaciela "Rocznika", który nie tylko zasiliał każdy tom (od II-go poczynawszy) swą pracą, ale ułatwiał uzyskiwanie ilustracji, rękopisów itd.

Innego przyjaciela "Rocznika" zawdzięczam gen. Marianowi Kukielowi, b. memu dowódcy z czasów legionowych. Był nim prof. Adam Czartkowski z Gdańska.

T. II "Rocznika Wołyńskiego" ukazał się w przewidzianym czasie, tj. w r. 1931 — t. III natomiast ujrzał światło dzienne dopiero w r. 1934 po przezwycięzeniu ogromnych trudności finansowych, które uniemożliwiły nam normalną pracę. Był to jednak tom obszerniejszy od poprzednich i, jak mi się wydaje, bardzo interesujący. Zawierał on m. in. obszerną pracę prof. Romana Jakimowicza pt. "Szlak wyprawy kijowskiej Bolesława Chrobrego w świetle archeologii", której pomysł powstał w czasie wspólnej naszej wycieczki archeologicznej po Wołyniu w czasie wieczornej pogawędki na wałach grodziska w Dorobużu.

Dalsze tomy "Rocznika" wychodziły już regularnie i bez większych kłopotów. Od czasu do czasu musiałem jednak odsyłać artykuł autorowi z prośbą o poprawki lub uzupełnienia, albo zrezygnować z ogłoszenia pracy o zbyt subiektywnym czy zbyt popularnym ujęciu.

Druk t. IX rozpoczął się w r. 1939. Przez korekty przeszedł już prace Kucharskiego o Pieczyngach, Mariana Gumowskiego o pieczęciach i herbach miast wołyńskich, Józ. Pużyny o pieczęciach Lubarta i Lubartowiczów, a skład innych został ukończony. Najazd bolszewicki zniszczył całkowicie pracę i zbiory...

Mógłbym na tym zakończyć. Trudno mi jednak powstrzymać

się od nakreślenia uwag o warunkach pracy naukowej na Wołyniu i istniejących tam ośrodkach naukowych, tudzież kontaktach Wołynia z ośrodkami naukowymi w Polsce centralnej.

Po traktacie ryskim, na ziemiach wołyńskich, wchodzących w skład odrodzonej Rzeczypospolitej, nie było właściwie żadnego ośrodka naukowego. Trudno bowiem uważać za taki szkoły średnie, znajdujące się wówczas w stadium organizacji. Istniejące przed r. 1914 zasobne muzeum bar. Steinheilla w Gródku pod Równem uległo w czasie wojny zupełnemu zniszczeniu. Działające podczas wojny światowej Muzeum w Ostrogu, mające za zadanie ratowanie zabytków przed grabieżą, przestało istnieć po r. 1920, gdy zbiory zwrócono prawowitym właścicielom. W Łucku istniało wprawdzie "Wołyńskie Tow. Krajoznawcze i Tow. Opieki nad Zabytkami", ale organizacja ta nie zdołała rozwinąć szerszej działalności. Toteż dopiero w r. 1928 w związku z gromadzeniem materiałów do działu wołyńskiego na Powszechnej Wystawie Krajowej, powstało w Łucku Muzeum Wołyńskie, którego kustoszem był Aleksander Prusiewicz, historyk Kamieńca Podolskiego³⁾ Muzeum to przeszło w r. 1933 na własność Woł. Towarzystwa Przyjaciół Nauk, powołanego do życia w tymże roku. Pierwszym prezesem Towarzystwa był śp. Józef Śleszyński, a sekretarzem niżej podpisany. Nieco później obowiązki sekretarza i bibliotekarza Towarzystwa objął śp. dr Julian Nieć⁴⁾ uczeń prof. W. Konopczyńskiego z Krakowa. Kustoszem zbiorów muzealnych został śp. Jan Fitzke, archeolog, wychowanek Uniwersytetu Jagiellońskiego⁵⁾. Około r. 1936 dołączył się do nich młody historyk sztuki, mgr. Zbigniew Rewski, mianowany na stanowisko wojewódzkiego konserwatora Zabytków Sztuki, a Gimnazjum Państwowe w Łucku pozyskało kilka sił naukowych m. in. Stefana Mackę i etnografa Jaworczaka. Z konieczności musiało nastąpić uzgodnienie i wytyczenie kierunków pracy, by uniknąć ząbienia się inicjatyw i ewentualnych konfliktów. Ustaliśmy więc, że prace większych rozmiarów (z wyjątkiem bibliografii Wołynia) ogłaszać będzie Towarzystwo, prace mniejszych rozmiarów ogłaszać mieliśmy nadal w "Roczniku". W teorii było to załatwienie zadowalające, w praktyce stosunki nie układały się jednak najlepiej i do końca były zaledwie poprawnie chłodne. My byliśmy starymi, zasiedziałyymi w terenie działaczami, oni ludźmi nowymi szukającymi dopiero dróg.

3) Aleksander Prusiewicz przed pierwszą wojną opublikował bodaj w 1912 lub 1913 r. u Idzikowskiego w Kijowie pięknie wydaną książkę o Kamieńcu Podolskim z ilustracjami, czy to był przewodnik, czy historia miasta nie pamiętam. Przy tej okazji, pozwalając sobie przypomnieć, o czym nigdzie w polemikach pism. emigracyjnych się nie spotkałem, że we Lwowie, Kamieńcu Podolskim i bodaj w Bracławiu (?), było trzech wójtów: lacki, ruski i ormiański. Tego rodzaju argument w polemikach na tle samorządu, może się przydać innym później.

4) Nieć Julian zginął w 1939 r. w wojnie polsko-niemieckiej.

5) Fitzke Jan zamordowany przez NKWD w Katyniu.

W r. 1938 powstała ponadto na Wołyniu trzecia placówka naukowa, związana z Liceum Krzemieckim i przez nie finansowana. Był nią Wołyński Instytut Naukowy, utworzony na zjeździe naukowym, który odbył się w Krzemieńcu w dn. 5 i 6 VI. 1938. Na zjeździe tym ustalono generalne linie podziału prac pomiędzy Tow. Przyj. Nauk, Instytutem i "Rocznikiem", który miał już wówczas prace zamówione do t. XV na rok 1945 włącznie. Towarzystwo Przyjaciół Nauk zdołało opublikować przed wojną pracę J. Pronina i S. Macki o wieży entomologicznej, rozprawę J. Samsonowicza o "Gotlandzie, ordowiku i skałach wylewnych na Wschodnim Wołyniu" oraz pamiętnik Ign. Radlińskiego z przedmową prof. L. Krzywickiego. Wołyński Instytut Naukowy nie zdażył wydać żadnej publikacji, ale Liceum Krzemienieckie sfinansowało pracę O. Dyrza pt. "Sukcesyjna zmiana drzewostanów na degradujących się czarnoziemach Podola Wołyńskiego w związku z postępnymi degradacjami", opublikowaną w lwowskim "Sylwanie" w r. 1938.

Omawiając początki "Rocznika Woł.", wspominałem już poprzednio o licznych jego przyjaciółach spoza Wołynia. W toku lat dalszych ilość ich wzrosła i trudno mi powstrzymać się od wymienienia nazwisk osób, którym wiele zawdzięczam, a więc prof. Włodz. Antoniewicza, prof. Franc. Bujaka, prof. Przem. Dąbkowskiego, prof. Włodz. Demetrykiewicza, prof. Stan. Estreichera, prof. Eug. Frankowskiego, prof. Oskara Haleckiego, prof. Ludwika Kolankowskiego, prof. Stanisława Kutrzeby, dr Adama Lewaka, prof. Miecz. Limanowskiego, prof. Stan. Pawłowskiego, prof. Wł. Semkowicza i w. w. in.

Wiele pomocy i dowodów życzliwości doznałem też od Polskiej Akad. Umiejętności i dyrekcji Funduszu Kultury Narodowej. Zmarły niedawno dyr. Stanisław Michalski okazywał nam szczególnie żywą sympatię, której źródłem — jak myślę — poza względami natury ogólnej, były żywe związki jego z Wołyniem: był przecież wychowankiem gimnazjum rówieńskiego. Utrzymywaliśmy także żywe stosunki z Polskim Tow. Ludoznawczym we Lwowie, współdziałając przy rozprowadzaniu ankiet i gromadzeniu materiałów do prac naukowych.

Współdziałaliśmy nadto z redakcjami Polskiego Słownika Geograficznego i Polskiego Słownika Biograficznego. Dla tej ostatniej komitet regionalny, którego byłem sekretarzem, przygotował wykaz 18.000 nazwisk, pochodzących z Wołynia, Podola i Kijowszczyzny.

Jako redaktor "Rocznika" brałem nadto udział — na zaproszenie komitetów zjazdowych w obradach Międzynarodowego Kongresu Geografów w Warszawie, Zjazdu Historyków w Wilnie, Zjazdu Słowistów i Orientalistów itp.

Prace rozwijały się więc na pozór pomyślnie, "Rocznik" zdobył już sobie pewną pozycję i uzasadnił rację swego istnienia. Za kulisami toczyła się jednak nieustannie walka o fundusze na kontynuowanie wydawnictwa. Szczególnie boleśnie dały się

nam we znaki lata kryzysu 1931-4. Od likwidacji uratowało wówczas "Rocznik" nauczycielstwo wołyńskie, zrzeszone w Z.N.P. Okręg Wołyński opodatkował się po 50 gr. mies. od członka. Przy 3.400 członków dało to wreszcie wydawnictwu jakie takie podstawy finansowe, a przede wszystkim świadomość poparcia przez środowisko, dla którego pracowaliśmy.

Od t. IV poczynając "Rocznik" drukowaliśmy na Wołyniu. Dla drukarni samorządowej, będącej własnością sejmiku powiatowego rówieńskiego, był to wyczyn niemały — nie była ona bowiem nastawiona na druk prac naukowych.

Dzięki pomocy nauczycielstwa mogliśmy nie tylko wydawać "Rocznik", ale i subwencjonować prace w terenie, a więc np. gromadzenie materiałów do monografii geograficznych poszczególnych powiatów, badania geologiczne itp. Mieliśmy także wpłacić 3.000 zł. na poczet kosztów planowanej przez Polskę Akad. Umiejętności i Fundusz Kultury Narodowej ekspedycji naukowej, która przeprowadzić miała badania archiwalne w Kijowie. Ekspedycja ta nie doszła do skutku. Planowaliśmy także sfinansowanie ekspedycji naukowej do Szwecji (dokumenty dotyczące Karola XII i Wołynia).

"Rocznik" nawiązał kontakty wymienne z licznymi instytucjami polskimi i otrzymywał regularnie ich wydawnictwa. Analogiczne stosunki nawiązywaliśmy z Czechami, Słowakami, Bułgarami, Serbami i Chorwatami.

Bezsukcesywnie natomiast podejmowaliśmy próby nawiązania kontaktów naukowych z Białoruską Akademią Nauk w Mińsku. Od Kijowskiej Akad. Nauk otrzymaliśmy od czasu do czasu luźne tomy wydawnictw, było to jednak b. dalekie od normalnych stosunków naukowych. Niewiele lepiej układały się próby nawiązania wymiany wydawnictw z Leningradem, choć przysyłano nam stamtąd kilka wydawnictw ciągłych.

Wymianą wydawnictw objęliśmy także Niemcy, Finlandię, Węgry itd. Ogółem wysyłaliśmy zagranicę ok. 40 egzemplarzy.

Na marginesie prac redakcyjnych "Rocznika" współpracowaliśmy przy reedycji t. I i przygotowaniu do druku t. II i III "Polskich rodów szlacheckich Wołynia, Podola i Ukrainy" F. Pułaskiego i pamiętnika Ign. Radlińskiego, do którego pozyskaliliśmy przedmowę prof. Ludwika Krzywickiego.

Redagowałem ponadto w ramach prac Sekcji Regionalnej obszerną Bibliografię Wołynia. Druk jej miał się rozpocząć w grudniu 1939 r., objąć miała ok. 24.000 poz. w pięciu tomach z indeksami osobowymi i rzeczowymi⁶⁾.

6) Bibliografia ta została także w domu i zagarnęła ją NKWD. Tak zwana "Filia Ukrainńskiej Akademii Nauk", tj. Biblioteka im. Ossolińskich, przez swych dwu wybitnych profesorów, starała się wydestakować tę bibliografię, o czym mi wspomnieli panowie pisali przed zaarrestowaniem mnie na posiołku (nazwisk ich nie wymieniam ze zrozumiałych względów). NKWD odpowiedziało im, że może się jedynie zgodzić na to, by albo tę bibliografię przezdokumentowano, albo przepisano. Naturalnie był to taki koszt, że "Filia Ukr. Akademii Nauk"

Wydać nadto zamierzaliśmy z rękopisu Bibl. Narodowej w Warszawie, dochowany tam w Zbiorach rapperswilskich "Stan służby pułku jazdy wołyńskiej (Edm. Różyckiego) z r. 1863-4. Innym projektowanym wydawnictwem były "Początki biskupstwa łańcuckiego na Wołyniu" z rękopisu pozostawionego przez śp. ks. Jana Fiałka.

Prace nasze omawiane były stale w polskich czasopiśmie naukowych ("Kwart. Historycznym", "Nowej Książce" itp.).

Nieoczekiwanie żywe zainteresowanie okazywały "Rocznikowi" czasopisma naukowe niemieckie np. "Zeitschrift für Ost-europäische Geschichte".

Przed wszystkim jednak "Rocznik Wołyński" znajdował żywy oddźwięk w środowisku, dla którego był wydawany. Znalazło to m. in. wyraz w pracach naukowych, podejmowanych przez nauczycieli (Borys Kostecki, Nazar Dymnycz itd.). Nazar Dymnycz, poza pracami ogłoszonymi w "Roczniku" przygotował obszerną pracę o pieczywie weselnym we wsi Kremsz pow. horochowskiego, referowaną na posiedzeniu Komisji Antropologicznej P.A.U. przez dr T. Seweryna (cf. Sprawozdania PAU, 1936, zesz. I). Liczne grono nauczycieli wołyńskich brało udział w gromadzeniu materiałów, dotyczących zmiany własności po reformach rolnych z r. 1864, 1905 i 1920 - 1936. Pracami tymi interesował się prof. Fran. Bujak.

Innym kierunkiem oddziaływania na nauczycielstwo wołyńskie było, że się tak wyrażę, "prostowanie kręgosłupa". Nauczycielstwo na prowincji podlegało nie tylko pauperyzacji, ale — niejednokrotnie — także i "schłapieniu" (w pejoratywnym tego słowa znaczeniu), ulegało naciskom władz administracyjnych i wojskowych. "Rocznik" i związane z nim prace były pewną przeciwwagą tych wpływów, dających się szczególnie we znaki przy "rewindykacji dusz prawosławnych", wyborach do ciał samorządowych i ustawodawczych itp.

Poprzez ankiety itp. "Rocznik" oddziaływał także pośrednio i na chłopów, którzy wciągani byli do pracy przy zbieraniu materiałów etnograficznych itp. Wymownym tego przykładem był Piotr Kołomyj.

Kończąc ten szkic daję zestawienie statystyczne i wykaz prac ogłoszonych w ośmiu tomach "Rocznika"⁷⁾.

Jakub HOFFMAN.

nie mogła się tego podjąć. Mam wrażenie, że praca 15 lat przepadła (nie tylko moja).

7) W liczbę stron wliczam tu także tablice z ilustracjami, co się nie zgadza z ilością stron podanych w Spisie treści danych tomów.

Tom I	rok wydania 1930	str. IV + 162
" II "	" 1931 "	" X + 584 plus mapa jednobarwna
" III "	" 1934 "	" VI + 678 + mapa kolorowa
" IV "	" 1935 "	" X + 348
" V-VI "	" 1937 "	" VIII + 537 + 2 mapy kolorowe [i mapki w tekście]
" VII "	" 1938 "	" VII + 463 + tablice trójbarwne
" VIII "	" 1939 "	" VI + 492 + 2

Wykaz prac ogłoszonych w Rocznikach Wołyńskich wedł. działów

RELIGIA (dzieje grup wyznaniowych i poszczególnych kościołów):

Chodynicki Kazimierz: Z dziejów prawosławia na Wołyniu. t. V-VI, str. 53.

Czyżewski F. ks. prał.: Zapiski z ksiąg metrykalnych parafii Łanowce. T. VII, str. 20.

Giżycki-Gozdawa J. M.: Klasztor oo. karmelitów bosych w Wiśniowcu. T. VIII, str. 41.

Kossowski Aleksander: Zarys dziejów protestantyzmu na Wołyniu w w. XVI i XVII. T. III, str. 27.

Kraszyńska Fanny: Żydzi łucey do końca XVII w. T. VII, str. 39.

Sobolewski F., ks.: Z dziejów klasztoru franciszkańskiego w Korcu. T. III, str. 17.

Sobolewski F., ks.: Dzieje kościoła parafialnego w Bereźnicy. T. VII, str. 50.

Zajączkowski Ananiasz: Karaimi na Wołyniu, T. III, str. 42.

Razem str. 289.

Statystyka, ekonomiczne i gospodarcze sprawy:

Bonkiewicz-Sittauer J.: Osadnictwo wojskowe. T. III, str. 44.

Ornicki Wiktor: Z geografii gospodarczej Wołynia. T. I, str. 18.

Ornicki Wiktor: Przyczynę do demogeografii Wołynia. T. III, str. 20.

Rühle Edward: Wykorzystanie materiału geologicznego w ptn.-zach. części woj. woł. T. IV, str. 14.

Sowiński Mieczysław: Dochodowość gospodarstw włościańskich na Wołyniu w 1927-1930 r. T. III, str. 43.

Razem str. 149.

Szkolnictwo i oświata

Lisiecki L.: Z życia młodzieży gimnazjalnej w Żytomierzu w ostatnim 10-leciu zeszłego wieku. T. IV, str. 27.

Materiały w spr. tajnego nauczania na W. w czasach zaborczych. T. III, str. 23.

Michalski Stanisław: Wspomnienia szkolne. T. V-VI, str. 6.

Mickiewicz-Rymwid Władysław: Wspomnienia z lat szkolnych w Równem 1900 - 1906 r. T. VII, str. 18.

Morkiewicz B.: Wspomnienia z lat szkolnych 1890 - 1900. T. V-VI, str. 6.

Szczepkowski Mieczysław: Wspomnienia. T. V-VI, str. 6.

Razem str. 84.

Liceum Krzemieckie

Danilewiczowa Maria: Życie literackie Krzemieńca w latach 1813 - 16. T. II, str. 20.

Danilewiczowa Maria: Towarzystwo Uczniów Liceum Woł. ćwiczących się w porządnym mówieniu i pisanu 1818-23. T. III, str. 36.

Danilewiczowa Maria: Wiadomość o bibliotece L.K. i onej porządku udzielona przez Pawła Jarkowskiego Joachimowi Lelewelowi w r. 1825. T. IV, str. 24.

Danilewiczowa Maria: Lustracje dóbr L. K. w 1818 i 1824 r. T. V-VI, str. 35, tabl. 20.

Danilewiczowa Maria: Wspomnienia Krzemienieckie Domicjana Mieczkowskiego. T. VIII, str. 34.

Razem str. 149, tabl. 20.

Geologia

Małkowski Stanisław: Z geologii Wołynia. T. II, str. 18.

Razem str. 18.

Archeologia

Sawicki Ludwik: Z zagadnień prehist. dyluwialnej. T. III, str. 9.
Jakimowicz Roman: Szlak wyprawy kijowskiej Chrobrego w świetle archeologii. T. III, str. 102¹⁰).

Razem str. 111.

Etnografia

Bobkowski Adam: Skład rodziny włościańskiej a zwyczaje spadkowe na Wołyniu. T. I, str. 11.

Dworakowski Stanisław: Obrzędy weselne w Niemowiczach. T. VIII, str. 30.

Dymnycz Nazar: Obrzędy i wierzenia ludowe w okresie świąt Bożego Narodzenia. T. I, str. 12.

Dymnycz Nazar: Obrzędy i wierzenia w okresie Wielkiej Nocy, T. II, str. 7.

Dymnycz Nazar: "Święto Iwana Kupajła" na Wołyniu. T. II, str. 7.

Filipowicz Kazimierz: Pieczywo weselne w pow. lubomelskim. T. VIII, str. 20.

Guzowska Angielina: Stroje ludowe w pow. zdołbunowskim. T. III, str. 10.

Guzowska Angielina: Technika haftów ludowych. T. VII, str. 12.

Hoffman Jakub: Pisanki Wołyńskie. T. I, str. 40.

Kostecki Borys: Chata wiejska na Wołyniu. T. I, str. 13.

Morełowski Marian: Hafty ludowe Wołynia. T. VII, str. 81.

Razem str. 243.

Botanika

Koczwarra Marian: Geobotaniczne stosunki Wołynia. T. I, str. 52.

Maćko Stefan: Badania nad rozmieszczeniem i biologią azalii pontyjskiej w Polsce. T. II, str. 32.

Panek Józef: Roślinność okolic Równego. T. I, str. 22.

Panek Józef: Zespół wisienki stepowej. T. II, str. 23.

Panek Józef: Roślinność stepowa i naskalna lessowego Wołynia. T. VIII, str. 40.

Razem str. 179.

Sztuka

Molendziński Kazimierz: Klasztor pofranciszkański w Międzyrzeczu Ostrogskim. T. IV, str. 54¹⁰).

Muszyńska-Krasnowolska M.: Kolegium pojezuickie w Krzemieńcu. T. VIII, str. 107¹⁰).

Tomkiewicz Władysław: Dzieje zbiorów zamku wiśniowieckiego. T. III, str. 33¹⁰).

Walicki M.: Średniowieczne cerkwie we Włodzimierzu. T. II, str. 12.

Razem str. 206.

Literatura

Bar Adam: J. I. Kraszewski na Wołyniu. T. IV, str. 38.

Łysek Franciszek: Z przeżyć Kraszewskiego na Wołyniu. T. VII, str. 11.

Mioduszeński Jan: Fajkarz zamyślony. T. III, str. 3.

Razem str. 52.

Historia

Dymnycz Nazar: Dawne cechy i gospody w Horochowie. T. IV, str. 6.

Hoffman Jadwiga: Udział Wołynia w powstaniu kościuszkowskim. T. II, str. 20.

Hoffman Jadwiga: Legia litewsko-wołyńska 1831 r. T. II, str. 28.

- Hoffman Jakub: Wołyń w walce 1831 r. T. II, str. 43.
 Hoffman Jakub: Walki o Redutę Piłsudskiego. T. II, str. 49.
 Hoffman Jakub: Pamiętnik Jana Augusta Chranickiego 1864 r. T. II, str. 35.
 Janik Michał: Wołyniacy na Syberii. T. II, str. 42.
 Lewicki Kazimierz: Ostrogscy w służbie Rzplitej. T. VII, str. 70.
 Małachowski-Lempicki St.: Wielka prowincjonalna łoża w. T. II, str. 39.
 Małachowski-Lempicki St.: Fabryki porcelany i fajansu na Wołyniu. T. III, str. 47.
 Nieć Julian: Wizerunek kresowego szlachcica. T. VIII, str. 35.
 Pawłowski Bronisław: Wojna polsko-rosyjska 1792 r. T. IV, str. 52.
 Przewalski Stefan: Boremelskie boje. T. II, str. 11.
 Przewalski Stefan: Odezwy z 1831 r. T. V-VI, str. 8.
 Przewalski Stefan: Pierścień jazdy wołyńskiej. T. VIII, str. 6.
 Walewski K.: Materiały biograficzne. T. III, str. 6.
 Tomkiewicz Władysław: Wołyń w Koronie. T. II, str. 40.
 Włodarski Bronisław: Wołyń pod rządami Rurykowiczów i Bolesława Jerzego Trojdenowicza. T. III, str. 43.
 Zajączkowski Stanisław: Wołyń pod panowaniem Litwy. T. II, str. 25.
 Razem str. 552.

Geografia

- Borusiewicz A.: Krainy geograficzne W. T. VIII, str. 25.
 Buczek Karol: Wołyń w dawnej kartografii. T. IV, str. 37.
 Kołomyj Piotr: Nazwy topograficzne zebrane we wsi Gródek. T. II, str. 7.
 Ormicki Wiktor: Samodzielne badania geograficzne na prowincji. T. II, str. 23.
 Rühle Edward: Jeziora krasowe zach. części Polesia Woł. T. IV, str. 31.
 Rühle Edward: Studium powiatu kowelskiego. T. V-VI, str. 254, mapy 2.
 Smoleński Jerzy: Z geografii fizycznej Wołynia. T. I, str. 4.
 Szulmiński M. St.: Zofiówka. T. IV, str. 19.
 Razem str. 400, mapy 2.

Akta wydane

- Hoffman Jakub: Księga wizyt generalnych szkoły oo. pijarów w Dąbrowicy. T. III, str. 33.
 Hoffman Jakub: Akta kościoła farnego ostrońskiego od 1622 r. T. III, str. 22.
 Hoffman Jakub: Księga wizyt kościoła parafialnego w Płoczu. T. IV, str. 19.
 Nowicki Józef: Osiedłość miasta Ostroga anno 1708. T. VII, str. 49.
 Pohorecki Feliks: Kilka uwag o dyplomach i aktach woł. T. VII, str. 17.
 Razem str. 142.

Bibliografia

- Hoffman Jakub: Bibliografia Wołynia. T. II-VI i VIII, str. 483.
 Łozowski I.: Bibliografia artykułów naukowych ogłoszonych w "Wołyńskich Eparchialnych Wiadomościach" w latach 1867-1915 (całość wydawnictwa). T. VII, str. 170.
 Razem str. 653.

Indeksy (Hoffman Jakub). T. II-VIII, str. 136.

Razem str. 136.

Jakub HOFFMAN.

Kronika kulturalna

List do Gombrowicza

Panie Gombrowicz!

Pan ośmielił się napaść w brutalny sposób na poezję i poetów. Pan obrażasz uczucia tysięcy ludzi, którzy piszą wiersze i z drżeniem serca czekają na odpowiedź z redakcji. Pan podgryzasz fundamenty bytu działaczy na niwie kultury, którzy czerpią dochód z kultu wieszczów. Pan niszczysz i mnie, który wypowiadam się niekiedy mową wiązaną. To wszystko można byłoby Panu wybaczyć, gdyby Pan nie miał racji. Ale Pan, mówiąc "iż nikt prawie nie lubi wierszy i że świat poezji wierszowanej jest światem fikcyjnym oraz sfałszowanym" ma całkowitą słuszność. Co więcej, kiedy się czyta Pana, dochodzi się do radosnego wniosku, że człowiek, nawet w nieprzychylnych okolicznościach, zdolny jest zachować zdrowie umysłu i szacunek dla prawdy. Jeżeli to Pana interesuje mogę też powiedzieć, że jest Pan jednym z niesłychanie nielicznych autorów polskich przebywających za granicą, którzy są wciąż czytani i po cichu cenieni w Polsce. Jakże mógłbym z Panem się nie zgodzić, kiedy Pan myśli mądrze i dobrze pisze? Zgadza się więc, ale pod pewnymi warunkami.

Warunek pierwszy. Że to, co jest obroną poezji przed bzdurą i fałszem nie będzie przedstawiane jako atak na nią. Gdyż w istocie ten atak jest protestem Witolda Gombrowicza przeciwko wymokłemu i obłemu światu, w którym żadna myśl, żadne uczucie nie są ostre i śmiałe, gdzie wszystko rozplywa się w nieokreślonych gestach i grach, gdzie nie ma o czym mówić. "Jeden drugiego czule obejmuje... ale pomimo czułości kordialności owej Rozmowa coraz im przygasa, albo się rozkłada, bo to jeden gada, a drugi w roztargnieniu, w Zapomnieniu jakimś już i Słuchać przestał, już sobie Skarpetkę ogląda. Mówią tedy: — Wyszła ta Rewista? — A mnie 50 Pezów za artykuł zapłacono. — Jak się masz, jak się masz? A co tam

nowego? — Ileż tyż ten Plac kosztował? — Ja sobie skarpetki sprawilem. Wtem wszyscy razem ręce do góry wzniesli i za głowy się łapiąc, na głos zawołali: — O, cóż to Mówimy? O, dlaczego Mówić nie umiemy?! O, czemuż siebie samych nie Szanujemy i nie Zaszczycamy?! O, dlaczego tak Płasko, tak Płasko, tak Płasko?! Więc do siebie wzajem Przyskakuja, jeden drugiemu Honor świadczy, jeden do drugiego "Maestro, maestro", a "Gran Escritor" a "Que Obra" a "que Gloria", cóż kiedy zaraz im się rozlało i w roztargnieniu znów Skarpetki sobie oglądają". ("Transatlantyk"). I wiersze pisane przez tych ludzi, zapelniające stronicie rewistas argentyńskich czy francuskich, polskich czy angielskich, na równi są niemożliwe do czytania, nieinteresujące dla nikogo prócz ich autorów.

Warunek drugi. Że będzie przeprowadzone rozróżnienie pomiędzy "poezją czystą" i "poezją wierszowaną". Nie każda "poezja wierszowana" jest "poezją czystą" w tym znaczeniu jakie "czystość" nadał wiek dwudziesty, tj. w znaczeniu potraw przyrządzanych z samego cukru, najwyżej z dodatkiem miodu. "Poezja czysta" jest jedną z aberracji umysłowych. Słusznie woła Witold Gombrowicz w "Transatlantyku": — "Nie lubię ja gdy Masło zbyt Maślane, Kluski zbyt Kluskowe, Jagły zbyt Jaglane, a Krupy zbyt Krupne". Ani "Pan Tadeusz", ani "Faust" ani dramaty Szekspira nie należą do "poezji czystej" choć są wierszowane. Inną zupełnie rzeczą jest czystość tonu, która winduje wypadki zwykłe, albo nawet trywialne w wymiar trwałości, co zakłada jednak wspólne zainteresowanie autora i czytelnika tymi wypadkami, a nie tylko samym tonem. Czyli prawdziwa "magia" jest tylko wtedy, kiedy jest niedostrzegalna, kiedy czytelnik czuje, że autor używa rytmu i obrazów jako środka, żeby coś powiedzieć, a nie jako celu samego w sobie. Chciałbym dać przykład jakiegoś krótkiego utworu wierszem, który lubię i który nie podpadałby pod zarzuty Gombrowicza. Przychodzi mi na myśl ballada ludowa staro-angielska w przekładzie niezapomnianego Edwarda Porębowicza. Oto tekst tej ballady — "The bonny hind":

PIĘKNA ŁANI

Chodziła panna, chodziła panna
Przez cieniste ogrody,
A tam młodego naszła rycerza
Przecudnej urody.

Chodziła panna, zrywała panna
To ogrodowe kwiecie,
Tam napotkała młodego chłopca
Najpiękniejszego w świecie.

— Oddaj mi wianek, piękna panienko,
Oddaj wianek dziewczęcy,
Oddaj mi wianek, piękna panienko
Moje ty sto tysięcy. —

Wziął ją za rękę, wiódł na murawę,
Na mileńkie pieszczoty,
A kiedy wstali z darni zielonej
Dał grzebień szczerozłoty.

— Może mieć będę córeczkę małą,
Może mieć będę syna:
Niechaj-że wiedzą zacny dworaku
Jaka jest ich rodzina. —

— Nie jestem dworak, luba dziewczyno,
Przybyłem dziś zza morza,
Anim był dworny, chyba dla ciebie,
Moja panienko hoża.

Zowią mię Jackiem tam na pokładzie,
Albo mię zowią Janem,
Lecz kiedy jestem w rodzica domu,
Jack Randal zwę się mianem. —

— Kłamiesz, o kłamiesz mój piękny panie!
Lord Randal nie ma syna:
Lorda Randala ja jestem córką
I w domu jam jedyna. —

— Kłamiesz, o kłamiesz, piękna dziewczyno
I nie znasz w kłamstwie sromu:
Ja jestem lorda Randala synem,
Powracam dziś do domu. —

Sięgnęła ręką za pas złocisty
Po sztylet obosieczny,
I otworzyła nim w piersiach ranę
Dla swojej krwi serdecznej.

Podniósł rękoma swą piękną siostrę
Po licach tży mu płyną:
I pogrzebał ją i pochował ją
Pod zieloną olszyną.

I jechał dalej do ojca dworu
I ozwał się śpiewem:

— O moja tani, o moja piękna
Pod tym zielonym drzewem. —

— Czemu to płaczesz nad piękną łanią,
Czemu to myślisz o niej?
Jest w mym zwierzyńcu jeleni stado
I nikt ci ich nie broni.

Jest osiemdziesiąt srebrzysto-siwych,
Ile chcesz, wybierz ino. —
— O moja łani, o piękna łani
Pod zieloną olszyną. —

— Dlaczego szlochać nad piękną łanią
I żalić się jej straty?
Zabierz ty lepsze, ja gorsze wezmę,
Zwierzyńiec mój bogaty. —

— Nie dbam o twoje, ojczę, jelenie,
I gardzę twą zwierzyną:
O moja łani, o piękna łani
Pod zieloną olszyną!

Mam nadzieję, iż Witold Gombrowicz zgodzi się ze mną, że to jest piękny utwór. Cóż z niego zostałoby, gdyby usunąć rytm, powtarzalność pewnych słów na końcu linijek wiersza i symetryczność dialogów? Nie więcej niż zdarzenie ze średniowiecznej kroniki kryminalnej. I tylko pewien rodzaj inkantacji nadaje temu zdarzeniu siłę zdolną nas wzruszyć. Słuchacz, przekazujący tę pieśń z ust do ust, zanim nie została wreszcie zapisana, nie troszczyli się o "magię", nie oddzielali jej od zdarzenia, które działało na nich tak, jak na warszawskiego słuchacza działały wypadki w balladzie o pani Wiśniewskiej.

Warunek trzeci. Że Witold Gombrowicz weźmie pod uwagę zmiany, jakie zaszły w ciągu ostatnich lat w poezji kilku narodów, w tej liczbie i polskiego. Atak na "poezję czystą" był prowadzony w pewnych kołach literackich w Warszawie czasu wojny, był też prowadzony z powodzeniem po wojnie. Był to atak słuszny i potrzebny. Jednakże rządzący, popierając tę tendencję, mieli na widoku "etap następny", tj. zaprzęgnięcie poezji w służbę państwa. Atak Witolda Gombrowicza różni się odrobinę od podobnych ataków w kraju, a jak wiadomo w tych sprawach "odrobina" decyduje o wszystkim.

Malarstwo, poezja czy muzyka mogą służyć państwu i nie-raz służyły w przeszłości, jednak były to państwa oparte na podstawach religijnych. Dawne religie nie stały w sprzeczności z trudną do określenia zasadą sztuki, zapewniały poecie, malarzowi czy muzykowi wylot w przestrzeń, w obrazy i pojęcia zawarte w samej religii. Co innego religia świecka diamentu czyli materializmu dialektycznego z odpowiednimi poprawkami i surami. Oczywiście zachodzi sprzeczność nie do usunięcia pomiędzy diamentem i prawdziwą twórczością artystyczną

i tej sprzeczności są doskonale świadomi filozofowie partyjni, nie mając zamiaru, to jasne, poświęcać diamentu. Gdyby jednak poezja była mało ważną rozrywką, czymś w rodzaju szachów czy filatelistyki, nie robiliby tylu wysiłków, aby ją mieć i popierać. Przeciwnie, uważają ją za jedno z najpotężniejszych narzędzi do władania umysłami, bo przy pomocy fałszywej poezji ubierają to co konieczne w sentymentalną sukienkę ("Deszczyk majowy spadł / Słychać słowicze trele / O, jakże piękny jest świat / Ze Związkiem Radzieckim na czele").

Sytuacja w Polsce w niczym więc nie przypomina rozmów jegomościów oglądających swoje skarpetki. Publiczność na wieczorach autorskich zaczyna klaskać nie wtedy, kiedy na twarzy siedzącego obok snoba ukaże się wyraz rozmodlenia i kiedy jego ręce złożą się do oklasku. Oklaski rozlegają się wtedy, kiedy każdy mówi sobie: "aha, już", tj. kiedy pada oczekiwana z góry aluzja polityczna albo słowo, które wywołuje oklaski mocą odruchu warunkowego (np. nazwiska wodzów, hasła aktualne w danej chwili itp.). Jest to permanentny jubileusz.

Z tym wszystkim w ciągu lat powojennych dokonano w Polsce ogromnej pracy nad stylem poetyckim, przywracając nadwątloną konstrukcję zdania, tępiąc przerost metafor i "poetyczność" obrazów, tudzież niezrozumiałstwo wynikające zbyt często nie z nadmiaru, a z niedomiaru treści. Można mówić o powstaniu nowego języka, który różni się od języka sprzed r. 1939 jakby upłynęło 30 lat. Ten nowy język, dzięki temu, że ożyło zainteresowanie dla różnych odmian metrum, jest zwłaszcza podatnym instrumentem przekładu poetyckiego. Warto o tym wspomnieć, bo Gombrowicz, przebywając w Argentynie, dokonał w "Transatlantyku" prawdziwego tour de force w języku polskiej prozy, odnawiając z powodzeniem styl diariuszy i pamiętników tak dobrze wpadający w ucho nawyk do polszczyzny.

Niestety, w Polsce dziecko zostało wylane razem z kąpielą, czyli ten nowy język poezji został użyty nie do "porozumienia człowieka z człowiekiem", a do porozumienia państwa z człowiekiem — dość jednostronnego porozumienia. Gombrowicz powiada: "W miarę jak Zwiężenie stawało się coraz Węższe, nieokreślone niczym Piękno stawało się coraz Piękniejsze, Głębia coraz Głębsza, Szlachetność coraz Szlachetniejsza, Czystość coraz Czystsza". Coś podobnego — choć na odwrót — zachodzi i w Polsce, gdzie zwiężenie jest politycznej natury. Prawdopodobnie pociąg do piękna i szlachetności nie da się wypłenić w poetach, łączy się to jakoś z artystycznym przekształceniem, "idealizowaniem" świata, możliwe jednak jest uniknięcie zwiężenia, które doprowadza do duszności, do tej choroby, którą nazwano "peu de réalité". Dlatego wystąpienie Witolda Gombrowicza przeciwko poetom powinno prowadzić do pytania: w jaki sposób można uniknąć obrzydliwych cech "poezji czystej" i uzyskać wielkie Rozszerzenie, nie wpadając w ten nowy ga-

tunek "alienacji", który jest narzucony poetom na Wschodzie. O nich też należy pamiętać.

Pod tymi warunkami zgadzam się z Panem i nie tylko zgadzam się, jestem zachwycony. Możliwe że moja skwapliwość pozostaje w niejkiej sprzeczności z moją praktyką. Wynika to albo z zasadniczej niemożności "epoki" (a nie z niemożności poetów zawsze i wszędzie), albo z osobistych niedostatków. W każdym razie odstępstwa nie umniejszają poprawności rozumowania.

Czesław MIŁOSZ.

Bernardyni w USA

Jest faktem, który warto co najmniej stwierdzić: nasza literatura nie wydała dotąd ani jednej postaci księdza, godnej uwagi katolickiego czytelnika. Jak na piśmiennictwo Polski "odwiecznie katolickie" — rzecz to naprawdę zadziwiająca.

Mam oczywiście na myśli księdza w jego roli istotnej: kapłana prowadzącego dusze ludzkie do Boga¹⁾. Owszem, nie brak nam poubieranych w sutanny postaci szlachetnych i mniej szlachetnych społeczników, patriotów, aktywistów, filantropów, wszelakiego rodzaju dobroczyńców czy też zawołanych gospodarzy, asystujących "dopuszczaniu" byka, albo macających kury — a potem "mruczających" w czasie Mszy św. — "niezrozumiałe łacińskie pacierze", "hukających" od ołtarza pod wtór dzwonek ministerialnych i w kadzidlany obłoku swoje Dominus vobisum: To jest mniej więcej cała encyklopedia tego, co polscy pisarze, z małymi wyjątkami, wiedzieli i dziś jeszcze "wiedzą" o swej religii i roli księdza w niej. Nawet Sienkiewicz, który porwał się na przedstawienie św. Piotra i św. Pawła, dał nam jedynie sylwetki dwu wędrownych pastorów jakby z czasu osiemnastowiecznego walijskiego "Methodist Revival". Jego chrześcijaństwo w "Quo vadis" jest bowiem niemal protestanckie, nieeucharystyczne, sentymentalno-kaznodziejsko-moralizatorskie i taki też, bez zrozumienia tego Ośrodka, którym jest Eucharystia, sentymentalno-tradycyjno-spo-

1) Chcąc być dokładnym, należy wskazać na dwa wyjątki: Kapelan z tomu opowiadań W. Żukrowskiego "Z krainy milczenia" i — przede wszystkim — ksiądz Sadok z obu powieści Grabskiego "W cieniu kolegiaty" i "Konfesjonał". Jednak sytuacje i faktura Grabskiego, mimo znakomitych miejsc, są echowe, wtórne. Jest to tylko wysoce interesująca próba, co nie przeszkadza, że gdyby nie niegodne szanującego się pisarza partyjne porachunki i wykrzywienia w końcowej części książki, "Konfesjonał" byłby — nareszcie — pierwszą polską powieścią katolicką.

łeczniowski jest obraz chrześcijaństwa w polskich powieściach, których autorzy parali się w jakiś sposób z postacią księdza.

Powodów tej nieobecności kapłaństwa w polskiej literaturze jest wiele, nie tylko sama ignorancja religijna. A za jeden z nich ponosi winę fałszywa apologetyka, szerszona z wydawnictw oficjalnych i z naszej ambony: podkreślająca, gdy mowa o kościele i kapłanie głównie wartości drugorzędne zamiast istotnych, rolę cywilizacyjno-patriotyczną zamiast, w pierwszym rzędzie, nadprzyrodzonej, kastowości czy klasowości zamiast sakralności, organizację zamiast Organizmu.

Kiedy już mowa o czysto utylitarnym stosunku do księdza i religii: Przy różnych okazjach różni eksponowani rodacy, politycy i wojskowi, lubią podkreślać nierozzerwalny związek Polski z "chrześcijaństwem" i "Kościołem", szczególnie w ostatnich latach w nadziei, że to musi zdenerwować Stalina i reżim w kraju. Kiedy jednak mówią lub piszą szczerze z własnej "pełności serca" — daremnie szukać podkreślenia roli tych, którzy to chrześcijaństwo i ten Kościół, tym razem już bez cudzysłowów, jak najautentyczniej reprezentują. W żadnych oficjalnych wspomnieniach, w żadnych poważniejszych książkach dotyczących żołnierza polskiego w ostatniej wojnie, nasi tak ostentacyjnie chrześcijańscy spokesmeni, nawet zapraszani na pobożne imprezy jako mówcy (!), nie mówią o olbrzymiej roli kapłana. Ciekaw jestem, jakby wyglądało morale zarówno żołnierza Armii Krajowej jak i w jednostkach polskich na Zachodzie, gdyby było przyszło działać im w moralnej i duchowej próżni, bez kapłanów w swych szeregach. Wydaje mi się, że dotąd jeden jedyny... Melchior Wańkiewicz cerował w ŻYCIU (rok 1947) to intrygujące zapomnienie i zwyczajną czarną niewdzięczność.

Ale cóż się dziwić dowódcom wojskowym, jeśli nasi przełożeni duchowni nie pomyśleli dotąd o żadnej poważnej książce na temat wielostronnej roli księdza polskiego w tej wojnie, książce, która byłaby sprawiedliwym dopełnieniem jednostronnych wypowiedzi naszych wodzów, gdy mówią o postawie żołnierza polskiego w kraju i na Zachodzie. Jest to prawdziwe peccatum omissionis. Przypomijmy sobie równie beletrystykę jak i systematyczne opracowania, które wyszły po tamtej wojnie we Francji o roli księży francuskich na froncie.

Nasi byli kapelani wojskowi prowadzą dalej swoją pracę wśród różnych emigracji. I tu znowu niewesoły fakt do zanotowania: nie mieliśmy i nie mamy żadnych systematycznych prac, dotyczących dorobku, metod i działalności polskiego kleru świeckiego i zakonnego wśród licznych Polonii zagranicznych. Kardynał Hlond założył jeszcze przed wojną w Potulicach osobne zgromadzenie "Chrystusowców", przeznaczone do pracy duszpasterskiej na emigracji. Należy to przypomnieć jako dowód istotnej troski o to, aby w trudne warunki uchodźcze szli księża najlepsi i najlepiej przygotowani, a nie dobie-

rani przypadkowo. To zaś stanowisko dopiero od niedawna znajduje zrozumienie w takich np. Włoszech, które mają problem emigracji istniejący dawniej od naszego i które już wydały świętą i patronkę emigrantów, Matkę Franciszkę Ksawerę Cabrini.

"Kultura" jest pismem świeckim, a nie religijnym, wyznaniowym. Nie uważa więc za swój obowiązek zajmować się zagadnieniami, które powinny stawiać i rozwiązywać inni. Nie ma również pretensji, aby odrabiać zaniedbania czynników, za nie odpowiedzialnych. Jednak w swej trosce o dawanie — ile to w obecnych warunkach jest możliwe — wyrazu różnorodnym przejawom życia polskiego w świecie, pragnie przynajmniej notować od czasu do czasu, niezauważany, a nawet lekceważony dorobek wydawniczy polskich domów zakonnych, pracujących od dawna wśród starych emigracji zarobkowych, głównie w USA.

Na początek pragniemy zwrócić uwagę na działalność polskich Bernardynów²⁾ w Stanach Zjednoczonych, którzy od 60 lat istnieją jako osobna prowincja, z siedzibą w Pułaski — Wisconsin, a od 45 lat prowadzą szeroką akcję wydawniczą, zapoczątkowaną "Miesięcznikiem Franciszkańskim", ukazującym się do dziś. — Czterdzieści pięć lat bez przerwy! Już to samo jest sensacją wśród polskiego czasopiśmiennictwa nie tylko religijnego i, jak się wydaje, prócz "Przeglądu Powszechnego" Towarzystwa Jezusowego, nie mamy w Polsce pisma katolickiego o tyleletniej tradycji.

Rzecz jasna, że nie chodzi o porównywanie "Przeglądu" z "Miesięcznikiem Franciszkańskim". "Przegląd" jak i zakon, który go wydaje, zwraca się głównie do "highbrows'ów", gdy praca Bernardynów zgodnie z wielowiekową najlżejszą tradycją franciszkańską jest, i powinna być, nastawiona przede wszystkim na "lowbrows'ów" — żeby się posłużyć wygodnymi angielskimi terminami. Jeden i drugi typ pracy i prasy ma swoje uzasadnienie. Jeden i drugi może być doskonały lub kiepski — każdy na swój sposób i żaden rozsądny katolik nie postawi wyżej religijnego pisma dla inteligencji, dlatego tylko, że jest przeznaczone dla inteligencji — nad religijne pismo popularne.

2) Może niektórym czytelnikom przyda się pewne wyjaśnienie dotyczące nomenklatury, (bez uciekania się do — pasjonującej zresztą — historii Zakonu), zwłaszcza, że tylko my, Polacy, mamy tu pewną osobliwość: Tak zwani u nas Bernardyni (od imienia reformatora Zakonu św. Bernardyna ze Sieny), są to Franciszkanie tout court, obserwujący pierwotną regułę św. Franciszka, i tak też — Franciszkanami po prostu — nazywa ich się wszędzie poza Polską. Noszą brązowe habity. Tak zwani zaś tylko w Polsce Franciszkanie, noszący czarne habity, mają regułę zlagodzoną i nazywają się wszędzie indziej Konwentualni. Jest ich znacznie mniej od brązowych Franciszkanów (Bernardynów), a generał właśnie tych ostatnich jest generałem całego Zakonu, brązowych i czarnych i jako następca św. Franciszka nosi nazwę od czasu Leona X: Minister Generalis Totius Ordinis Fratrum Minorum.

Ale za to, pod pewnymi względami, może głosić większą potrzebę, większą ważność właśnie prasy popularnej.

Kościół bowiem nie jest instytucją, przeznaczoną do hodoowania pisarzy, artystów, filozofów, a Chrystus swoje najbardziej cierpkie słowa kierował także przeciwko "temu rodzajowi"... Kolosalna większość wiernych nie tylko nie tworzy sonetów, nie komponuje, nie rzeźbi, nie pisze, na szczęście, traktatów kryteriologicznych ani rozpraw o rachunku zdania, ale w ogóle nie stoi o te wszystkie sprawy. A pomimo to ma to samo prawo do zbawienia, także co do j a k o ś c i zbawienia, jak ci wszyscy "maniacy w długich szatach doktorskich, którzy w cielecą skórę każą się oprawić" — jak mawiał o filozofach radca Joachim, ojciec Kartezjusza. Głównym zadaniem Kościoła jest uczyć poznania i miłości Boga i prowadzić do zbawienia. A jeśli prawdziwe jest twierdzenie św. Tomasza, że nie ma większego aktu miłości, jak przeprowadzić bliźniego z fałszu do prawdy, to uprawiane na szerokiej fali nauczanie przez ambonę i popularną prasę posiada na swojej płaszczyźnie co najmniej takie samo prawo do szacunku, jak doktorska rozprawa czy profesorskie dzieło.

Katolicycy inteligenci polscy, którzy bardzo często grzeszą płytkim snobizmem, wykazują skłonność do lekceważenia wydawnictw popularnych. Wypada stwierdzić, że są w tym w idealnej niezgodzie ze swoim Kościołem, który mianuje Doktorem nie tylko, na przykład, autora "Controversiones adversus huius temporis haereticos", ale także kaznodzieję ludowego, jakim, przede wszystkim, jest św. Antoni z Padwy i, jak słyhać, obdarzy podobno tym wysokim tytułem innego franciszkańskiego trampa — św. Bernardyna ze Sieny od czarujących "Prediche Volgari", drugiego po asykim Patriarsze ojca Zakonu. Będzie to zatem trzeci Doktor franciszkański, po Bonawenturze Serafickim, po Antonim Doktorze Ewangelicznym. Tym razem, być może, z tytułem Doktora Wniebowzięcia.

W ten ton tradycyjnej popularności, na ogół w dobrym stylu, przynajmniej w tych wydawnictwach, które doszły do "Kultury", uderzają Bernardyni z USA. Oprócz wspomnianego "Miesięcznika" (35.000 nakładu), wydają drugi "Miesięcznik" po angielsku, dla młodego pokolenia, które już po polsku nie rozumie i czyta o Starym Kraju i jego kulturze w języku sobie dostępnym. Nakład — 28.000. Wydają również książki, głównie religijne, co roku obszerny kalendarz rodzinny, kalendarzyki kieszonkowe i ilustrowane ścienne oraz kilkudziesięciostronicowe pamflety na tematy apologetyczne, dogmatyczne, moralne, społeczne, etc. Tych broszur wyszło dotąd 124. A jeśli wszystkie są na tym poziomie, jak te cztery, które przeczytałem, pisane przez zaszczytnie znanego z pracy duszpasterskiej w Niemczech X. Henryka Malaka ("Zagubione dusze", Szatan, "Teresa Neuman", "Pius X"), można z czystym sumieniem

stwierdzić, że nasi Ojcowie robią bardzo dobrą robotę w bardzo dobry sposób.

Tych zaś, którzy pisali donosy do władz kościelnych (!) i po gazetach (lub kolportowali je anonimowo) na mnie za kilka banalnych prawd, znanych katolikom od wieków na tematy społeczne, Wschodu i Zachodu etc., bardzo serdecznie przagnęłbym zachęcić, aby zaabonowali sobie "Miesięcznik Franciszkański" i przeglądali zwłaszcza dział "Na marginesie wydarzeń", prowadzony przez Ojca Arenta. Ręczę, że z lektury dwu, trzech numerów tego pisma dla ludzi prostych i uczciwych, rozjaśni im się w głowach bardziej, niż ze studium roczników wszystkich polskich pism i z przeczytania wszystkich emigracyjnych książek, jakie się ukazały i ukazują w Anglii od 1940 roku. Albo znajdą materiał do nowych... dowodów na obecność sowieckich agentów w szeregach św. Franciszka i św. Bernardyna w USA, pod bokiem samego FBI.

Powyższa zachęta do lektury może wprowadzić przysporzyć Ojcom niejednego wroga z grona naszych emigracyjnych myślicieli. Ale Bernardyni takimi rzeczami się nie martwią: Ich Sieneński Ojciec jest tym świętym, który posiadał w wysokim stopniu uroczy talent wzbudzania sobie wrogów nie tylko za życia, ale i po śmierci. Albowiem nawet z Pisma św. wynika, że na głupotę nie ma lekarstwa. W jednym miejscu wprowadzie Pismo doradza "kij na grzbiet głupiego", ale zaraz potem natchniony Autor pisze z melancholią: "Choćbyś stłukł głupiego w stępie jako krupy, bijąc z wierzchu stęporem, nie będzie odjęta od niego głupota jego", bo "jako pies do wymiotów swoich, wraca się głupi do głupstwa swego"... Duch św. lubi się posługiwać językiem barwnym i dosadnym. Taki też nieraz bywa język popularnych wydawnictw. Ale także "Boskiej Komedii" i... legionu świętych kaznodziejów.

Na zakończenie tej notatki pragnę dodać, że duszą i nerwami wydawnictwa Franciszkanów z Pułaski-Wisconsin są dwaj młodzi Ojcowie: wspomniany O. Julian Arent i O. Dawid Wyrzykowski. Obaj dotąd nie widzieli Polski, ale pełno w nich polskiego ducha. Jest więc coś wzruszającego w tym ich apostołstwie właśnie w języku kraju, którego nie znają z autopsji. Ale to nachylenie się ku potrzebom dusz w języku rzeszom dostępnym jest także bardzo franciszkańskie. Kaznodziejstwo w językach ludowych zapoczątkowali właśnie Franciszkanie i wśród różnojęzycznych kazań św. Antoniego jego włoskie *p r e d i c h e* torowały drogę dla "dolce lingua toscana" Dantego.

Jan TOKARSKI.

Tłumacze polskiej literatury

Internowanie w Szwajcarii 2-giej Dywizji Polskiej pociągnęło za sobą liczne i wielorakie następstwa. Pobyt na ziemi helweckiej z górą 10 tysięcy polskich "gości" w khaki mundurach przez długie pięć lat wojny (1940-1945) wpłynął w pierwszym rzędzie na wzrost zainteresowania sprawami polskimi w społeczeństwie szwajcarskim. Wpłynął też na pogłębienie znajomości Polski i Polaków, na to iż przestaliśmy być jakimś pojęciem oderwanym, niemal egzotycznym. I jak to zwykle bywa przy takiej trochę przydługiej a częściowo i przymusowej "gościnie", daliśmy się poznać zarówno z naszej dobrej jak i złej strony. Zrobiliśmy sobie dużo przyjaciół, ale też i sporo niechętnych. Pobyt ten zdecydował również o przyszłych losach i życiowej karierze wielu ludzi. Zorganizowanie specjalnych obozów — jednego gimnazjalno-licealnego i trzech uniwersyteckich — nie tylko dało możliwość ukończenia nauki wielu ludziom, którym wojna ją przerwała, ale dało ją również nie małej ilości takich, którzy z różnych powodów w innych warunkach nigdy by na studia nie poszli. Spora garść żołnierzy, którzy kiedyś utknęli w Polsce na którejś tam klasie szkoły średniej, uzyskała tu maturę i przeszła przez wyższe studia. Wiele osób zmieniło kierunek swych zainteresowań lub uzyskało wykształcenie w zawodzie o którym im się przedtem nigdy nie śniło nawet. Urzędnik stał się naukowcem, początkujący dyplomata handlowcem, zawodowy oficer poprzez błyskotliwie odbyte studia i prace naukowe zawędrował na katedrę ekonomii na jednej z wyższych uczelni polskich, uczeń Państwowej Szkoły Morskiej został zdolnym lekarzem, przedwojenny posterunkowy PP prawnikiem i... poetą. Temu zbiegowi "internowanych" okoliczności zawdzięcza również literatura polska cenny nabytek w osobach dwu nowych tłumaczy jej arcydzieł na język niemiecki. Jednym z nich jest Szwajcar dr Alfred Loepfe, którego pogłębienie zainteresowań polskich i znajomość języka polskiego wskutek zetknięcia się z internowanymi Polakami skierowało na tę drogę. Drugim Polak ze Śląska — Ewald Mazurek.

Ewald Filip Mazurek urodził się 18. 1. 1904 w Siemianowicach pod Katowicami. Uczęszczał do gimnazjum niemieckiego w Katowicach i we Wrocławiu. Matura jego przypadła właśnie na okres powstań śląskich, tak, iż w rezultacie zdawał aż dwie, naprzód niemiecką, potem polską. Po dwuletniej praktyce bankowej i skarbowej, studiował na Wyższej Szkole Handlowej w Warszawie, a następnie wyjeżdża jako stypendysta Izby Przemysłowo-Handlowej w Katowicach na dalsze studia do Bazylei oraz na praktyki w dziale importu i maklerki do Holandii i Anglii. Po ukończeniu tych praktyk obejmuje stanowisko zastępcy delegata Państwowego Instytutu Eksportowego w Londynie, na którym pozostaje 4 lata. Następnie w latach 1936-1939 pracuje

samodzielnie jako agent na rynkach angielskich z ramienia różnych firm polskich, estońskich, bułgarskich, jugosławińskich i włoskich w dziedzinie produktów rolnych.

Poza znakomitą znajomością języka niemieckiego nie chyba nie mogło predestynować ekonomistę i ruchliwego organizatora-handlowca do tego, aby stać się tłumaczem literatury polskiej. Czynnikiem decydującym stało się tu — podobnie jak w życiu wielu innych Polaków — internowanie. Po wybuchu wojny Mazurek zgłasza się na ochotnika do Armii Polskiej we Francji, a po kampanii francuskiej zostaje wraz z 2-gą Dywizją Polską internowany w Szwajcarii. Myślę, że o ile samo internowanie stworzyło odpowiednie warunki i odpowiedni „klimat”, to ostatecznie skierowała na tę drogę Mazurka jedna z cech jego natury, a mianowicie ruchliwość nie znosząca przymusowej, „internowanej” bezczynności. Po zorganizowaniu w jesieni 1940 r. obozu gimnazjalno-licealnego w Wetzikon, obejmuje w nim funkcje nauczyciela języka niemieckiego i angielskiego. Ale to zajęcie nie wypełnia mu wszystkich wolnych chwil. Szuka więc innych. Przy współpracy swego kolegi, nauczyciela polskiego w obozie wetzikońskim, St. Gogłuski, opracowuje podręcznik do nauki języka polskiego dla Szwajcarów pt. *„Ich lerne polnisch”*, wydany w r. 1943 przez Muzeum Polskie w Rapperswilu. Następnie bierze bardzo żywy udział w pracy, jaką wzięła na siebie internowana Dywizja Polska — informowania prasy szwajcarskiej o sprawach polskich. Trzeba w tym miejscu podkreślić, że ogromna ilość artykułów, reportaży i wzmianek, jakie ukazały się w prasie szwajcarskiej zwłaszcza w drugiej fazie wojny, była dziełem żołnierzy Dywizji a bynajmniej nie referatu prasowego Poselstwa R.P., nieudolnie kierowanego przez niesławnej pamięci p. Ładosia. Sprawa nie była łatwa, gdyż internowanym żołnierzom nie wolno było oczywiście pisać do gazet. Artykuły były więc dostarczane za pośrednictwem Muzeum w Rapperswilu lub osób prywatnych, przyjaciół-Szwajcarów. Była to praca anonimowa i bezinteresowna, gdyż w ogromnej większości wypadków ani autorzy ani tłumacze tych artykułów nic za tę pracę nie otrzymywali i nie mieli nawet satysfakcji podpisywania swych artykułów. W tej pracy Ewald Mazurek bierze bardzo czynny udział, bądź tłumacząc prace innych kolegów na język niemiecki do dyspozycji Muzeum w Rapperswilu, bądź też pisząc sam i zamieszczając te materiały za pośrednictwem Szwajcarki, swej obecnej żony.

W tym okresie właśnie rozpoczyna również Mazurek swą pracę tłumacza literatury polskiej. Pierwsze tłumaczenie, to Prusa *„Z dziennika starego subiekta”* pt. *„Für unsere und eure Freiheit — Ans dem Tagebuch eines alten Angestellten”* i *„Omyłka”* pt. *„Der Irrtum”* oraz Szymańskiego. *„Matka”* pt. *„Die Mutter”*. Nowele te wraz z przetłumaczonym przez dra Loepfe fragmentem powieści Prusa *„Dzieci”* pt. *„Der Ritter der Freiheit”*, zaopatrzone wstępem pióra Loepfego wydane zostały

zbiorowo jako: Bolesław Prus und Adam Szymański *„Ritter der Freiheit”*, Polnische Novellen w r. 1945 przez firmę wydawniczą Rex-Verlag w Lucernie. Dwa następne lata przynoszą wydania dwu dalszych tłumaczeń Mazurka — w r. 1946 wychodzi Fiedlera *„Kanada pachnąca żywicą”* pt. *„Harzduftendes Kanada”* (f-ma Otto Walter w Olten) i w r. 1947 Prusa *„Placówka”* pt. *„Der Bauer Slimak”* (f-ma Gernsberg-Verlag w Winterthur).

Podobnie jak Loepfe także i Mazurek zaczyna od Prusa i podobnie jak on daje przekład dzieła dotąd na język niemiecki nie tłumaczonego. Zarówno *„Faraon”* w przekładzie Loepfego jak i *„Placówka”* w przekładzie Mazurka są pierwszymi tłumaczeniami tych książek na niemiecki. I wreszcie podobnie jak Loepfe porzuca Mazurek Prusa dla nowszej literatury. Loepfe skierował swe zainteresowania na twórczość Zoffi Kossak, Mazurek na Fiedlera przede wszystkim. Po przygotowaniu do druku dwu wymienionych wyżej tłumaczeń, rozpoczyna niemal równocześnie tłumaczyć Fiedlera *„Ryby śpiewają w Ukajali”* i Morcinka *„Inżynier Szeruda”*. Tłumaczenie tej ostatniej książki było już w połowie gotowe. I tu niestety wkracza twarde życie i jego wymagania, które są równocześnie ilustracją trudności na jakie tłumacz w swej pracy napotyka. Praca ta bardzo często *„nie opłaca się”* w tym znaczeniu, że zarobek tłumacza, zwłaszcza gdy chodzi o książki pisarzy żyjących z którymi dzieli on honorarium, jest zbyt mały w stosunku do włożonego wysiłku, pracy i czasu który ona pochłania. Ta właśnie okoliczność spowodowała, że Mazurek musiał, choć z żalem, pracę tę porzucić, gdyż nawet łącznie z udzielaniem lekcji języków obcych, nie pozwalała mu ona utrzymać siebie oraz żony i czworga dzieci. W r. 1947 przerywa rozpoczęte prace nad nowymi tłumaczeniami i wraca do handlu, częściowo jako samodzielny kupiec, częściowo jako współorganizator i tzw. Geschäftsführer dwu firm równocześnie — jednej w Zurychu, drugiej we Frankfurcie.

„Die Fische singen in Ucayali” Fiedlera wyszło wprawdzie w r. 1950 nakładem f-my Otto Walter w Olten, ale w tłumaczeniu Wolfganga Leo Kellera przy współudziale autora i posiłkowaniu się tekstem angielskim.

W szufladzie Mazurka leży połowa przetłumaczonego tekstu Morcinka *„Inżynier Szeruda”* oraz przygotowane do zamierzonego tłumaczeń egzemplarze Fiedlera: *„Żarliwa wyspa Beniowskiego”* i *„Dziękuję Ci, kapitanie”*. Leżą i czekają *„lepszych czasów”*, kiedy tłumacz zapewni inną pracą mocniejsze podstawy materialne bytu swego i swej rodziny i będzie mógł znowu pozwolić sobie na luksus tłumaczeń z literatury polskiej nie tyle dla zarobku ile z samego zamiłowania do tej niewdzięcznej raczej pracy.

Aleksander KORCZYŃSKI

Prośba do muzyków

Ta prośba jest prosta: zechciejcie grać, dyrygować, śpiewać i tańczyć, utwory polskich kompozytorów. Przedstawiajcie je obcej publiczności.

Jeśli ktoś posądzi mnie, po przeczytaniu tych dwóch zdań, o ciasny szowinizm, niechajże się uspokoi. Wyrażam jedynie troskę nas wszystkich, aby muzyka polska zdobyła sobie uznanie i serce miłośników muzy Euterpe na całym świecie.

Jesteśmy znani z tego, że uprawiamy mówioną propagandę, a raczej gadaną. Czyli najczęściej prymitywną i często przynoszącą jak najgorszy skutek, mianowicie znudzenie. Z zasady każdy Polak, i ja także niestety, gdy znajdzie się w cudzoziemskim towarzystwie, dajmy na to rozmawiającym o gatunkach kwiatów, jeśli jest właśnie wzmianka o czerwonych, nie omieszką powiedzieć odpowiedniego dowcipu o Sowietach. Ponieważ to i tamto jest czerwone. Ktoś się uśmiechnie (przez grzeczność), inny coś dopowie, a nasz rodak rozwinie przed umysłami pełnymi jeszcze kwiatów, całą historię Jałty. Wynik także tragiczny, tylko, że w tym wypadku z naszej winy. Zapominamy za często, iż propaganda musi być robiona: pisać, malować, grana, a już w ostatnim wypadku mówiona.

Weźmy dla przykładu Rafała Kubelika. Na palcach chyba można policzyć dyrygowane przez niego koncerty, w programie których nie znajdowałaby się jakaś kompozycja zaczerpnięta ze skarbca muzyki czeskiej. Czy słuchacz szwajcarski lub angielski nazwie Kubelika szowinistą? Raczej nie. Raczej jest mu wdzięczny, za obdarzenie go o jedno przeżycie więcej, i za okazane zaufanie, ponieważ nie waha się umieścić w programie kompozycji nowej, zamiast tej, której wykonanie posiada zapewniony sukces (nowej, więc też i trudniejszej, zmuszającej do większej uwagi). Równocześnie obdarza Czecha szacunkiem za wysiłek, z jakim stara się on przedstawić dorobek swego kraju.

Kubelik dyryguje często w Holandii. Każdy z jego pobytów w tym kraju daje Holendrom kilka nowych pozycji z muzyki czeskiej (oczywiście także i z innej), tak współczesnej jak i kompozytorów poza Czechami już zapomnianych. Czy wynik tej pracy jest pozytywny? Doskonałą odpowiedzią jest przejście periodyków i książek muzycznych, programów radiowych, nawet codziennych pism, wreszcie rozmowa z Holendrami, żeby zobaczyć jakie poważne miejsce zajmuje w Holandii twórczość muzyczna naszych sąsiadów.

A co robią polscy muzycy (od razy zastrzegam, że zwracam się do tych, których talent lub szczęście obdarzyły większymi możliwościami; resztą ci właśnie, którzy borykają się z trudnościami materialnymi dnia codziennego wykazują większe zrozumienie dla obowiązku względem kultury swego narodu). Mamy zagranicą licznych dyrygentów, pianistów, skrzypków

i innych instrumentalistów. Zachwycają się ich grą miliony ludzi. Niektórzy z nich mogą sobie pozwolić na cztery lub więcej recitale rocznie w jednym tylko Paryżu. A co grają? Z reguły Chopina, czasami robią ustępstwo na rzecz innego kompozytora. Z polskich, nieco poważają jedynie Szymanowskiego. Stanowczo nam brak takich dusz muzycznych, kochających rodzinną twórczość, jaką potrafi się wykazać Umińska. Czy pianista, który w przeciągu czterech miesięcy potrafi dać cztery recitale szopenowskie w zapełnionej po brzegi sali w Paryżu, nie mógłby poświęcić jednego z tych wieczorów, choć by połowę programu innym polskim kompozytorom, np. współczesnym? Czy obawia się, że straci admiratorów? Przecież muzyk, to nie tylko ten, co zaspakaja upodobania publiczności, ale też ten, który jej smakiem kieruje. Także, każdy muzyk winien sobie zdać sprawę z długu w stosunku do kompozytora żyjącego. Niech ten nie zostaje zmuszany do przedstawiania jak przekupka towar na jarmarku, swych kompozycji podczas przerwy na koncercie w loży dla artystów. Takie rozmowy kończą się w łwiej części, nigdy nie zrealizowaną obietnicą ze strony np. dyrygenta czy pianisty. Trudniej jest wykonać kompozycję nową, niż tę, która latami nie zapomnienia, świadczącymi o jej wartości, stanowi żelazny repertuar. Jednak, trzeba samemu chcieć szukać bogactw nie odnalezionych jeszcze przez innych. Należy je odnaleźć i oddać ludziom. W samym tylko Paryżu mieszka paru naszych kompozytorów. Zechciej się potrudzić dyrygencie, skrzypku, pianisto, w progi ich biednych pokoiów, przeczytaj co tworzą w warunkach zabójczych dla ich zdrowia, a zapewne także i dla sztuki. Równy jest Twój obowiązek względem Schutza — Bacha — Mozarta — Chopina — Debussy'ego — czy względem kompozytora X żyjącego obecnie.

Andrzej RADOSTOWA

Książki

«Wojny seryjne» R. Arona

Chociaż upłynęło zaledwie parę miesięcy od czasu ukazania się ostatniej książki Raymonda Arona „Wojny Seryjne” *) można już stwierdzić, że dzieło to wywołało co najmniej równie wielkie zainteresowanie — jeżeli nie większe — jak jego poprzednia książka „Wielka Schizma”, wydana w r. 1948. Tymi dwoma dziełami, a również licznymi artykułami politycznymi i ekonomicznymi w paryskim „Figaro”, Raymond Aron zdobył sobie miejsce w pierwszym szeregu pisarzy politycznych nie tylko Francji ale całego świata zachodniego.

Aron — uczeń znakomitych profesorów francuskich: historyka Elie Halévy i socjologa Célestin Bouglé, ukończył Ecole Normale po czym studiował w Niemczech; zrazu poświęcił się pracy naukowej a w r. 1940, w okresie zawieszenia broni, był profesorem socjologii na uniwersytecie w Tuluzie; opuścił jednak natychmiast katedrę, podążył za gen. de Gaulle'em do Londynu i tam objął redakcję miesięcznika „La France Libre”. W chwili obecnej jego zajęcia są rozliczne: jest profesorem w Instytucie Nauk Politycznych, publicystą „Figaro” i współpracownikiem licznych francuskich periodyków; jest wreszcie człowiekiem czynu na odcinku wewnętrznym jako członek R.P.F. (gaulliści), a na odcinku międzynarodowym, jako jedna z najwybitniejszych osobistości „Kongresu Obrony Kultury” i Ruchu Europejskiego.

Cechą najbardziej charakterystyczną zarówno jego ostatniej jak i poprzedniej książki jest z jednej strony jego wyjątkowo głęboka znajomość spraw, o których pisze, z drugiej jego odwaga i uczciwość intelektualna, które mu pozwalają zaglądać i ludziom i wypadkom prosto w oczy oraz nazywać rzeczy po imieniu. By to stwierdzić wystarczy przekonać się jak łatwo i swobodnie porusza się już w pierwszych rozdziałach swej nowej książki wśród problemów politycznych, wojskowych, ekonomicznych i filozoficznych. Jeśli zaś chodzi o jego prawdomówność

i odwagę to jego nowe dzieło jest wierną kontynuacją tez, które Aron wygłosił już w przedmowie do „Wielkiej Schizmy” pisząc wówczas o komunizmie: „Wobec sekty, odznaczającej się zmilitaryzowanym fanatyzmem religijnym i rygorystycznie stosującej zasadę „kto nie jest ze mną jest przeciwko mnie” uczciwy człowiek ma tylko dwie drogi wyboru: albo się jej całkowicie podporządkować, albo ją całkowicie odrzucić. Nie ma półśrodków”.

Streszczenie tej książki — tak jak wszystkich wielkich dzieł — nie dałoby wiernego obrazu ani jej treści, ani jej wartości. Raymond Aron pragnął w niej odpowiedzieć na krytyki sformułowane z okazji „Wielkiej Schizmy”, a zwłaszcza na pytania: jak się rozwinie sytuacja, która czyni pokój niemożliwym, a wojnę totalną na razie nieprawdopodobną. W tym celu zanalizował on przyczyny, które do powstania tej sytuacji doprowadziły zaczynając od okresu bezpośrednio poprzedzającego pierwszą wojnę światową a kończąc na interwencji w Korei.

Według Arona u podstaw rozwoju nowej epoki znajduje się „techniczne zaskoczenie”, które przedawniło wojny prowadzone wzorem 18-to wiecznym przez zawodowych żołnierzy i zastąpiło je wojnami ludów, wojnami totalnymi. „Bombardowania strategiczne, deportacje pracowników, guerille, terror, wszechwładza policji — wszystkie wynaturzenia przemocy są logicznym skutkiem wojen imperialistycznych, prowadzonych przy pomocy najnowszych zdobyczy techniki”. Wojny te nie tylko przybierają na sile, ale nanizują się jedne po drugich, systemem łańcuskowym: i tak druga wojna światowa jest jakby dalszym ciągiem pierwszej, która doprowadziła do rewolucji rosyjskiej i do powstania reżimów faszystowskich w Niemczech i we Włoszech. Ten sam fenomen powtórzył się po drugiej wojnie światowej „Wschodnia Europa zsowietyzowana, Niemcy przepołowione, komuniści chińscy uzbrojeni przez Sowiety. Druga wojna stworzyła podłoże trzeciej”.

Ewolucję naszych czasów charakteryzuje utrata przez Europę jej dotychczas kierowniczej roli na świecie przez zastąpienie państw narodowych wielkimi imperiami, przez przewagę dwóch pozaeuropejskich imperiów: komunistycznej Eurazji i Stanów Zjednoczonych. „W chwili obecnej Europa, a raczej to co pozostało z Europy na zachód od Żelaznej Kurtyny, nie ma żadnych szans utrzymania niepodległego bytu. Będzie tylko częścią całości, której ośrodkiem będzie Atlantyk, tak jak ośrodkiem świata starożytnego było Morze Śródziemne. Albo też zostanie pochłonięta przez kontynentalne imperium, którego przewodnikiem jest Związek Sowiecki”.

Pierwszą zaletą książki Arona jest to, że daje ona doskonałą diagnozę naszej epoki. Drugą jej zaletą jest analiza i druzgocąca krytyka komunizmu. Aronowi udało się wykazać zarówno cały fałsz wykładni naszej epoki przez leninizm jak i całą monstrualność praktyki stalinowskiej. Teoria Lenina o imperializmie, która stanowi podstawę komunizmu, jest zupełnie

*) Raymond ARON, Les guerres en chaîne, Ed. Gallimard, Paryż, 1951.

sprzeczna z faktami: ani pierwsza, ani druga wojna światowa nie były bezpośrednio spowodowane konfliktami kolonialnymi czy rywalizacjami gospodarczymi: "Żadne z przedsięwzięć kolonialnych, które wywołały w Europie pierwszorzędne konflikty dyplomatyczne, nie było spowodowane szukaniem zysków kapitalistycznych — wszystkie były wynikiem ambicji politycznych, które kancelarie dyplomatyczne kamuflowały, powołując się na interesy materialne". Podobnie konflikt w 1914 r. między carską Rosją a Austro-Węgrami i Niemcami nie był wcale antagonizmem gospodarczym. Jeżeli decydowały o wojnach konflikty interesów, to właściwie najwięcej takich spraw spornych (W Persji i w Afganistanie) dzieliło Rosję i Wielką Brytanię, które mimo tego, były sprzymierzeńcami w czasie wojny. Tak samo głównym konkurentem gospodarczym Anglii są Stany Zjednoczone, które ją wszędzie wyprzedziły. Mimo tego, te dwa mocarstwa nigdy nie miały zamiaru ze sobą wojować, przeciwnie ich stosunki stale się zacieśniają.

Sukcesy swe komunizm zawdzięcza nie swym teoriom, ale technice i organizacji. Decydującymi etapami w przejściu od marksizmu do leninizmu-stalinizmu były: stworzenie nowego pojęcia partii, jako ugrupowania zawodowych rewolucjonistów; działalność wywrotowa; wykorzystanie wojen w celach rewolucyjnych; budowa imperializmu w jednym kraju i uświęcenie roli przewodniej rosyjskiej partii bolszewickiej w światowym ruchu komunistycznym. Marks zalecał wyczekanie momentu naturalnego kryzysu kapitalizmu, stalinizm czyha na każdą okazję wywołania rewolucji. Rewolucja — to zdobycie władzy. Władzę zdobywa nie proletariatus, ale partia bolszewicka, która sama jest wyłącznie instrumentem konieczności historycznych. Partia zastąpiła proletariatus: "Jeżeli proletariatus nie doszłusowuje do partii komunistycznej, to według doktryny stalinowskiej, nie partia popełniła błędy, ale proletariatus jest w błędzie".

"Im mniej kapitalistyczne jest dane społeczeństwo, im skromniejsze są jego siły produkcyjne, tym większe otwierają się dla bolszewizmu możliwości. Stalinizm jest zasadniczo wersją marksizmu dla terytoriów, które w żargonie ONU, nazywają się niedostatecznie rozwiniętymi". Jednym z powodów siły stalinizmu we Francji i we Włoszech jest, według Arona, to, że te dwa kraje są w pewnym sensie najbardziej gospodarczo zacofane na Zachodzie.

Aron również trafnie chwytą ewolucję doktryny pod wpływem praktyki stalinizmu, jak precyzyjnie opisuje cechy charakterystyczne rządów komunistycznych. Chodzi o dwie fazy tego samego zjawiska:

"W pierwszej fazie komunizm jest teorią i praktyką wojny domowej, w drugiej teorią i praktyką totalitarnej tyranii. Niezdolność stalinizmu zwyciężenia na Zachodzie w drodze wyborów nie oznacza definitywnego niepowodzenia. Stalinowcy wierzą, że Europa nie może być nawrócona pokojowo na nową wiarę, ale może być podbita... Od 1945 r. strategia stalinowska

polega na utrzymaniu chaosu w Europie Zachodniej i w Azji, tak, by utorował on drogę do podboju, który stalinowcy chcieliby przeprowadzić w drodze pokojowej (przy czym rozumieją oni przez to nie wyrzeczenie się gwałtu, ale nie wywołanie wojny powszechnej). Tak samo jak się nigdy nie wahali co do wyboru między ekspansją rewolucyjną i porozumieniem ze światem wolnym, tak samo stalinowcy nigdy nie dokonali wyboru między ofensywą w Europie i w Azji. Stalinowcy zaraz zobaczyli, że mają więcej szans pokonania Zachodu manewrem okrążającym niż frontowym natarciem".

Wobec tak jasnych celów stalinowskich mocarstwa zachodnie popełniły błędów bez końca. Podczas wojny i bezpośrednio po wojnie wmawiały one w siebie, że Sowiety są ich sprzymierzeńcami w budowaniu trwałego pokoju, podczas gdy Sowiety nigdy nie przestały ich uważać za imperialistów i przyszłych wrogów. Po polityce "appeasement'u" spróbowano polityki "containment" która się okazała niedostateczna. "Wstrzymano komunizm w Europie, gdzie powinien być być odepchnięty. Wystarczyłoby go powstrzymać w Azji, ale tam przerwał on zapory". Wypadki w Korei doprowadziły do jeszcze jednej zmiany polityki zachodniej. "Zachód wychodził z założenia, że albo będzie panował pokój zbrojny, bez udziału wojsk regularnych, albo też wojna totalna z nalotami od samego początku na główne skupiska rosyjskie. Okazało się, że jest i trzecia ewentualność, której nie przewidziano: "gorące" ale ograniczone lokalnie wojny".

Panuje dość powszechne zdanie, że najbardziej kompetentnymi znawcami komunizmu są ci, którzy przeszli przez komunistyczne aparaty partyjne i Trzecią Międzynarodówkę. Aron nigdy komunistą nie był. Ale to mu nie przeszkadza, że jest on najlepszym znawcą problemu komunistycznego, a jego niekomunistyczna przeszłość daje mu duże dalsze korzyści. Po pierwsze nie próbuje on idealizować leninizmu, przeciwstawiając go stalinizmowi, jak to nieraz czynią ex-komuniści, którzy dzieje tej partii dzielą na dwie części: jedną — dobrą, w czasie kiedy oni do niej należeli, drugą — złą, w czasie gdy z niej wystąpili (data przełomowa waha się zależnie od wypadku do wypadku od 1921 do 1950). Wręcz przeciwnie, Aron uczciwie stwierdza: "cokolwiek by twierdzili intelektualisci, którzy przeklinają Stalina i dalej czczą Lenina, zerwanie zasadnicze z Zachodem, z demokratycznym socjalizmem zostało dokonane przez Założyciela nie przez Spadkobiercę... Stalinizm jest logiczną konsekwencją leninizmu!"

Po drugie, Aron, w przeciwieństwie do byłych komunistów, którzy po straceniu dawnej wiary oddają się najrozmaitszym ideom i stanom duchowym, do depresji i defetyzmu włącznie, podkreśla stale, od pierwszej do ostatniej strony swego dzieła, konieczność walki. W przedmowie zaprzecza, jakoby kości już były rzucone i jakoby pozostało nam tylko bierne zdanie się na łaskę losu. A w zakończeniu, zatytułowanym: "Wiara bez złudzeń", Aron pisze: "Celem Zachodu jest wygranie wojny ogra-

niczonoj tak, by nie potrzebował stoczyć wojny totalnej. Ale tej wojny ograniczonej Zachód nie wygra, o ile nie będzie natchniony niezłomną wolą, o ile nie będzie wierzył w siebie i w swoją misję wolnościową”.

Branko LAZITCH

Wschodnie Niemcy o Polsce

Gdy wczesną wiosną r. 1945 administracja polska obejmowała pograniczne powiaty Śląska Opolskiego: Bytom, Zabrze i Gliwice, istniała na tych terenach jeszcze wojskowa administracja sowiecka i stosunki polskich starostów i burmistrzów z komendantami wojennymi nie były łatwe ani proste. W szeregu miejscowości zagłębia węglowego działały małe grupki komunistów niemieckich, którzy wobec administracji polskiej zajęli od początku stanowisko niedwuznacznie wrogie i nie cofali się przed prowokacyjnymi wystąpieniami w stosunku do „okupantów” polskich. Przeciwdziałanie tym wystąpieniom było dla nielicznych organów polskich władz prawie niemożliwe ponieważ komendanci sowieccy chronili swoich niemieckich towarzyszy i nie pozwalali na żadną kontrakcję.

Dla tych Polaków, którzy pamiętali czasy republiki wejmarskiej zachowanie się komunistów niemieckich nie było niespodzianką. Ocalałe z pogromu hitlerowskiego niedobitki niemieckich komunistów z Opolszczyzny pamiętały jeszcze stare dyktawy partyjne KPD z okresu międzywojennego, nakazujące zwalczanie granicy ustalonej w Wersalu, jako krzywdzącej Niemcy, tym bardziej zaś wszelkie próby przesunięcia jej na zachód. Nowe wytyczne nie zdążyły jeszcze dotrzeć na tereny dopiero co zajęte przez armię czerwoną.

W pół roku później, kiedy na obszarze okupacji sowieckiej Polak rozpoczynał rozmowę z przedstawicielami zorganizowanej na nowo Komunistycznej Partii Niemiec, napotykał na stosunek daleki od entuzjazmu. Ludzie wyżej ustawieni w hierarchii partyjnej „rozumieli” i „uznawali” konieczność pogodzenia się z terytorialnym rozstrzygnięciem poczdamskim, ale odrzucali stanowczo wszelkie sugestie wypowiedzenia się oficjalnego za granicą Odry-Nysy. „Jeżeli to uczynimy — brzmiała odpowiedź — nikt nie zechce nas słuchać, wszyscy od nas się odwrócą”. Opowiedzenie się oficjalne komunistów niemieckich za tą granicą nastąpiło dopiero znacznie później w typowej już dla stosunków sowieckich przesadnej, hałaśliwej formie. Pojawiły się slogany o granicy przyjaźni, która łączy a nie dzieli, najkorzystniejszej dla Niemiec, itd. Nie trzeba być jasnowidzem, aby wyobrazić sobie z jaką furią ci sami komuniści niemieccy rzuciliby się do zwalczania granicy Odry-Nysy, gdyby, powiedzmy, Gomułka wyrósł na polskiego Tito. W sposób równie przesadny i hałaśliwy jak dziś stanęliby w pierwszej linii rewizjonistów niemieckich,

kich, wyprzedzając daleko wszystkich znanych przedstawicieli tego kierunku.

Tych kilka uwag ma posłużyć jedynie jako uzasadnienie zrozumiałego sceptycyzmu polskiego wobec jarmarcznego zgiełku, jaki ze strony komunistów niemieckich czyniony jest wokół sprawy uznania Odry-Nysy! To, że ogromna większość Polaków w kraju i na emigracji stoi na gruncie utrzymania i bronięcia tej granicy nie może nam zamykać oczu na fakt, że stanowisko niemieckich komunistów ma charakter koniunkturalny, że jest podyktowane nie tyle przekonaniami ile rozkazem z góry. W społeczeństwie niemieckim ludzie rzeczywiście **przekonani** o konieczności uwzględnienia także polskich postulatów są rzadcy, po jednej i po drugiej stronie i mało są podobni do tłumu wschodnich „odbiorców poleceń” (Befehlsempfänger).

Z tym samym zrozumiałym sceptycyzmem bierze Polak do ręki oficjalne wydawnictwa sowiecko-niemieckie poświęcone w jakiegokolwiek formie sprawie tzw. zbliżenia polsko-niemieckiego. Należy do nich książeczka Henryka Keischa: „Der unbekannte Nachbar” (Nieznany sąsiad”).

Praca p. Keischa jest próbą rewizji poglądów niemieckich, albo raczej nawoływaniem do rewizji tych poglądów na „sprawę polską” i Polaków samych, w przeszłości i dziś. Wszystko, co pisze o granicy, przyjęte być musi z zastrzeżeniami wyrażonymi uprzednio, to, co może powiedzieć o współczesnej Polsce „ludowej” nie wybiega poza przepisany oficjalnym szablonem banał, sposób, w jaki usprawiedliwia zachowanie się Rosji sowieckiej we wrześniu 1939 r. może napawać — mówiąc ogólnie — niesmakiem. Zostaje jednak reszta, objętościowo skromna, jak cała zresztą praca, ale dość ważna aby zasłużyć na bliższe omówienie.

W tej szczególnie interesującej części pracy, autor stawia oświadczenie i bez szanujących wrażliwość czytelnika niemieckiego omówień sprawę stosunku Niemców do nas. Sformułowania jego są niejednokrotnie tak trafne i prawdziwe, że warto niektóre z nich zacytować:

„Połóżmy rękę na sercu — pisze autor — czy zechce kto przeczytać, że przeważająca większość Niemców, jeśli chodzi o sąsiedzki naród polski, opanowana jest beznamiętną, zaślepioną manią wyższości. Wystarczy uświadomić sobie, jakie, niemal automatyczne skojarzenia myślowe wywołuje, świadomie czy nie, słowo „Polska” w mózgach niemieckich. Słownictwo niemieckie jest nieprzekupnym świadkiem tego, jakie wyobrażenia i pojęcia u przeciętnego Niemca powoduje wymienienie tego słowa. W słownictwie tym wyraża się to, co od stuleci kształtuje stosunek Niemców do Polaków: pycha, zarozumiałość i stała gotowość stosowania przemocy, które stały się w konsekwencji tak fatalne dla Niemców...”

„W jak podstępny sposób kształtuje ustalone słownictwo naszą stronę emocjonalną. Gdy pragnie określić brud czy nieporządek, mówi o „polskich stosunkach”, „polskiej gospodarce” („Polnische Zustän-

*) KEISCH Henryk, *Der unbekannte Nachbar*. Wyd. „Blick nach Polen”, Berlin 1950, str. 118.

de", "Polnische Wirtschaft"). Ukuto wyrażenia takie, jak "Polack" i "Polackei" i napełniono je bezprzykładną pogardą i lekceważeniem godności i praw drugiego narodu. W ten sposób słownictwo stało się stale działającym w podświadomości motorem propagandy podszczuwania i nienawiści, które nie tylko spowodowały dzisiejsze nieszczęście, ale grożą uwiecznieniem go. Słownictwo stworzyło predyspozycje do zbrodni, przekraczających zdolności wyobraźni normalnego człowieka, których ofiarą stali się Polacy".

"Przesady, uprzedzenia są swego rodzaju niewiedzą skryzalizowaną wokół pewnego przedmiotu. Niemieckie uprzedzenia i niechęci (ressentiments) wobec Polaków wskazują na to z dokładnością nie pozostawiającą doprawdy nic do życzenia. W pierwszym rządzie i przede wszystkim polegają one na zupełnej nieznajomości wszystkiego, co stanowi przeszłość i teraźniejszość tego kraju. Uświadomienie sobie błędu jest pierwszym krokiem do przezwyciężenia go. Drugim jest zdobycie minimum rzetelnej znajomości historycznej i współczesnej rzeczywistości polskiej. Kto je posiada, może przynajmniej w miejsce przesady (Vorurteil) pozwolić sobie na osąd (Urteil)". (Str. 12-13).

Dyskutować tu, jakie intencje przyswiecały autorowi, gdy pisał te słowa, wydaje się bezprzedmiotowe. Czy pisał je z przekonania czy na obstalunek, czy nawet może na czyjeś polecenie — nie zmienia to w niczym faktu, że zawierają one prawdę obiektywną, prawdę potwierdzoną przez życie. Okrutny ciężar tej prawdy prawie każdy z nas dźwigał na barkach przez strasznych pięć lat okupacji niemieckiej, ale nie każdy zdołał go unieść do końca...

Wielu Niemców, którzy dziś jeszcze mówią o "wielkim cywilizatorskim dziele Niemiec na wschodzie", a przemilczają dyskretnie, jakie zjawiska towarzyszyły temu pochodowi na wschód, powinno by nieco podumać nad takimi słowami autora:

"Uprzedzenia wobec Polaków, których nikt nie trzusi się uzasadnić a które są bezkrytycznie rozpowszechniane, napotyka u większości Niemców na wewnętrzną gotowość, która szuka tylko dla przyjęcia ich jakiegokolwiek upowinnowania. Trzeba sobie wreszcie powiedzieć otwarcie na czym rzecz polega: była to od długiego czasu upragniona okazja, ażeby w jakibądź sposób uzasadnić niemieckie pretensje do władania i wyzysku, z których nie zamierzano rezygnować. Głosząc wyższość jednej grupy ludzkiej nad drugą jako naturalne uzasadnienie określonego myślenia i działania — da się usprawiedliwić wiele rzeczy, skądinąd trudnych do usprawiedliwienia. Niejeden odruch nieczystego sumienia można uspokoić myślą, że totalny ucisk i niewolenie drugiego narodu wypływa z wyższego prawa stworzonego przez samą naturę. Bowiem w podświadomości Niemców tkwi opacznie pojęta potrzeba jakiegoś usprawiedliwienia się wobec Polaków".

"Wschodnie przysłowie powiada: "kto chce zabić swego psa, oświadcza, że jest on parszywy". Gdy potężne państwo stawia sobie za cel zawiązać ziemiami, które doń nie należą, dorabia do tego celu odpowiednią ideologię. Posiadaczy tych pożądanych ziem ogłasza się wówczas niższym gatunkiem ludzi (Untermensch)". (Str. 18).

Czy można w sposób bardziej jasny i obrazowy przedstawić to, co bynajmniej nie tylko w ostatnim dziesięcioleciu, ale od

lat tysiąca stanowiło przeważający moment w stosunku Niemców do nas?

"Od lat tysiąca trwa ta nieustanna agresja dla której nasi historycy wymyślili upiększającą nazwę "Drang nach Osten". Będzie może rzeczka pożyteczną przypomnieć, że ta niewinna i neutralnie brzmiąca nazwa zamyka w sobie krwawą rzeczywistość, mianowicie fizyczne wytepienie większości osiadłych Słowian, grabież ziemi, podbój i germanizację reszty pokonanych. Francuz Jacques Ancel powiada: "Znaczną część dzisiejszych Niemiec jest niczym innym, jak rozległym cmentarzyskiem Słowian". Grabarzami na tym cmentarzysku byli Germanie". (Str. 21).

Warto polecić czytanie tych słów wszystkim, którzy tak dotkliwie odczuwają krzywdę Niemiec (nie wysiedlonych Niemców, bo to jest osobny problem) — jako państwa z powodu utraty Nadodrza i Prus Wschodnich.

"Można by sądzić, że to, co przez kilka lat tam się działo (mowa o G.G.) powinno jak piętno Kaina palić czoła wszystkich Niemców, także i większość tych, którzy osobiście w zbrodniach tych nie uczestniczyli. A jednak dziś tak wielu usiłuje pośpiesznie wymazać z pamięci to wspomnienie. Nie tak łatwo jednak przychodzi Polakom zapomnieć ów najbardziej w dziejach nowoczesnych cyniczny i zbrodniczy reżim, który ustanowił niemiecki faszyzm w okupowanym kraju. Tu może być tylko jedna droga, prowadząca do wewnętrznego oswobodzenia się Niemców od ciężaru zbrodni, którymi ówczesni panowie Rzeszy splamili swoje rządy. Droga ta prowadzi — poprzez uznanie winy i narodowej odpowiedzialności — do czynnego naprawienia krzywd wyrządzonych, do uczciwej przyjaźni..." (Str. 43).

Zasięg ludzi, którzy czytają i będą czytać te i tym podobne słowa, ograniczony jest nie tylko do części Niemców, ale i części Niemiec. Ci, do których docierają obecnie, żyją w warunkach specyficznych i mają aż nadto powodów, aby nieufnie przyjmować wszystko, co im podaje lub narzuca oficjalna propaganda. Mimo tych zastrzeżeń trudno obronić się przekonaniu, że w przezwyciężeniu uprzedzeń i nienawiści między Niemcami i Polakami właśnie na obszarze wschodnich Niemiec zachodzą zmiany o charakterze wyrażnie pozytywnym. Dla Moskwy jest ta cała "przyjaźń" polsko-niemiecka tylko skromnym ogniwem w ogromnym łańcuchu posunięć politycznych, których cel nie ma wspólnego z interesami Polaków czy Niemców, ale to, co z perspektywy Moskwy jest zaledwie fragmentem, dla obu narodów posiadać może kiedyś znaczenie podstawowe. To zbliżenie polsko-niemieckie jest, jak już stwierdzono wyżej, podyktowane koniunkturą i realizowane przy akompaniamencie haasei, które większość obu społeczeństw odrzuca, ale to jeszcze nie oznacza, aby rezultaty pewnego oddziaływania miały zniknąć bez śladu w warunkach zmienionych. Jeśli dziś młodzież wschodnich Niemiec uczy się myśleć o Polsce i Polakach bez nienawiści i uprzedzeń a u dorosłych przynajmniej nikt tych uczuć nie odświeża (pewien wyłom stanowi tu jednak propaganda re-

wizjonistyczna docierająca z zach. Niemiec), to jakieś ślady zostaną także wtedy, gdy ze szkół, biur i fabryk znikną portrety "wielkiego brata". Jeśli tak będzie — a są powody, aby tak sądzić — będzie w tym także skromna część zasługi autorów takich, jak H. Keisch. Może nawet ta zasługa będzie mimowolna...

Inna rzecz, że z tą oficjalnie proklamowaną przyjaźnią polsko-niemiecką jest trochę podobnie, jak z kwestią żydowską w Rosji. Niechby kto w Sowietach zamiast "jewrej" powiedział "żyd", niechby kto w Niemczech wschodnich użył słowa "Polacke"... Za to na zachodzie Niemiec nikt nie potrzebuje sobie zadawać przymusu i wielu go sobie nie zadaje...

Jest to tym bardziej godne ubolewania, że właśnie w Niemczech zachodnich istnieją warunki, w których praca nad przezwyciężeniem pewnych afektów i uprzedzeń mogłaby przynieść całkiem inne rezultaty niż na wschodzie. I nie chodzi tu wcale o to, aby Niemcy odczuwali nieustannie palące ich piętno Kaina, jak tego domaga się Keisch. Normalizacji stosunku Niemców do Polaków nie osiągnie się tylko stałym wypominaniem krzywd nam wyrządzonych, bo to prowokuje Niemców jedynie do wyszukiwania krzywd rzeczywistych czy urojonych, których doznali z kolei od nas.

Nie o rozgrzebywanie krzywd tu chodzi, lecz o ich wymazanie. Prawie każdy Polak, który orietuje się w jakich warunkach wysiedlano Niemców w latach 1945-1948 nosi w sobie poczucie winy i wstydu, także jeśli nie miał z tym nic wspólnego. To naturalne, ludzkie poczucie winy u wielu Polaków nie przeradza się w skruchę, która, jak wiadomo, gładzi grzech, pod wpływem znowu bardzo ludzkiej słabości. Jest nią świadomość że olbrzymia większość Niemców, właśnie w zachodniej części kraju, nie tylko nie odczuwa skruchy za zbrodnie wielokroć gorsze, ale zrzuca z siebie wszelki cień winy za wszystko co się stało. Dlatego wielu Polaków, mimo obiektywnego poczucia winy z niechęcią czyta nawet słuszne na ten temat wypowiedzi, jak np. p. Konaszewicza w majowym n-rze "Kultury". U dna tej niechęci tkwi obawa czy podejrzenie, że strona niemiecka wszelkie takie oświadczenie wykorzysta natychmiast, aby szeroko mówić tylko o polskiej winie, co zresztą w konkretnym, wymienionym wypadku miało miejsce istotnie.

Natomiast każdy, kto zna Polaków, nie może mieć wątpliwości, że pierwszy odruch skruchy zbiorowej i indywidualnej ze strony niemieckiej, który zająłby miejsce dzisiejszego, na ogół pysznego zrzucania z siebie winy, zburzyłby po stronie polskiej większość oporów i przeszkód, które dziś prawie uniemożliwiają tworzenie czy przygotowanie podstaw dla normalizacji stosunków, nie mówiąc już o przyjaźni sąsiedzkiej w przyszłości.

Niech się komuś nie wydaje, że podobne rozważania mogą stanowić raczej temat dla kaznodziei, ale nie mają nic wspólnego z polityką. Ta ostatnia jest, według powszechnie przyjętej

definicji, sztuką rządzenia zorganizowaną społecznością ludzką, a więc i usuwania przeciwności, jakie w obrębie tej społeczności istnieją, czy mogłyby powstać. Wierzmy, że przyjdzie czas, kiedy można będzie mówić o społeczeństwie czy państwie europejskim. W tym wspólnym domu, zwanym Europą, przyjdzie zamieszkać pod jednym dachem Polakom i Niemcom. Jest chyba w interesie jednych i drugich, aby nie weszli do wspólnego domostwa z nienawiścią w sercu. Dla tego celu trzeba pracować i warto pracować. Śladów takiej pracy dostrzega się u Niemców tragicznie mało. Książka Keischa, która posłużyła za punkt wyjścia do tych rozważań, została przed niedawnym czasem zaatakowana przez jedno z pism w zach. Berlinie z furją, dającą dużo do myślenia. Użyto twierdzenia, że jest ona przejawem antygermanizmu (aluzja do żydowskiego pochodzenia autora?) i może w rezultacie u czytelnika wywołać nastawienie antysłowiańskie. Jeśli ta forma propagowania zbliżenia polsko-niemieckiego napotyka na sprzeciw czytelnika zachodnio-niemieckiego, co z różnych względów może być zrozumiałe, należałoby sobie życzyć, w imię wspólnych europejskich interesów, aby ktoś z bardzo licznych, korzystających z przywileju wolności, Niemców zajął się problemem "nieznanego sąsiada". Do zrobienia jest bowiem bardzo wiele...

Witold KOSTRZYŃSKI.

Tragedia Europy Wschodniej

Major Beamish jest posłem konserwatywnym okręgu Lewes (Sussex) od 1945 r. — w obecnych wyborach będzie na pewno po raz trzeci wybrany, gdyż jego okręg jest twierdzą torysów. Jest to młody człowiek poniżej czterdziestki, który się wyspecjalizował w sprawach tych nieszczęsnych krajów, obecnie określanych mianem satelickich. Już po wojnie zwiedził on Polskę, Rumunię, Węgry, Bułgarię. Jego książka, obszerna i doskonale udokumentowana, jest owocem częściowo wrażeń z podróży, częściowo pilnej pracy i lektury licznych materiałów publikowanych w prasie codziennej i periodycznej. Poszczególne rozdziały opisują przebieg wypadków w Polsce, Rumunii, Bułgarii i na Węgrzech; dalsze dają syntezę poczynań komunistów w dziedzinach wymiaru sprawiedliwości, policji, sił zbrojnych, religii, oświaty. W ostatnim rozdziale autor zastanawia się czy ten ponury przebieg wypadków mogłyby się powtórzyć w Anglii.

Dzieło to jest cenną, doskonałą, przejrzystą, miazdzącą dokumentacją. Pisane z angielskim chłodem i obiektywnością,

Must night fall? By Major Tufton BEAMISH, M.C., M.P., Hollis and Carter, Londyn, 1950, cena 12/6 d.

przemawia do czytelnika tylko uszeregowaniem faktów: próżno by tam szukać wielkich frazesów, gromów, złorzeczeń. Ale fakty starczą. Wynika z nich jasno, że ani przez chwilę Moskwa i komuniści nie mieli zamiaru uszanować zasad demokratycznych, że traktowali swych — jak z angielska można ich nazwać "dupes" — w rodzaju Mikołajczyka, Nagy, etc. od początku z bezdenną pogardą, że od początku głównymi zrębami ich akcji było opanowanie spraw wewnętrznych i sprawiedliwości, że system partyjny wyzyskiwali tylko dla rozsądzenia opozycji, że wreszcie tam gdzie opozycja wykazywała nieco więcej charakteru — jak np. w Rumunii i na Węgrzech — tam Moskwa interweniowała brutalnie i bezpośrednio, przeważnie w osobie Wyszyńskiego, tego oprawcy wschodniej Europy.

Natomiast autor nie tłumaczy, nie próbuje nawet wytłumaczyć przedziwnej pasywności Anglosasów wobec tych posunięć Moskwy. Londyn i Washington wydają się tknięte paraliżem, zadawałają się typowo papierkowymi, miękkimi zresztą protestami. Za ten pokaz bezsilny i appeasementu Zachód już zapłacił słoną cenę w Chinach, dzisiaj ją płaci w Persji, płaci przede wszystkim w kosztach szalonego wyścigu zbrojeń, który stał się nieunikniony w dniu, w którym mocarstwa zachodnie pozwoliły się bez strzału wyeliminować z połowy naszego kontynentu. Może jakiś inny polityk anglosaski wyjaśni nam kiedyś jakimi "przesłankami" kierowali się nieszczęśni "mężowie stanu" Zachodu tej epoki, w pierwszym rządzie Bevin i Byrnes, patrząc beczynnym na tworzenie większego i groźniejszego imperium od tego, które ich armie po 6-cio letniej wojnie strzaskały?

Z.

«Tyfus teraz słowiki»

Egocentryczna powieść Mariana Czuchnowskiego: "Tyfus, teraz słowiki" *) ma być — zdaniem wydawcy — punktem zwrotnym w literackim odtwarzaniu rzeczywistości sowieckiej. "Po tej powieści muszą inni pisarze i n a c z e j pisać o Rosji Sowieckiej, jeśli chcą być w zgodzie z postępem na tym polu dokonany przez Czuchnowskiego".

Naszpikowany superlatywami szczegółowy życiorys autora na obwołanie nie pozostawia wątpliwości odnośnie tego, kogo ma reprezentować bohater powieści, Rawa, którego poza tyfusem trapi jeszcze w sowieckim szpitalu "nieprzeciętna inteligencja" (str. 39).

*) Modern Writing Ltd., London, 1951. Stron 152.

Wydaje się, że autor chciał oddać niewątpliwe poświęcenie się lekarzy i siostr szpitalnych sowieckich w walce z epidemią, lecz ten motyw zaginął w labiryncie gorączkowych majaczeń Rawy. Temat jest wspaniały, opracowanie bardzo nierówne.

Czuchnowski jest wyznawcą radykalizmu w sztuce "tak formalnie, jak i ideowo" — twierdzi wydawca. Jeśli nierówność stylu ma być przejawem owego radykalizmu, gotów jestem opowiedzieć się za jak najdalej posuniętym szablonem. Oto próbki:

"Wszędzie można było dojść, ale nie można było nigdzie dojść, by nie być zauważony czy zatrzymany przez dyżurnych lub straż".

"... przylgnęła całym ciałem do niego i poczęła obsypywać tak gorącymi i szybkimi pocałunkami, że krew z rozciętej wargi naznaczyła jego policzki jak czerwony maczek".

"W sklepie także niczego nie było poza pęczkami cumelków dla dzieci, które przysłano miesiąc temu, i wodą kolońską, którą wypijali systematycznie co lepsi robotnicy, jak tylko dostali tygodniówkę. Ale wdowa poradziła mu, by skoczył do sąsiadów, gdzie mieli dwie wojskowe dery, poduszkę skórzaną, wypchaną włosiem i starą, drewnianą przegrodą dla osłonięcia legowiska. Skoczył żywo, przyniósł dery, przegrodę, po drodze kupił jeszcze jajek i suszonego mięsa wielbłądziego".

I taki zgrzyt:

"właśnie akurat kurek teraz uciekł".

Niewątpliwie na powieści zaciążył talent poetycki Czuchnowskiego, zamiłowanie do metafory, przepracowanie formy itp. Lecz to nie usprawiedliwia pisarza. Dobrze, naprawdę dobrze, są tylko dwa rozdziały: III i VI. W trzecim, dzięki użyciu prostego, spokojnego stylu narracyjnego autor odmalował dobrze procedurę przyjęcia chorego do szpitala oraz oddział dla karmiących matek, w szóstym dał próbkę talentu w akustycznej wizji marszu kolumn. To warto przytoczyć:

"Z gardła ulicy, za węgiem szpitala, z nieznanych, niewidocznych ogrodów, może z koszar lub z obozów, szły nieprzerwanie od samego zmierzchu, tupiąc twardo ciężkimi butami, długie kolumny i znikają za rogiem. Ich brutalny, widmowy tupot..."

Niestety, takich rodzynków jest mało w tym niewypieczonym cieście.

Kazimierz ZAMORSKI.

«Bureau des mariages»

Czego się tu nie mówi o nowej gwiazdzie literatury francuskiej, młodym pisarzu, Hervé Bazin? Bo — trzeba przyznać — że ten bratanek znakomitego nudziarza René Bazin, otoczono-

BAZIN Hervé, Le bureau des mariages. Ed. Grasset, Paryż, 1951, str. 235. Cena 345 fr.

nego szacunkiem i poważaniem burżuazyjno-konserwatywnych klas społeczeństwa francuskiego, wszedł do literatury z hukiem i trzaskiem rozwścieczonego odyńca. Jego dwie pierwsze książki "Vipère au poing" i "La mort du petit cheval" były namiętą, spienioną jadą i gniewem rozprawą rozżalonego syna z matką, bezwzględnej, zimnej i nieugiętej dyktatorce. W tej walce syna z matką, w której wszelkie podstępstwa, zdradliwe zasadzki i przebiegłe chwytły były dopuszczalne, stara pani Rezeau urastała do symbolu pewnej zaskorupiałej w zakłamanych zasadach i tradycjach kasty ludzkiej, a synalek przyoblekał się w szaty męczennika, rewolucjonisty i posłannika nowego porządku rzeczy. W zestawieniu tym sprawa jego metod walki schodziła w sposób nieunikniony na plan drugi. Obie powieści Hervé Bazin wypłynęły więc, na skutek umiejętnego naświetlenia, poza jakieś personalne porachunki rodzinne, poza kliniczne rozpatrywanie jakiegoś oderwanego i w zasadzie dosyć chorobliwego wypadku indywidualnego, a stały się rewelacyjnym i odkrywczym piętnowaniem, utwierdzonych zwyczajem, stanów faktycznych. Tak ocenione zostały one przez krytykę i społeczeństwo francuskie. Dodajmy, że poza odbiegającym od szablonu naświetleniem tematyki, książki te pisane były z rzeczywistą werwą, niekłamana pasją i prawdziwym talentem. Wszystkie te elementy złożyły się na to, by stworzyć naokoło Hervé Bazin rozgłos, zapewnić mu powodzenie, zwiększyć poważnie nakłady i rozsprzedaż książek i wreszcie zagwarantować mu pewną pozycję literacką. Potem, gdy ten pierwszy etap kariery artystycznej stał się już rzeczą dokonaną, krążyć zaczęły naokoło osoby pisarza uporczywie powracające pogłoski, z których wynikało, że jego postępowanie w życiu było niezawsze czyste jak łąza. Trudno pogłoski te powtarzać, trudno też sprawdzać ich wiarygodność. Jest jednak faktem niezbitym, że i one także przyczyniły się do zwiększenia zainteresowania społeczeństwa osobą pisarza, podzieliwszy je z jednej strony na coraz bardziej zapalczywych wrogów, a z drugiej na coraz wierniejszych i oddanych obrońców. Naokoło Hervé Bazin kotłuje się i wrze nieustannie.

Gdy brałem więc do ręki jego ostatnią, wydaną kilka tygodni temu książkę "Le bureau des mariages" szukałem w niej z ciekawością odpowiedzi na pytanie w jakim stopniu książka ta będzie, lub nie, podniecia do dalszej walki, sporów i dyskusji. Tymczasem, okazuje się, że "Bureau des mariages" nie jest dolaniem oliwy do ognia, lecz wprost odwrotnie wylaniem oliwy tej na spienione fale. Zaczniemy od stwierdzenia, że ostatnia książka H. Bazin nie jest powieścią, lecz zbiorem nowel. W kilku odrębnych i mniej lub bardziej krótkich opowiadaniach znacznie trudniej zarysować jakiś wizerunek rzeczywistości, w skład którego wchodziłyby elementy zdolne do wywołania gwałtownych sporów. Tym niemniej, jak uczyć nas przykłady z przeszłości, nawet w nowelkach zamknąć można

rewolucyjne spojrzenia na świat. Otóż w opowiadaniach Hervé Bazin nie ma tego zupełnie. Zamiast gorszyć, prowokować, oburzać i piętnować jak to robił uprzednio, w ostatniej swojej książce ogranicza się on do wychwytywania niewinnych śmieszności ludzkich, podpatrywania złośliwych wykrzywień natury ludzkiej, mniej lub bardziej interesującego demaskowania grzesznych i zatwardziałych obsesji i nastawień. Mamy więc historię brata i siostry, starego kawalera i panny, którzy za pośrednictwem biura matrymonialnego nawiązują ze sobą, niczego się nie domyślając, korespondencję, trwającą 3 miesiące i która zamiast doprowadzić ich do ołtarza, powoduje wreszcie spotkanie, gdzie w sposób tragiczno-śmieszny wychodzi na jaw ich nieporozumienie, mamy zabawne opowiadanie o złodziejaszku, który znalazłszy portfel z pieniędzmi, wbrew dotychczasowemu zwyczajom, oddaje go właścicielowi, lecz urażony jego zachowaniem, tej samej nocy włamuje się mu do mieszkania i okrada ze wszystkiego, mamy historię starej pary małżeńskiej, (najlepszą zresztą ze wszystkich), zamkniętej w banalnym szablonie życia, która marzy nieustannie o jakichś nieoczekiwanych zmianach i przygodach i gdy w końcu niespodziewana wygrana na loterii umożliwia jej spełnienie snów i tęsknot, w niczym swego trybu życia nie zmienia, mamy doskonałe opowiadanie o złośliwym i na wpół obłąkanym starcu, który pod przykrywką dobroci płała wszystkim najbardziej podłe i cyniczne kawały i który po długich i wyrafinowanych przygotowaniach postanawia otruć przymierającą z głodu żebaczkę, lecz zamiast tego truje, na skutek nieuwagi, swych sześć ulubionych kotów, po czym wariuje itd.

Przyznać należy, że opowiadania te pisane są doskonale, miejscami z prawdziwą maestrią, ze znakomitą umiejętnością zarysowywania sylwetek bohaterów, tworzenia odpowiedniej atmosfery, wyczuwania i podkreślenia istotnych szczegółów. Mimo to pole i zasięg nowelek tych jest ograniczony. Tylko słabości i śmieszności ludzkie, tylko chorobliwe obsesje, tylko głupawe nałogi. A tam, gdzie H. Bazin stara się opisać coś w rodzaju szlachetności czy bohaterstwa, to jest ono dokonywane jakby wbrew sobie, gniewnie i ze złością. Rzecz najistotniejsza jednak to to, że poza tym demaskowaniem przypadłości ludzkich nie kryje się żadna szersza podbudowa, nie ma ogólnej bazy światopoglądowej, oparcia ideologicznego. Hervé Bazin nie walczy i nie piętnuje, lecz bawi się w rysowanie plastycznych szkiców. Czyżby miał on już dosyć wywoływania burz i niesnasek naokoło siebie? Czyżby przyglądał wzburzone włosy, zaplął kurtkę na guziki i postanowił wygrzecznąć? Pokaże nam to zapewne jego następna książka, której druk jest już zapowiedziany. W każdym razie, teraz, po "Bureau des mariages" płomień nowych dyskusji nie buchnie.

Rekord zblazowania

Nie jest łatwo, wydaje się, zgorszyć publiczność francuską literaturą na temat drastycznych sytuacji miłosnych. Wszystkie możliwe komplikacje takich czy innych trójkątów oraz wywołane nimi, najbardziej nieprawdopodobne, śmieszne czy tragiczne sytuacje, zostały wybebnione tutaj w każdej tonacji i często naprawdę po mistrzowsku. Publiczność wyczerpawszy więc swe umiejętności cieszenia się czy smucenia wariantami zaczerpniętymi z tej tematyki nie potrafi już teraz zainteresować się byle czym. Trzeba jej nie pieprzyków, ale nowych zgoła elementów. I tak powstaje wyścig, z jednej strony autorów i wydawców, z drugiej nudzącej się i zblazowanej publiczności. Wyścig ten — rzecz prosta — toczy się na ślepych torze i same jego założenia są fałszywe. Lecz nie o tym mamy zamiar mówić. Próby uchwycenia zainteresowania czytelników, stanowiące — jak wiadomo — poszczególne etapy tej iluzorycznej gonitwy, były w tym roku wydawniczym francuskim dosyć liczne. Chciałbym jednak wyodrębnić z nich wszystkich tylko jedną, która, jak się zdaje, jest najbardziej typowa. Mam na myśli powieść Françoise Mallet pt. „Le rempart des béguines”.

Zacznijmy od stwierdzenia faktu, że autorka książki tej, ukrywająca się zresztą pod pseudonimem, ma zaledwie 21 lat. A treść powieści? Trójkąt, tylko nieco odwrócony: młoda 16-letnia dziewczyna zostaje kochanką kochanki swego ojca. Ojciec jest wdowcem, więc o tyle sytuacja jest nieco uproszczona. Na czym jednak polegają w książce tej, pisanej zresztą miejscami z talentem, owe nowe elementy, które pobudzić mają usypiających czytelników? Pierwszy z nich, to szeroko rozprowadzany fakt młodocianego wieku i autorki i bohaterki powieści. Tutaj 21, a tam 16 lat. Daje to już pewien posmak niecodzienności. A druga rzecz, to sposób w jaki przedstawiona jest historia zakochania się i doznań miłosnych tych dwu kobiet. Pewna śmiała oryginalność polega tutaj na usiłowaniu ujęcia i ukazania zagadnienia tego jako rzeczy najzupełniej prostej, naturalnej i normalnej. Młoda, 16-letnia dziewczynka na przestrzeni całej powieści nie wyraża ani razu zdziwienia z powodu swoich stosunków z utrzymanką swego ojca, Tamarą, nie będzie miała ani chwili wahania czy wątpliwości co do słuszności swego postępowania, nie przeżyje ani jednego momentu zastanowienia, nie będzie odczuwała skrupułów, nie będzie przedmiotem żadnej rozterki. Ot, kocha się w Tamarze, wie, że ona pogardza jej ojcem, a nią się interesuje. I o cóż więcej chodzić powinno? 16-letnia dziewczynka będzie namiętnie kochała kobietę, którą ojciec jej odwiedza dwa razy w tygodniu w wiadomych celach, będzie z nią żyła, cierpiała straszliwie z zazdrości o innych czy inne,

MALLET, Françoise, *Le rempart des béguines*. Str. 190, Ed. Julliard, Paryż, 1951.

męczyła się w chwilach poniżenia i w końcu, gdy niczego nie-domyślając się ojciec postanowił ożenić się ze swą utrzymanką, będzie asystowała przy ślubie. Na ślubie tym powieść się kończy. Proste, naturalne, zrozumiałe. Po co komplikować rzeczy, które w istocie swej mogą być nieskomplikowane. To wygładzenie zazwyczaj rozwichrzonego problemu w książce Françoise Mallet nie jest nawet niesmaczne. Budzi tylko zdumienie. Poza tym w powieści tej nie ma realistycznych opisów scen drażliwych, nie ma niezdrowego podniecania wyobraźni, nie ma tak zwanej atmosfery zmysłowej. Wszędzie od początku do końca naturalność i grymas naiwnej niewinności. Po prostu, ma się wrażenie, że książka napisana została po to by stała się podręcznikiem właściwego postępowania dla młodych pensjonarek. Ot, do czego prowadzi wyścig autorów i publiczności we wzajemnym zblazowaniu.

J. URSYN

Sobowtóry i duchy

Nie zdobyłem się nigdy na przeczytanie 27 tomów cyklu „Les hommes de bonne volonté”, a przecież o pisarzach i poetach można próbować ferować wyroki tylko na podstawie ich dzieł najlepszych nie najsłabszych. Jakby wypadła ocena Sienkiewicza, gdyby ktoś oparł się wyłącznie na lekturze beznadziejnej zsmiry, „Rodziny Połanieckich”.

„Violation de frontières” są tomikiem poronionym. W pierwszej przydługiej opowieści autor-narrator opisuje jak raz po raz spotykał niedawno zmarłego przyjaciela i perypetie związane z odnalezieniem tego sobotwóra czy ducha. Po wielu epizodach, żywcem wziętych z powieści detektywistycznych, okazuje się, że nieboszczyk prowadził podwójne życie i właściwie w miejscach gdzie ukazywał się jego „duch” nieraz bywał za życia w tajemnicy, kryjąc się przed znajomymi. W drugiej opowieści narrator ma być Holendrem, zszokowanym bombardowaniem Rotterdamu, który uciekisz do Nowego Yorku, urządza tam sobie życie w taki sposób, by nigdy nie oglądać światła dziennego: umożliwi mu to kolej podziemna, która jak wiadomo jest połączona z podziemiami drapaczy, w których znajdują się restauracje, sklepy, kina, biura itd. Jedynym momentem ciekawym tej nudnej kobyły jest to, że doradcą narratora-Holendra jest psychoanalista Polak; zresztą nazwisko je-

Jules ROMAINS, de l'Académie Française: *Violation de frontières*, Flammarion, 1951. Str. 279, cena 350 frs.

go jest niewymienione i ten psychiatra jest tak bezosobowy, że mógłby być również dobrze Chińczykiem: w tym zawodzie narodowość nie odgrywa roli.

Tomik to niegodny wielkiego nazwiska. Ale na temat sobowtórów mam ochotę zacytować następujący autentyczny wypadek: gdzieś w roku 1935 Stanisław Mackiewicz, wówczas redaktor "Słowa" i poseł na Sejm z ramienia BBWR, przyjechał do Stockholmu. Ledwo zaczął się rozpakowywać w numerze zjawiała się policja. Bardzo uprzejmie przejrżeli agenci jego papiery, po czym, przepaszając, bez wyjaśnień się wynieśli.

W parę miesięcy później Mackiewicz przyjechał na Riviérę. Znowu zatrzymał się w porządnym hotelu. Nie upłynęło i kwadransu jak zjawili się przedstawiciele Sureté. Znowu indagacja, znowu policjanci salutują, przepaszają, tłumaczą "qu'il y a eu erreur".

Wkrótce potem Mackiewicz zatrzymuje się w Berlinie. Tym razem Niemcy byli mniej uprzejmi. Z hotelu zabrali go do komisariatu. Tam uratowała go dopiero interwencja naszej ambasady, która zaalarmowana, potwierdziła jego tożsamość.

Zrozpaczony Mackiewicz wróciwszy do Warszawy udał się do centrali śledczej M.S.Wewn. Tam właściwy nadkomisarz przyjął go bez najmniejszego zdziwienia.

— Tak, panie, ma pan sobowtóra — oświadczył nadkomisarz. Widzi pan, oto fiszki Police Criminelle Internationale. Pod tym numerem poszukiwany jest "Stanisław Mackiewicz" zgadza się, prawda? "Urodzony w Petersburgu" — znowuż o dziwo się zgadza! "robi wrażenie człowieka otyłego i silnego" — no, tak samo, naturalnie — "wiek około czterdziestki" (wówczas się zgadzało), "staje zwykle w dobrych hotelach", zupełnie jak pan poseł. I dalej, ów Stanisław Mackiewicz jest poszukiwany jako "międzynarodowy złodziej biżuterii", kradnie tylko klejnoty, i to tylko najdroższe, ma na sumieniu kradzieże w Ritzu w New Yorku, Claridge'u w Londynie, w Meurice w Paryżu. Stąd pana kłopoty".

— Ależ to straszne, potworne — jęknął Mackiewicz w rozpacz.

— Panie, — rzekł surowo nadkomisarz — pan się widocznie nie orientuje jaki zaszczyt pana spotyka. Bo kogoż nasza biedna Polska na arenie międzynarodowej-złodziejskiej posiada? Paru drobnych złodziei kieszonkowych, kilku podrzędnych włamywaczy! Ten jeden "Mackiewicz" należy do extra-klasy, on jeden godnie reprezentuje nasz naród. Powinien pan być dumny z tego sobowtóra!".

Rada w radę M.S.Wewn. wydało Mackiewiczowi następujące zaświadczenie, które do dziś przechowuje on w portfelu: "Le Ministère de l'Interieur de la République de Pologne certifie par la présente que M. Stanislas Mackiewicz, député, rédacteur du "Słowo" de Wilno, né à St. Pétersbourg, etc. etc., n'est pas le nommé Stanislas Mackiewicz, voleur de bijoux, recherché par la Police Criminelle Internationale etc. etc."

Do wybuchu wojny prawdziwego Mackiewicza stale jednak indagowała policja. Po wojnie, gdy Mackiewicz jeździ na kontynencie to ustało. Może dlatego, że już się nie zatrzymuje w dobrych hotelach, lecz w tanich zajazdach, lub w przytułkach dla ubogich. Ale prawdopodobnie jego sobowtór w zawierusze wojennej gdzieś zginął.

Oto temat dla romansu policyjnego dużo lepszy od pomysłów akademika Jules Romains.

W dziennikach angielskich jest nieraz rubryka "Stranger than fiction".

Z.

Wojna koreańska

Reportaż wojenny jest jednym z najmniej popłacających "rodzajów" literackich. Jeżeli chodzi o fakty, reporter widzi za mało, ogląda fragmenty, które nie dają pojęcia o całości. Jeżeli chodzi o dzieło sztuki to próbki literackie reporterów są zazwyczaj żałosne (wyjątkiem był zmarły Ksawery Pruszyński, który w swym reportażu ze Hiszpanii dał kilka świetnych obrazków batalistycznych).

Zawodzi więc nasze nadzieje zbiorowy reportaż czterech korespondentów francuskich z wojny koreańskiej. Kończy się on na dymisji MacArthura, a więc w kwietniu br. Wszyscy autorzy to młode chłopaki koło trzydziestki; jeden z nich, Jean Marie de Prémonville zginął na froncie. Książka jest skonstruowana z ich relacji, zszyta komentarzem Brombergera. Daje dużo materiału o losach poszczególnych oddziałów, sztabów, oficerów i żołnierzy: te obrazki są bez wartości. Daje dużo "shop-talk", zawodowych uwag o zadaniach, trudach, niebezpieczeństwach korespondenta wojennego: nuda. Daje nieco plotek o nastrojach w otoczeniu MacArthura w Tokio: przebija w nich normalna niechęć frontu do tyłów — ten portret N. Wodza jako nadętego bonzy, otoczonego pochlebami, wydaje się przesadny.

Z informacji, na które się rzuciłem, warto zapamiętać tylko następujące: klimat Korei jest surowszy niż przypuszczałem, już we wrześniu zaczynają się przymrozki, a zima jest ciężka i ostra. Kraj jest piekielnie zniszczony, nędza potworna. Koreańczycy są tylko "przeciw", nigdy "za": na północ od 38 równoleżnika manifestują przeciw komunizmowi, na południu przyłączali się do gerylasówek. Teren górzysty i dziki był głów-

J. M. de PREMONVILLE, P. DANDY, S. BROMBERGER, H. de TURENNE: Retour de Corée, Edition René Julliard, Paryż 1951, str. 274.

na przyczyną trudności alianckich. Wszystkie przegrane były spowodowane panikarstwem armii południowo-koreańskiej, która dotąd stanowi około połowy sił alianckich. Armia amerykańska była jakby "przebrojona", skutkiem ogromnych taborów i zaopatrzenia zmuszona do trzymania się dróg, ciężka, mało zwinna, mało lotna.

Z żołnierzy alianckich najlepszy był turecki. Rola lotnictwa alianckiego była wyraźnie przez dowództwo przeceniona. Po stronie wojsk O.N.U. nikt zapału do wojny nie miał, sama jej forma była obrzydliwa. Koreańczycy zarówno północni jak i południowi popełnili ogromną ilość okrucieństw, mordując jeńców, więźniów, aresztując i wywożąc bez sądu. Największe straty poniosła ludność cywilna.

Francuzi ci twierdzą, że na Korei nie wypróbowano żadnych nowych broni, że najwyższej zdobyto pewne doświadczenia taktyczne. Z ich relacji wynikałoby, że przedłużanie tej wojny nie ma sensu, że najlepiej było by przywrócić status quo ante.

Ale i z tych reportaży nie wynika wcale jasno dlaczego, przynajmniej w ciągu obecnej letniej kampanii, Amerykanie nie zdołali wykurzyć Chińczyków z całej Korei skoro, według tych świadków, alianci korzystają z wielokrotnie większej siły ognia. Nie wygląda z nich jasno dlaczego Mao kontynuuje tę wojnę, ani czego Amerykanie szukają na Korei.

Moim zdaniem, sytuacja koreańska jest bardzo prosta. Koreańczycy są narodem bez żadnych zdolności państwowo-twórczych, jeszcze niedorostłym do niepodległości. Jak dotąd najświeższe doświadczenia z obdarzaniem niepodległością narodów, które nigdy jej nie miały, były nieudane. W Birmie panuje od 3 lat wojna domowa, to samo w Indochinach. To samo w Indonezji. W Indiach wyróżniło około miliona muzułmanów, w Pakistanie tyłuż Hindusów, na całym półwyspie jest około 11 milionów zbiegów-D.P-sów.

Sądzę, że okupacja japońska tego półwyspu najlepiej odpowiadała interesom jego mieszkańców. Jeśli zaś chodzi o równowagę na Dalekim Wschodzie, to oczywiście nie zależy ona od losu Korei, czy Formozy, czy nawet Filipin. Obecna preponderancja chińsko-sowiecka zmieni się tylko w razie odbudowy armii japońskiej. Ale w tym wypadku zmieni się gwałtownie i radykalnie. Ku temu idziemy. Sądzę, że przyszłości Japonia odzyska i Koreę i Sachalin i wyspy Kurylskie. Niebezpieczeństwo polega na tym, że tak jak Amerykanie w r. 1945 przesadzili w sinofilii, tak mogą w r. 1950 przesadzić w japonofilii. Trwały pokój na Dalekim Wschodzie może zapewnić tylko bardzo delikatne wybalansowanie równowagi pomiędzy tymi dwoma potencjalnymi władcami Wschodniej Azji.

Z.

Kultura perska

Dzisiaj interesuje świat nie kultura, ale nafta perska, nie Firdusi, ale Mossadek. Toteż starannie zebrane rozprawy i przyczynki szeregu uczonych orientalistów francuskich (wśród których znajduje się również Czech, Jan Rybka, profesor Uniwersytetu Praskiego) nie znajdują, obawiam się, zbyt wielkiego echa.

Z trudem dałoby się w tym zbiorze znaleźć choć parę zdań mających aktualne znaczenie. Co najwyżej wyłuskałbym kilka uwag historycznych; że "parsowie" z Indii są autentycznymi Persami, zamieszkałymi tam od 10 wieków i dotąd ciesząc się większą zamożnością i wyższą pozycją towarzyską od swych współziomków, że w średniowieczu język perski był "lingua franca" całej bez mała Azji od Chin do Arabii, że granice Iranu były poprzez wieki wyjątkowo niezmiennie, że pomimo podbojów, zmian religii, języka itd. duch cywilizacji irańskiej wykazuje zdumiewającą stałość. To wszystko nie są problemy o palącej aktualności.

Nie wydaje mi się, by dzieła zbiorowe miały kiedykolwiek większą wartość. Jedynym wypadkiem są oczywiście encyklopedie. Ale takie zbiorowe szkice grzeszą zawsze i wszędzie oscylowaniem między oklepanym banałem, uogólnieniem z kalendarza i wdawaniem się w szczegóły, które mogą interesować tylko specjalistów. Takim zbiorom zawsze brak jedności kompozycyjnej, od której zależy wartość każdej książki.

Gros tego zbioru poświęcono perskiej poezji. Poezja w przekładach jest jednak zawsze na wpół martwa. A język francuski już chyba najmniej nadaje się do przekładów poetyckich. Szekspir po francusku jest monstrualny. Jeśli Hafiz był tak genialnym lirikiem, to jego tłumacz w naszym zbiorze p. Khanlari potrafił to starannie ukryć. Poezja irańska zaczęłaby mnie może interesować, gdyby Józef Łobodowski nauczył się po persku i zaczął Niżaniego tłumaczyć.

Z.

L'âme de l'Iran. Sous la direction de René Grousset, Louis Massig-non, Henri Massé. Edition Albin Michel, Paryż, 1951, str. 239. Cena 360 frs.

Listy do Redakcji

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z drugą częścią "Pamiętnika Niebohaterskiego" pana generała Sławoj-Składkowskiego uprzejmie proszę o łaskawe umieszczenie w jednym z najbliższych numerów "Kultury" następującego listu.

Jako prezes Zarządu Wołyńskiego Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego od 1928 r. wchodziłem automatycznie w skład Zarządu Głównego ZNP w Warszawie. W okresie 1935-38, gdy byłem posłem na Sejm R.P., na mocy nowego statutu ZNP, mającego "odpolitycznić" Związek, byłem jak i inni koledzy-nauczyciele posłowie w tym czasie ze Związku urlopowany. Niemniej jednak utrzymywałem stały i ścisły kontakt z prezydium Zarządu Głównego ZNP.

ZNP od zarania swego istnienia był atakowany z różnych stron i z przenajróżniejszych powodów.

Jesienią 1937 roku rozpoczął się na tę naprawdę, jak to zresztą p. Sławoj-Składkowski sam stwierdza, ideową organizację, atak ze strony rządu R.P. Powodem zewnętrznym tego ataku był "sowiecki" numer "Piomyka". Podam najpierw genezę powstania tego numeru. Zarząd ZNP uchwalił swego czasu, by analogicznie jak "Ilustracja Szkolna", wydawana także przez ZNP, poszczególne numery "Piomyka" były poświęcone kolejno wszystkim krajom polskim, a później państwom europejskim i poza Europą. Poszczególne kraje geograficzne Polski były już opublikowane i przystąpiono do opublikowania numerów poświęconych państwom europejskim. Pierwszy numer poświęcony był Włochom. Nikt nie zauważył tam niczego co naprowadzałoby na fałszywą i jego propagandę. Ponieważ odezwały się głosy, że w związku z nauką geografii należy najpierw opublikować kraje ościennie, następnym numer poświęcono ZSSR.

Powstała burza. Dzisiaj mogę z całą stanowczością stwierdzić, że p. Wanda Wasilewska, która wówczas była jednym z współredaktorów "Piomyka", odradzała umieszczenia kilku artykułów w tym "Piomyku". Z tego co dzisiaj wiem, nie należała wtedy do partii komunistycznej, tylko do MOPR'u. (Przy okazji zaznaczam, że nie znam p. Wasilewskiej ani wtedy, ani później jej nigdy osobiście nie poznałem).

Gdy do prezydium Zarządu Głównego ZNP doszły słuchy, że rząd R.P. ma zamiar rozwiązać Związek, bo takie słuchy krążyły, oraz gdy wiadome się stało, że sprawa ZNP i "Piomyka" będzie poruszona na terenie Sejmu, postanowiono, bym, znając się osobiście z marszałkiem Śmigłym-Rydzem i mając łatwy do niego dostęp, udał się do niego w tej sprawie.

Zgłosiłem się telefonicznie do kancelarii GISZu z prośbą o przyjęcie przez Marszałka. Wyzначył mi audiencję na dzień następny, a nie jak zwykle natychmiast po zgłoszeniu się. Będąc u Marszałka, zreferowałem mu sprawę "Piomyka" i poruszyłem jakie pogłoski krążyły o zamiarach rządu w tej sprawie. Stwierdziłem, że Zarząd, chociaż niektórzy członkowie są radykalni, nie jest prokomunistyczny, a wręcz przeciwnie, bardzo daleki od komunizmu. Tłumaczyłem Marszałkowi, że zniszczenie Związku i jego wielkiego dorobku będzie wielką krzywdą nie tylko dla jego członków, ale dla szkolnictwa i nawet dla samej Rzeczypospolitej. Długo trwała rozmowa. Wreszcie Marszałek powiedział mi: "Zdecydowałem zlikwidować (czy też znieść, tu nie pamiętam dokładnie wyrażenia, ale o to chodziło) wszystkie związki zawodowe. Ponieważ wasz związek i kolejarzy jest najsilniejszy, postanowiłem najpierw w was uderzyć". Tłumaczyłem Marszałkowi, że jest rzeczą niecelową niszczenie związków zawodowych a w tym i nauczycielskiego. Jako przykład podawałem mu jak wyglądała ta sprawa w Bułgarii, gdzie byłem i naocześnie się o tym przekonałem. Tam mianowicie były trzy związki nauczycielskie. Zdaje mi się, że około 1932 roku, rząd nakazał likwidację tych związków a nauczycielom polecił obowiązkowo wstąpić

do nowego, rządowego związku nauczycielskiego. Społeczeństwo bułgarskie odwróciło się wtedy od nauczycieli, uważając ich za czynnik ściśle rządowy a nie społeczny. Powiedziałem mu, co słyszałem w tej sprawie od chłopów-robotników podczas pracy wykopaliskowych w kilku miejscowościach Bułgarii oraz o opinii mieszczan i inteligencji bułgarskiej. — Ten argument także nie przekonał Marszałka. Po przeszło dwugodzinnej rozmowie Marszałek wstał, dając tym znak, że przyjęcie skończone, i rozmowę zakończył tytułując mnie "panem posłem" a nie jak zwykle i w początkowej części tej rozmowy, przez dawne legionowe "wy". Wychodząc z gabinetu Marszałka, zobaczyłem w przyległym pokoju premiera-generała Sławoj-Składkowskiego, najwyraźniej zdenerwowanego moją przydługą bytnością u Marszałka.

W Sejmie przemawiało sporo posłów, m.in. i ja też. Na końcu debaty, jak zwykle, zabrał głos pan premier i odczytał mozołnie podkreślone zdania z różnych numerów "Piomyka", zdania, mające rzekomo stwierdzić propagandę bolszewicką przez Związek. "Piomyki" te krążyły między posłami. Premier przedstawił to tak dowcipnie i humorystycznie, że z wyjątkiem kilku kolegów-posłów, którzy mieli poglądy podobne do moich, cała sala zarykiwała się, wyrażając zadowolenie z przedstawionej przez premiera sprawy. Przewodniczący Komisji Oświatowej Sejmowi kol. Bolesław Pochmarski oraz kolega poseł Tadeusz Kopec przystąpili do mnie i powiedzieli "a co teraz?" Rozesmiałem się i powiedziałem im, że będę się także śmiał, gdyż śmiech jest zaraźliwy, ale złożę odpowiednio oświadczenie, zostawiając sobie możliwość powrotu do tej sprawy. Tak też zrobiłem.

Dalsze dzieje są na ogół znane. Rząd zawiesił Zarząd ZNP w działalności i ustanowił Komisarza Rządowego p. Musioła, nie mającego nic wspólnego ze Związkiem. Podczas nowego Walnego Zjazdu delegatów ZNP w Krakowie, bodaj w styczniu 1938 r., demonstracyjnie wybrano dotychczasowego prezesa. Nowo wybrany prezes, ze względu na dobro Związku, nie chcąc go narażać na prześladowania rządu, rzekł się tej godności.

Po pewnym czasie spotkałem się z kol. M. (nie wymieniam nazwiska, gdyż nie słyszałem o nim na emigracji, może żyje w Kraju i to mogłoby mu zaszkodzić, ale to nie jest kolega Maj). W czasie rozmowy na temat ZNP i tej całej historii, powiedział mi kol. M.: "Sławoj powiedział mi «a to nas wystawili jak d... do wiatru»."

Teraz w innej sprawie, już nie jako b. członek zarządu ZNP, ale jako obywatel Rzeczypospolitej, który «przeszedł» przez Rosję (wiadomo jak wszyscy «przechodzili»). Na str. 130 N-ru 9/47 "Kultury", w tymże "Pamiętniku Niebohaterskim" znajduje zdanie: "...Bereza była niepopularnym i przykrym, lecz pożytecznym narzędziem ochrony całości i spójności Państwa w wypadkach, gdy władze sądowe nie mogły wkraczać, dla braku możliwości ujawnienia dowodów winy, ze względu na tajne popieranie winowajców przez Niemców, lub Sowietów". Wolno było panu generałowi Sławoj-Składkowskiemu i premierowi w to wierzyć. Wolno ostatecznie i dzisiaj panu generałowi Składkowskiemu w to wierzyć. Ale czy ogłaszając dzisiaj, po tylu latach, takie zdanie nie rozgrzesza on Niemców za obozy jak Oświęcim, Dachau i wiele innych, a Rosjan z Kołomy, Buchty Nachodki i innych łagrów, zaś dzisiejszy reżim warszawski za obozy Bezpieki? Nie wiem, ale wydaje mi się, że w takim ujęciu tamci są też w prawie wsadzać do różnych nowoczesnych Berez obywateli, co do których "władze sądowe nie mogą wkraczać, dla braku możliwości ujawnienia dowodów winy."

Raczy WPan Redaktor przyjąć wyrazy wysokiego poważania i szacunku.

J. HOFFMAN.

31, Sheriff Rd., London N.W.6.

P.S. Jednostronny protokół mej rozmowy z Marszałkiem Śmigłym-Rydzem był zrobiony w Zarządzie Głównym ZNP bezpośrednio po moim powrocie z audiencji.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Czytając w numerze 9/47 "Kultury" doskonałe wspomnienie a kardynała Sapieży, który oburzał się na słynną pacyfikację, nie mogłem się oprzeć dziwnemu wrażeniu, bo o kilka zaledwie kartek dalej — czytam "Kulturę" od końca zawsze — spowiada się bohaterski pamiętnik gen. Składkowskiego. Niewątpliwie bohaterski, gdyż trzeba mieć dużo cywilnej odwagi, aby żyjąc od tak długiego czasu w demokratycznej Anglii, wykazywać tak mało poczucia praworządności i podtrzymywać twierdzenie, że Bereza była pożytecznym narzędziem władzy. Ha, niewątpliwie i bandytyzm jest pożytecznym narzędziem dla wzbogacenia się, są jednak i tacy, którzy wybierają inną do tego celu drogę, Kapitał jest — gdyby nie było to tak smutnym objawem — to poczucie spełnionego obowiązku, które władza b. premierem po nakazaniu radnym Radzymińskim legitymować się w ich pracy społecznej... biletem kąpielowym. Czym legitymował się w tej sytuacji w sejmie gen. Składkowski, bo chyba nie chodził do łaźni publicznych? Obraz premiera, który jako "drogę współzawodnictwa handlowego" wskazuje z trybuny sejmowej walkę ekonomiczną (ładne współzawodnictwo) dopełnia reszty. Odbiera coś Bóg tym, których chce pokarać...

Łączę wyrazy szczerzego szacunku.

Aleksander WASUNG.
53, rue de Lausanne, Genève.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z "niebohaterskimi" wspomnieniami p. gen. Sławoja-Składkowskiego, tak sympatycznie "folwarcznymi", niech mi wolno będzie zapytać o jakiej to "bezkrwawej pacyfikacji" Szanowny Autor, były Minister Spraw Wewnętrznych, mówi? Czy o tej z 1930 roku tak niesławnej pamięci? Jeśli tak, to dziwię się wielce temu eufemizmowi, albowiem była ona krwawa dostatecznie i jeszcze krwawszy rów wykopała pomiędzy obu narodami, ukraińskim i polskim. I chociaż ponoć w wyobraźni i twórczej radości jej autorów miała znaczenie zabawki "kawalerskiej", była przyczyną jakże wielu łez, a także ruin moralnych i materialnych oraz śmierci. Jeśli by Pan Redaktor zechciał, mógłbym wcale dobrze oświecić to, a także przypomnieć, że do usmierzania tych "fantazji w D-dur" wielce się przyczynił pewien artykuł francuski, wydrukowany w owym czasie przez paryskiego proboszcza u św. Augustyna, Mgr. Jouin w jego "Revue Internationale des Sociétés Secrètes", w którym powiedziano, przynajmniej nie bez moralnej racji, że chyba agent sowiecki, zaszyty w którymś z ministerstw w Warszawie mógł podsunąć Rządowi taki pomysł! Pamiętam doskonale, że ten artykuł poruszył wówczas bardzo X. Arcybiskupa Sapieżę i ówczesnego Ministra Spraw Zagranicznych, który ze wstydem i ponoć upokorzeniem w sercu, bronił sprawę "pacyfikacji" w Lidze Narodów.

Warto, póki czas, wyświecić wszystkie ciemne punkty najnowszej historii. Czytało było niedawno w londyńskim "Catholic Herald" jak sprawa "pacyfikacji" mocno ostudziła przyjazny, przyjacielski nawet, stosunek Papieża Piusa XI do Rządu Marszałka.

Chciałbym też bardzo zadać p. Dr Sławoj-Składkowskiemu jeszcze jedno pytanie w sprawie, o której milczy w swych wspomnieniach, a którą ogólnie przypisywano jego zarządzeniom:

Jak to się stało, że rewindykowaną z Leningradu trumna Stanisława Augusta (czy zawierająca szczątki Króla? — o tym by rozmaicie mówić można) spoczęła gdzieś w parafialnym kościółku na głębokim Po-

lesiu, zamiast, choćby najbardziej prywatnie, znaleźć się w Krakowie lub chociażby w Warszawie u św. Jana, gdzie był koronowany? Takie cmentarzowe porachunki i pośmiertne Berezy nie są chyba sposobem okazywania pietyzmu dla majestatu korony polskiej dawnych wieków, zwłaszcza, jeśli się chciało zaznaczyć, że okres Rozbiorów już minął. (Niestety!...). Chyba najlepiej było koronnemu ich świadka, który byłby wielkim monarchą w innym okresie i któremu jednak naród w dużej mierze zawdzięcza, że przetrwał jego rządy, — położyć na spoczynek tam, gdzie brakowało tej ostatniej kropki na rozdziale minionej przeszłości, aby nowy rozdział mógł się zacząć.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

Cyril WODZIŃSKI.
4, Penywern Rd., London S.W.5.

Szanowny Panie Redaktorze,

Przeczytałem "Pamiętnik Niebohaterski" p. Sławoja-Składkowskiego i z wzmianki o wypadkach w Toruniu wnioskować muszę, że ówczesny premier nie zawsze był informowany zgodnie z prawdą. Jeśli chodzi o strzały (?) oddane przez policję do maszerujących w kierunku gmachu wojewódzkiego bezrobotnych, to padły one nim kamienie posypały się na słabe hełmy policjantów. Jako ówczesny pomorski korespondent katowickiej "Polonii", wraz z innymi dziennikarzami byłem świadkiem wiecu bezrobotnych, który trwał od 9 rano do 2 po południu, a po jego zakończeniu wraz z kolegami podążyliśmy za maszerującymi, będąc zawsze w pobliżu czoła pochodu. Gdy skierowane z odległości około 75 metrów wezwanie policji, żądającej zaniechania pochodu, nie odniosło skutku, padł strzał, ale tylko jeden, raniąc śmiertelnie przywódcę pochodu, znanego działacza z P.P.S. (nazwiska jego dziś już nie pamiętam). Istniały poważne powody do przypuszczeń, że strzał ten był uplanowany...

Ten jeden strzał stał się powodem popłochu, z czego skorzystała policja, wpadając między bezrobotnych i bijąc ich niemilosierdzie pałkami. Ci ostatni zaś, chcąc się bronić, przed tak brutalnym napadem policji, zaczęli zbierać kamienie, obrzucając nimi napastników. Potwierdzili to wszyscy obecni na miejscu sprawozdawcy prasowi. Zachowanie bezrobotnych zarówno na wiecu jak i podczas marszu było bez zarzutu.

Stojącą na boku grupę dziennikarzy niezależnych, zmusiła policja grożąc pałkami do rezeńscia się.

Nazajutrz po wypadkach, wszystkie opozycyjne dzienniki, które podały przebieg zajść zgodnie z prawdą, uległy konfiskacie, z wyjątkiem "Polonii" i "Siedem Groszy" z moimi obszernymi relacjami, które podałem telefonicznie. Pisma te bowiem nadeszły do Torunia wczesnym rankiem pociągami pośpiesznymi, to znaczy w godzinach, kiedy pan prokurator spał snem zasłużonym. Jestem wszakże pewien, że gdyby pan premier przeczytał choćby jeden ze skonfiskowanych dzienników omawiających przebieg wypadków toruńskich, dowiedziałby się prawdy istotnej.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy poważania.

Konrad GODZIŃSKI
502 St. Clarens Ave. Toronto, Ont., Canada.

Résumé des principaux articles parus dans ce numéro :

POUR UNE BRIGADE EUROPEENNE INTERNATIONALE.

L'auteur estime que le sens du mot « indépendance », politiquement parlant, s'est profondément modifié. Aucun pays de l'Europe centrale et orientale n'est en mesure de refaire et de défendre son indépendance avec les forces dont il dispose. Les états qui composent l'Europe centrale et orientale ne peuvent recouvrer et efficacement défendre cette indépendance que dans le cadre d'une fédération. Il n'y a pas de place pour eux dans une Europe non fédérée.

Quel est l'obstacle qui empêche les émigrés représentant les nations qui sont derrière « le rideau de fer » d'unir leurs efforts et de traiter dans une atmosphère de solidarité, les problèmes qui concernent la libération de leurs pays ? Il existe aujourd'hui, si l'on compte bien, 38 litiges de frontières au delà du « rideau de fer ». Des millions de Polonais, de Tchèques, de Roumains, d'Ukrainiens ou de Lithuaniens sont prêts à prendre les armes les uns contre les autres, au nom d'ambitions ou de revendications historiques. Les griefs qu'ils nourrissent les uns à l'égard des autres empêchent toute véritable entente entre les représentants des nations de l'est européen qui ont quitté leur pays. Il n'y aura jamais de fédération si les préventions séculaires ne cèdent pas. L'équipe de la « Kultura » envisage trois modes d'action pour mener à bien la réalisation de l'idée de fédération européenne :

1° — Les représentants politiques des nations de l'Europe centrale et orientale devraient signer une déclaration proclamant que les litiges territoriaux ne seront résolus qu'une fois constituée la fédération européenne et dans le cadre de celle-ci.

2° — Il faudrait créer à l'ouest, en s'appuyant par exemple sur le « Collège de l'Europe libre » à Strasbourg, un grand centre de formation pour la jeunesse originaire des pays qui sont situés derrière le rideau de fer. Ces jeunes, qui sont appelés à édifier la future fédération, devraient être éduqués dans un esprit fédératif et dans une atmosphère de coopération internationale.

3° — Il faudrait également recruter et organiser une brigade internationale de l'Europe centrale et orientale qui représenterait les pays qui sont derrière le « rideau de fer », au sein de l'armée européenne.

L'auteur suppose que l'on se rend compte à Washington, de la répercussion profonde que le réarmement de l'Allemagne est susceptible d'avoir sur l'attitude politique de ces pays. La reconstitution de l'armée allemande et la possibilité de la voir entrer en action en Europe orientale, pourrait bien grouper autour de Staline, non seulement la nation russe mais également les nations qui, il y a peu de temps encore, connaissaient les horreurs de la tyrannie hitlérienne.

Une brigade de l'est européen dans les rangs de l'armée occidentale montrerait au monde que l'un des buts que poursuivent les Anglo-Saxons dans leur politique, est de libérer l'Europe centrale et orientale et c'est ainsi que les peuples intéressés interprèteraient ce geste.

Les éléments si dynamiques qui ne cessent de fuir la zone occupée par les Soviétiques pour pénétrer en Europe occidentale pourraient être incorporés dans cette brigade qui deviendrait ainsi un point de ralliement.

Au point de vue politique, la brigade serait une première tentative concrète de fédérer les pays de l'Europe centrale et orientale, dans la mesure des possibilités actuelles. Au moment de la libération, elle serait certainement appelée à jouer un rôle décisif, lors de l'élaboration de l'ordre nouveau dans l'est européen délivré, n'est pas destiné à devenir une « terra nullius ».

LE PIQUE-NIQUE DE LA LIBERTE.

Dans un récit intitulé « le pique-nique de la liberté », Thadée Nowakowski brosse un tableau coloré d'un milieu international d'intellectuels, de journalistes, de politiciens-philanthropes qui se proposent de briser le rideau de fer sur la frontière germano-tchèque à l'aide... de ballons remplis de tracts anti-communistes.

Parmi les personnages qui figurent sur la scène de cet étrange « Grand-Guignol », il se trouve des « Dr. Jekyll et Mr. Hyde » qui font de la propagande anti-stalinienne et... pactisent avec la Russie soviétique avec la même ferveur. Le type achevé de cette sorte d'adeptes de la liberté est un certain « Grand Gutenberg », le maître de l'impartialité, l'auteur d'un livre, « Cannibale ante portas », dont les lecteurs n'arrivent pas à savoir qui, de Staline ou de Truman, est le véritable cannibale. Le monde des journalistes est représenté par Derek Greenford qui se flatte de n'avoir aucun parti pris dans l'ordre des idées : il fréquente avec la même assuétude l'ambassade de Franco et celle de Staline.

Les personnages de Nowakowski, tels des marionnettes sur la scène, exposent leurs opinions, discutent passionnément entre eux ou avec les délégués des groupements de l'émigration, agitant les grands thèmes de liberté, démocratie, paix et guerre. En attendant le vent favorable qui portera ses ballons de propagande vers l'est, ce monde qui s'ennuie, vit, en une journée, une série de petits drames et conflits personnels. Un jeune Hongrois, entretenu par Lady Hopper, n'a pas le courage de rompre avec sa riche protectrice qui finance le « mouvement idéologique ». Le poète tchèque Horacek se demande s'il doit prononcer un discours par T.S.F. pour les auditeurs de son pays, au risque de briser la carrière de son fils. Un journaliste polonais, Barabasz, est placé devant le dilemme : ou accepter de collaborer à un journal anti-démocratique ou rester dans la misère.

Tout à coup, l'ombre sinistre du rideau de fer tombe sur la scène de ce « festival de la liberté ». Parallèlement aux événements qui se déroulent du côté de la liberté, la vie du social-démocrate tchèque Hlohovec se joue de l'autre côté. De Prague, celui-ci s'enfuit dans la direction de l'ouest, après s'être échappé de prison avec la complicité de son ami, un colonel de la Sûreté. Au moment où Mr. Olyphant, le maître des cérémonies régisseur de la « guerre psychologique », fait partir le premier ballon vers l'est, Hlohovec est exécuté par son ami et soi-disant sauveur, en franchissant la frontière. A cet instant précis, horrifié par une con-

version qu'il vient d'avoir avec Greenford qui veut lui prouver que dans l'intérêt de la partie du monde « la meilleure », l'occidentale, il faut que les nations de l'Europe centrale et orientale soient abandonnées à leurs oppresseurs, Horaczek fausse compagnie à ses camarades du « pique-nique de la liberté » et file à l'anglaise. Le récit de Nowakowski se termine sur le lancer de centaines de ballons qui se déroule dans une atmosphère d'enthousiasme quasi-religieux.

En dehors des articles que nous résumons ci-dessus, Czesław Miłosz dans la chronique culturelle analyse la crise de la poésie mondiale.

Jan Tokarski présente le sérieux apport, encore méconnu, de la presse catholique polonaise (presse populaire) aux Etats-Unis.

Aleksander Korczyński présente les activités de M. E. Mazurek en Suisse deuxième silhouette d'une galerie des plus importants traducteurs de littérature polonaise.

Dans la chronique de l'émigration nous trouvons un excellent reportage de Zbigniew Malecki sur les méthodes et l'atmosphère de l'émigration de « D.P. », organisée par O.I.R. ainsi que sur l'hypertrophie dans la zone américaine de l'Allemagne des questions de tactique et des effectifs.

Dans la partie consacrée à la plus récente histoire de Pologne Jakub Hoffman expose l'histoire des *Cahiers de Volynie* (« Roczni Wolyńskie »), un périodique régional des plus intéressants d'avant la dernière guerre.

Les pages de critique littéraire sont consacrées aux livres suivants : R. Aron — « Les guerres en chaîne »; H. Keisch — « Der unbekannte Nachbar »; T. Beamisch — « Must night fall »; H. Bazin — « Le bureau de mariages »; Fr. Mallet — « Le rempart des beguines »; J. Romains — « Violation des frontières »; J. M. Prémonville, P. Dandy — « Retour de Corée »; R. Grousset — « L'Âme de l'Iran » ainsi qu'aux nouvelles publications polonaises de l'émigration.

DO PRENUMERATORÓW "KULTURY".

Zawiadamiamy, że każdorazowa zmiana adresu pociąga za sobą dodatkową opłatę w wysokości 35 frs. (bądź równowartości), którą należy przekazywać do Redakcji lub do przedstawiciela za pośrednictwem którego "Kultura" jest prenumerowana.

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »
12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e)

Directeur-gérant: M^{me} Christiane Karasiewicz.

Dépôt légal: 4^e trimestre 1951

KULTURA

REDAKTOR — JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-rocznia	Rocznia
FRANCJA: Libella, 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris IV ^e .	150 fr.	900 fr.	1800 fr.
W. BRYTANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169/171, Battersea Church Road, London, S.W. 11.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma	250 lir	1500 lir	2500 lir
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärgsgatan 3/IV, Stockholm	3 kr.	15 kor.	28 kor.
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mannheim-Sandhofen, 4094 LSC Schönau, U.S. Zone	2,50 DM	15 DM	25 DM
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, «Składnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires	8 peso	48 peso	96 peso
KANADA: Books and Newspapers Agency, H. R. Radomski, 83 Front St. E. Toronto/Ont; Foreign Languages Advertising Co., 1523 Drummond, Montreal, Que.; Stan. L. Opolski, 880 Barton St. E., Hamilton/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bienkowski, «Gryf Publ.», 808 Wager Str., Utica, N.Y.; L. Dudarew-Osetyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; M. K. Dzielanowski, 27 Aberdeen Ave., Cambridge, Mass.; Christian M. Kretowicz, 1828 Glenwood Ave., Toledo 2, Ohio; Andrzej Pleśczyński, P.O. Box 750, Santa Barbara, California; M. Szyrowski, 200 East 21 st., New York 10, N.Y.; Kazimierz Trojanowski, 8805 Neal St., Detroit 14, Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
BELGIA i KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 132, Av. Maréchal Joffre, Bruxelles-Forest. Nr konta pocztowego 7315-20.	30 bfr.	145 bfr.	260 bfr.
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 71, Raglan Street, Sydenham, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY, Ltd., 77, Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£A 17.6.	£A 212.6.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana; Walery Bader, Barao de Limeira 915, apto 58, Sao Paulo	15 cruz	90 cruz	150 cruz
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 53, rue de Lausanne, Genève	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal Culiacán, Sin.	0,75 cent.	4 dol.	6 dol.

W krajach niewymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji, doliczając na koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie.

Koszta przesyłki pojedynczego numeru: 30 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca jedynie przy załączeniu znaczka w pocztowych na porto

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

Cena ogłoszeń: cała strona 10.000 fr.; ½ strony 6.000 fr. fr.

WYDAWNICTWA
INSTYTUTU LITERACKIEGO

ADAM MICKIEWICZ
KSIĘGI NARODU I PIELGRZYMSTWA

HENRYK SIENKIEWICZ
LEGIONY

JÓZEF CZAPSKI
NA NIELUDZKIEJ ZIEMI

STANISŁAW SZPOTANSKI
PROMETEUSZE

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI
MIASTO MOJEJ MATKI

LEON BLUM
NA MIARĘ CZŁOWIEKA

JÓZEF CHAŁASIŃSKI i JAN ULATOWSKI
PRZESZŁOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ INTELIGENCJI POLSKIEJ

SERGIUSZ PIASECKI
JABŁUSZKO
NIKT NIE DA NAM ZBAWIENIA
SPOJRZĘ JA W OKNO...

TADEUSZ FELSZTYN
ENERGIA ATOMOWA

O S T A T N I E
W I A D O M O Ś C I

jedyne pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec.

Ukazuje się trzy razy tygodniowo.

W każdą niedzielę dodatki.

Korespondenci: we Francji, W. Brytanii, Włoszech,
Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Wenezueli,
Argentynie, Australii i Nowej Zelandii.

Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.). Za słowo
w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

Redakcja, administracja, drukarnia:

17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schönan
US Zone, Germany.

Cena 150 frs.